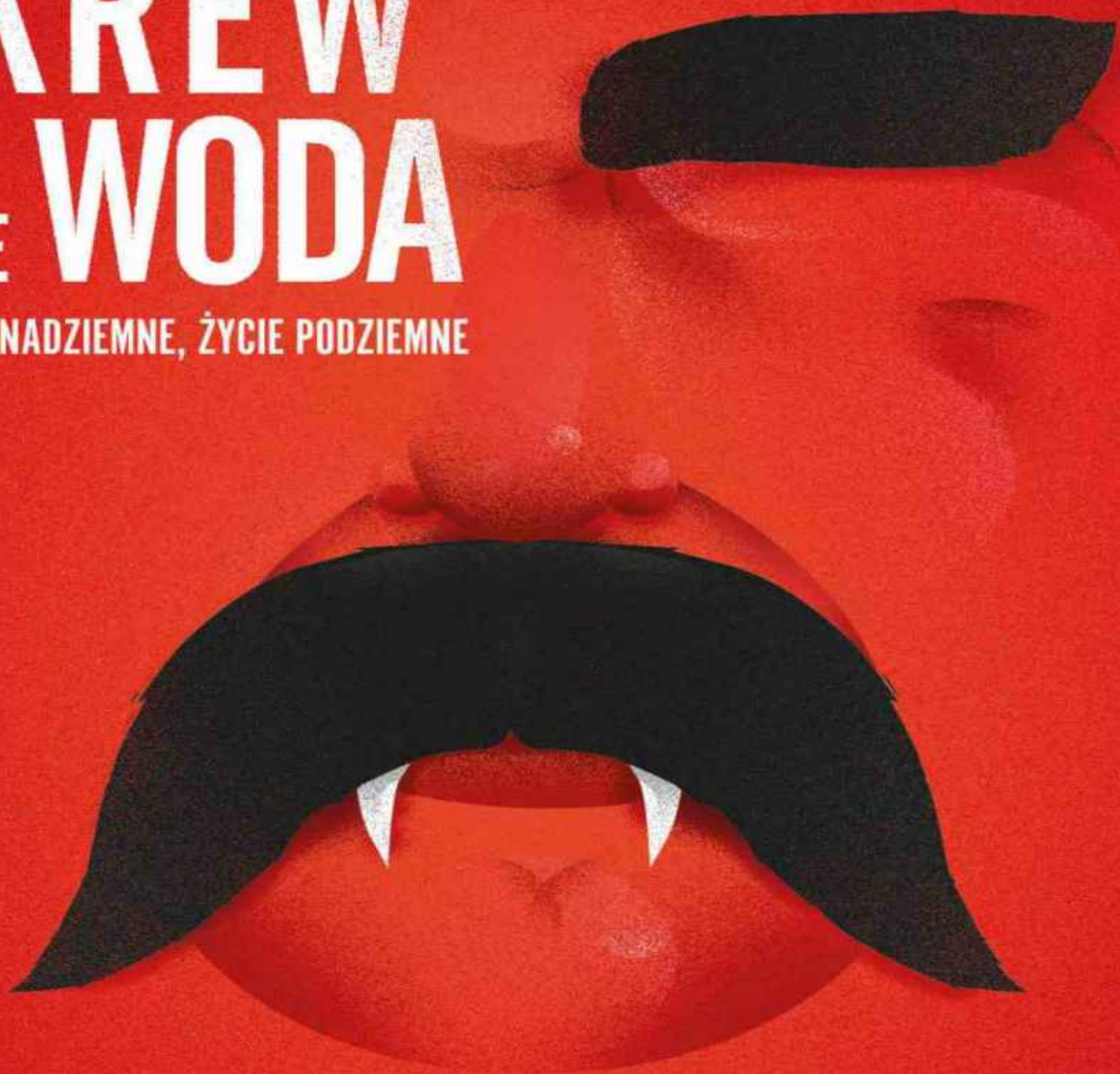


ROMUALD PAWLAK

KREW NIE WODA

ŻYCIE NADZIEMNE, ŻYCIE PODZIEMNE



Romuald Pawlak

KREW NIE WODA

Życie nadziemne, życie podziemne



Copyright © by Romuald Pawlak, MMXV
Wydanie I
Warszawa, MMXV

Spis treści

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Przypisy](#)

Rozdział 1

Warszawa stała w korkach. Właściwie to nic dziwnego, zawsze stała i jeden zamknięty czy otwarty most nie robił różnicy. Psuły się uliczne światła, wagoniki metra wjeżdżały nie na te tory, co powinny, manifestacje – znienawidzony folklor mieszkańców i ukochana forma ekspresji reszty Polski – wprowadzały poprawki do życiowych planów. Kampania wyborcza do parlamentu, która właśnie trwała, wprowadziła jedynie dodatkowe utrudnienia.

Tak więc Warszawa stała w korkach. Jednak korki są różne. I pewnie miasta nie ucieszyłaby wiadomość, że jeden z korków – nie, nie ten dosłowny, fizyczny – został właśnie brutalnie wyszarpięty. Zamiast ulgi miało to przynieść zawieruchę, przy której Amber Gold, SKOK-i, zabójstwo generała Papały czy afera zegarkowa okazały się awanturami w piaskownicy...

O ile ktoś szybko nie wbije szpuntu z powrotem.

Miejsce i porę, samo południe, wybrały ghule, bo to od nich wypłynęła propozycja spotkania. Rzeźnia ze sklepem patronackim w mniej uczęszczanym zakątku Pragi gwarantowała wiele doznań, od których oba wampiry drżały w powstrzymywanym, ekstatycznym krzyku głodnych ciał. Ich oponenti, zombi i towarzyszący mu ghul, za plecami mieli niewielki, mocno zaniedbany cmentarz komunalny. Co chwila to oglądali się za siebie, aby sprawdzić więź z ziemią, to zerkali na budynek rzeźni, jakby oczekując, że któraś z tusz powstanie z martwych i będzie ją można zjeść. Niby zażyli odpowiednią porcję witamin i preparatów, ale id wciąż domagało się zaspokojenia naturalnych potrzeb.

Szumilas, wysoki i chudy jak tyka sekretarz Partii Demokratycznej, nerwowo oblizał wargi, zerknął na niemiłosiernie prażące słońce. „Też sobie godzinę wybrały”, pomyślał, wbijając ponury wzrok w Krajewskiego, ghula tęgiego jak utuczone ciele.

Znał go, kilka razy rywalizował z nim w tym samym okręgu wyborczym. We wcześniejszych wyborach bywał górą, ale teraz w notowaniach szli kiel w kiel. Najchętniej widziałby go w dole z wapnem, ale cóż, jak się nie ma, co się lubi, to się lubi... Albo i nie lubi. Jednak żyć z tym trzeba dalej.

– No? – ponaglił, sprawdzając, czy jego towarzysz, drugi wampir, nie traci koncentracji.

Kto wie, co wymyśliły te gulasze?

Krajewski chłodnym spojrzeniem ocenił oba wampiry. Nie miał żadnych gwarancji, że go nie nagrywają, ale i tak wołał tej rozmowy nie prowadzić w żadnym z biur. Zresztą dyspozycje prezesa Daniłowicza brzmiały jasno: przede wszystkim ostrożność.

– Macie problem. – Głęboki głos Krajewskiego brzmiał tak, jakby wydobywał się z cynowego kotła. Może i wyglądał jak świnia tuczona na święta, ale wszystko to były mięśnie, a nie słonina. – Właściwie wszyscy mamy. Hrabia Ponimirski chce zrobić *coming out*. Co to oznacza, chyba nie muszę mówić?

– Co dokładnie? W jakim sensie *coming out*? – W głosie Szumilasa zagrały nerwowe nuty.

Zerknął na rzeźnię. W brzuchu mu zaburczało, zaklął w duchu i zatrzymał spojrzenie na ghulu.

– Chce nas wszystkich zdradzić, ujawnić ludziom, że żyjemy ściana w ścianę, dom w dom, jeździmy tymi samymi autobusami, siedzimy w knajpach i kinie obok siebie – prychnął z obrzydzeniem Krajewski. – Nie pytaj mnie dlaczego. Po prostu chce to zrobić, i tyle. To raczej wy powinniście wiedzieć... – zauważył.

Szumilas przez krótką chwilę analizował nowinę i jej skutki, wreszcie powoli skinął głową. Trudno powiedzieć, żeby był zdziwiony osobą, która zamierzała dopuścić się zdrady. Bardziej... jak by to ująć... sposobem, w jaki chciała to zrobić. Hrabia lubił efekciarskie zagrania, kiedy był premierem, słynął z tego, jednak nigdy dotąd nie wykazywał skłonności samobójczych, wręcz przeciwnie, pragnienie zdobycia coraz to nowych stanowisk i zaszczytów czyniło go cierpliwym, jak cierpliwy jest mrówkolew czekający na ofiarę.

– Skąd to wiesz?

– Bo przyszedł do nas. Z pytaniem o miejsce na liście. I dopiero kiedy usłyszał, że żaden wampir, choćby i najbardziej szanowany, nie będzie startować z list Naszej Ziemi, zagroził *coming outem*. Trzymaliśmy to jako hak – tu Krajewski uśmiechnął się nieprzyjemnie – ale co nam po haku, skoro dzięki zaufanemu źródłu dowiedzieliśmy się, że hrabia nie przełknął porażki i chce nas wszystkich wysadzić z siodła, zafundować nieludziom *grande finale* pod sam koniec kampanii?

Szumilas zaklął. No jasne, hrabia zawsze taki był. Nielojalny, a nawet wredny. Wielbiciel tradycji, mówiło się, że nielegalnie urządza polowania. Czort wie, do czego był zdolny, ile paragrafów złamał. Przyszywana arystokracja, psia ją mać! Skoro on nie miał mieć zaszczytów, to nikt ich nie będzie mieć...

– A jakieś dowody poza słowami? – spytał szorstko, nie dając po sobie poznać, że w środku jest wstrząśnięty i tylko dlatego niez mieszany, że krew z żółcią słabiej się łączy niż woda z ginem.

Mógł sobie wyobrazić, jak zareaguje prezes Radecki, kiedy usłyszy nowinę. Dobrze, że skończyły się czasy odgryzania głów posłańcom niosącym złe wieści...

Ghul sięgnął do kieszeni marynarki i podał mu gruby plik zdjęć wystających z koperty, a potem kartę pamięci.

– Zapoznajcie się, a potem omówimy, co robić dalej. I... – Krajewski się jakby zawahał. – Jesteście nam coś winni. To też tutaj ustalimy.

Szumilas szybko przerzucił plik zdjęć. Na wszystkich Ponimirski flirtował z przedstawicielami Naszej Ziemi. Na niektórych fotkach można było rozpoznać ich siedzibę główną, projekty list wyborczych, do niedawna tajne, zanim poszły do Państwowej Komisji Wyborczej i zostały zarejestrowane... „Nic dziwnego, że nie chcieli z tym przyjść, póki kampania nie zaczęła się oficjalnie”, stwierdził z goryczą.

– Dobra, a co w zamian?

Towarzyszający ghulowi zombi uśmiechnął się ponuro i wycedził:

– Trzeba go złapać, zanim narobi szkód. Ale... jeśli to się uda, chcemy ministra więcej, niż będzie wynikać z procentów. Jeśli będzie trzeba, stworzy się na potrzeby naszych oczekiwań jakieś

nowe ministerstwo, bo ja wiem, odrębne dziedzictwa narodowego? To już wasza broszka. Przekaż Radeckiemu, że o konfiturach pogadamy, jak uda się ocalić słoik.

Radecki, oficjalnie piastujący stanowisko marszałka sejmu i prezesa partii, a nieoficjalnie będący szefem wszystkich polskich wampirów i prawdziwym szefem rządu oraz oberprezydentem, w skupieniu wysłuchał relacji sekretarza partii. Z niepokojem czekał na to, z czym Szumilas wróci ze spotkania. Bo że przywiezie jakąś cuchnącą padlinę, było jasne: takie spotkanie przedstawicieli konkurujących partii musiało mieć poważny powód, przynajmniej zdaniem „gulaszy”, jak wampiry ironicznie nazywały tamtych (ewentualnie „ziemniaków”, gdy łączyły ghule z zombi, parodiując nazwę ich partii). Słuchając Szumilasa, Radecki doszedł do niepokojącego wniosku, że po raz pierwszy od dawna nie docenił zagrożenia. Ponimirski mógł ich wysadzić z siodła. Pieprzony hrabia – i w dodatku uzurpator! A tu tymczasem kampania się rozkręca, kandydaci zgłoszeni, hasła dawno ogłoszone, trzeba działać... Psiakrew, Ponimirski nie mógł sobie wybrać lepszego momentu!

– Musimy go znaleźć, zanim zacznie gadać. – Ton głosu nie sugerował chęci do najmniejszej dyskusji. – To znaczy *szybko!*

Machnął zniecierpliwiony ręką, nie dopuszczając rozmówcy do głosu, tak jakby Szumilas chciał się odezwać, podczas kiedy sekretarz liczył portrety znamienitych wampirów dwoma szeregami wypełniające ściany pokoju. Wampiry z krawatami na szyi, fontaziami, żabotami, w piusce – wszystkie możliwe epoki, dwa tysiące lat. Dwadzieścia wieków służby plemieniu... Któregoś dnia i portret Radeckiego tu może zawiśnie, chyba że ten dureń spełni swoją groźbę.

Radecki wreszcie wstał z fotela przy biurku, jego masywna sylwetka zdominowała sekretarza. Gdyby nie był politykiem, mógłby śmiało startować w zapasach.

– Szumilas, weź od Bergamutka paru strażników, wsiadaj w auto i pędź do Anina, do pałacyku hrabiego. Aresztujcie go. A potem do mnie z tym łajzą. Już ja z nim pogadam...

Nie znajdą go. Nie ma takiej opcji, żeby ktoś zgadł, gdzie ukrywa się hrabia Ponimirski. Ma swoje kryjówki... i zaraz ruszą do jednej z nich.

Hrabia upił ostatni łyk syntetyku zastępującego prawdziwą ludzką krew i odstawił kielich na stół obok staroświeckiej koperty wąskiej jak złożony japoński wachlarz. Kopertę wrzucił do wciąż płonącego kominka i patrzył, jak papier spopiela się i rozsypuje na kawałki. Przodkowie patrzący na niego ze ścian spojrzenia mieli surowe, bezwzględne, czuł ich wsparcie w tej krucjacie. Miał nadzieję, że w czasie jego nieobecności nikt nie zniszczy tych portretów. Na szczęście zabezpieczenia nie powinny być łatwe do sforsowania.

Westchnął melodramatycznie i ruszył do wyjścia. Auto już czekało na podjeździe przed rezydencją, jego wierny asystent Vargas – też wampir – siedział za kierownicą...

Opłaciło się rozumieć ghula przypadkiem spotkanego kiedyś niedaleko Powązek, gdzie hrabia rozmyślał nad wielkością przodków, a ghul, cóż, także miał swoje sprawy. Zwierzył się hrabiemu, że ma dosyć sztuczności i że czasem musi pójść na cmentarz pofolgować namiętności, przynajmniej w myślach... Ponimirski obiecał mu, że jak coś się zmieni na lepsze, zadba o jego los i o jakieś godne stanowisko, bo każdy sojusznik w walce o zachowanie tradycji był ważny, nawet jeśli pochodził z innego nieludzkiego plemienia. Dziś rano ghul okrężną drogą przesłał mu ostrzeżenie, że na najwyższych partyjnych szczeblach ma się wkrótce odbyć spotkanie poświęcone hrabiemu. Dodaj kiel do kła, wyjdzie cała szczeka. Arystokrata nie czekał, aż pod drzwiami staną i nocą kolbami w drzwi załomocą. Albo kłami zaklekocą.

– Nie powinniśmy tego robić.

Vargas wciąż nie był przekonany, że jego pryncypał postępuje rozważnie. Dotąd zawsze udawało się wszystko wynegocjować, nawet pewne odstępstwa od normy i zasad.

– Ukrywać się? – spytał domyślnie hrabia. – Jeśli będziemy tu siedzieć, szybko nas znajdą.

– Zdradzać, hrabio. A teraz uciekać, co jest naturalną konsekwencją zdrady. Jak nas złapią, obaj pójdziemy do dołu

z wapnem. I odnajdą za tysiąc lat z czaszkami pod pachą, osinowym kołkiem wbitym w miejsce, gdzie proch z serca... Albo i nie znajdą.

Ponimirski tylko wzruszył ramionami. Nie miał czasu na dyskusję o jakichś tam literackich bajędach.

– A czy to moja wina, że te patałachy tak się rozsmakowały w polityce, że bycie prawdziwym wampirem, a niechby i porządnym zombi, o ghulu nie wspominając, zamieniły na funkcję dobrze opłacanego urzędnika państwowego? Ciepła posadka, bywa, że ministerialna. Wygodne auto, jakby to wampirowi do czegoś było potrzebne... – Skrzywił się z niesmakiem. – Dawniej wampiry to były mięso, krew i strach. A teraz? Te miękkie fiutki bawią się w politykę, wampiry są metroseksualne, a ludzkie nastolatki wzdychają do nich, chcąc mieć takiego fajnego chłopaka... Szok! Tysiące lat pracy poszły na marne, gmach przerażenia runął...

Wargas popatrzył na bagaże, które zalegały także na tylnym siedzeniu. Hrabia rozstawał się z domem, ale nie z luksusem. Wieźli dosyć strojów, aby wyposażyć na bal całą gromadę wytwornisiów!

Niespodziewanie hrabia odsunął asystenta i usiadł na fotelu kierowcy, oświadczając:

– Ja poprowadzę.

– A kiedy ostatnio prowadziłeś, hrabio?

Na czoło Wargasa wystąpiły krople potu. Pamiętał, że gdy ostatnim razem Ponimirski chciał gdzieś jechać, na dzień dobry zdemolował okazały gazon przed rezydencją, zapewniając tygodniowe utrzymanie pewnemu warsztatowi samochodowemu.

– Zbyt dawno. Pora znów wziąć sprawy we własne ręce – odparł stanowczo arystokrata i przekręcił kluczyk.

W pokoju były cztery osoby i stało się jasne, że to one utworzą sztab kryzysowy. Radecki popatrzył na nie z namysłem. Wiadomo: on sam będzie koordynować wydarzenia na miejscu, prezes partii nie może porzucić kampanii wyborczej, chyba że sytuacja zrobi się wyjątkowa. Poza tym na nim spoczywają światła kamer, więc nie może zbyt często się udzielać, chociaż ingerencji w sprawę nie da

się całkiem uniknąć, bo czasem trzeba z kimś samemu zamienić słowo.

Sekretarz polityczny partii i zarazem osobisty asystent Radeckiego, Szumilas, to co innego. Też będzie wspierać kampanię, ale z połowę czasu może poświęcić hrabiemu. Biela, spin doktor partii, prawa ręka Radeckiego i lewa do roboty, też musi godzić kampanię z poszukiwaniami. Trzeba mu nakazać obmyślenie planu B, czyli kontrakcji, gdyby jednak hrabiego nie udało się w porę znaleźć i zaczął pleść trzy po trzy.

Z czwartą osobą, niskim wampirem z blizną po pożarze, którą zakrywał krótką brodą, wiązał się pewien kłopot. W pierwszej chwili Radecki nie był pewien, czy dołączyć Bergamutka do składu, uznał jednak, że będzie to miało wymiar praktyczny. O ile Szumilas zajmował się sprawami politycznymi, o tyle Bergamutek był sekretarzem od spraw kryminalnych, obyczajowych, od dbania, by codzienne życie polskich wampirów biegło w miarę płynnie i bezkolizyjnie. Kiedy trzeba było likwidować nielegalne walki nieładzi, robił to. Gdy trzeba było pogonić firmy z Francji, by nie przerywały dostaw tabletek przeciwsłonecznych, to on brał na siebie interwencję. Nie przepadali z Szumilasem za sobą, rywalizując o to, który jest lepszym sekretarzem. Z trudem znosili tę wewnętrzną dwoistość partii bardziej wymuszoną prawdziwym życiem niż polityczną maskaradą, za którą się schronili. Radecki kiedyś usadził ich przy jednym stole, spił i pogodził. A przynajmniej załagodził konflikt. Teraz Bergamutek się przyda, chociaż nie będzie prowadzić śledztwa. Niewykluczone, że jego szpiedzy wyłowią coś istotnego z plotek i przecieków nieładzi, powinien być informowany na bieżąco.

Radecki niemal automatycznie dorzucił jeszcze jedną osobę: Włodzimierza. Nie startował w wyborach, nie piastował żadnych stanowisk publicznych, a mimo to był jednym z najbardziej zaufanych w prawdziwym wampirzym sztabie, od stu lat stanowiąc wsparcie w tych wszystkich cichych przedsięwzięciach. To on będzie szukać Ponimirskiego, niech go szlag trafi, a wszystkie zęby zniszczy paradontoza!

– Może by zacząć od prezydenta? – podsunął Biela, mylnie odczytując zamyślane spojrzenie Radeckiego.

Marszałek spojrzał na niego zmęczonym wzrokiem. Jak się ci spin doktorzy nie nauczą w końcu, że są inni mądrzy, to przyjdzie mu strzelać albo gryźć tętnice...

– Jacek, a myślisz, że to mi nie przyszło do głowy? – Widząc zmartwiałą twarz rozmówcy, kontynuował sucho: – To jasne, że go zawiadomimy. W odpowiedniej chwili. Na razie nie zdążył nawet policzyć wszystkich żarówek w żyrandolach, nie będziemy mu zawracać głowy.

Nabrał tchu.

– Poza tym to śliska sprawa. Został wybrany wspólnymi siłami wszystkich nie ludzi, więc w jego kancelarii pełno ghuli i zombi, nie byłoby łatwo utrzymać w tajemnicy jego pomoc. I wszystkie sekrety... Nie, lepiej, żeby się nie denerwował, ładne wyglądanie dosyć go absorbuje.

– A może Ponimirski ukrył się w którymś z zakonów? – Biela wciąż zgodnie z przypisaną mu rolą tryskał pomysłami, choć było widać, że zżera go stres. – Kościół zawsze sprzyjał dysydemtom...

– Nie, gdyby tam się pojawił, to nasze śpiochy dałyby nam znać – uciał marszałek. – Kościoła do tego nie będziemy mieszać.

Zagryzł wargę, powiódł spojrzeniem po skromnie umeblowanym gabinecie – w końcu była to siedziba partii, Wiejska 12, a nie prywatny dom. Segregatory pełne papierów sąsiadowały z szafami pełnymi ulotek i innych materiałów wyborczych. Popatrzył na nich jak Churchill mówiący Anglikom, że będzie ciężko, ale w końcu wygrają.

– Musimy sobie poradzić sami, panowie. I to szybko. Szkoda, że nam uciekł, ale tego raczej należało się spodziewać.

Po tym jak spuścił po brzytwie spin doca, pozostali bali się odezwać, bo choć wampir nie lęka się byle czego, to lepiej nie narażać się Radeckiemu. Światowa Federacja Nie ludzi, która doprowadziła do tego, że nie tylko mogli cieszyć się życiem po prostu, ale też życiem publicznym, co stało się dla wampirzego plemienia świetną rozrywką, była daleko, a szef blisko. I mógł nie

być tak wyrozumiały jak przedstawiciele ŚFN, tu była Polska, kraj, gdzie rządziły kiel i pięść, a nie paragrafy.

Radecki i... Ponimirski. Hrabia też to organizował. I w tym kłopot. Znał ich metody, sposób rozumowania i postępowania w sytuacjach awaryjnych.

– Wy szukajcie tropu. Nie wiem, gdzie zacząć, ale dacie sobie radę. Ty – marszałek spojrzał surowo na Bielę – zaplanujesz wszystkie warianty działania, uwzględniasz taki, że Ponimirski zacznie sypać. Bergamutek, twoja rola to rozesłać wici w poszukiwaniu hrabiego, może ktoś coś słyszał. – Popatrzył na zegarek. Pora odwiedzić ostatnią osobę należącą do grupy kryzysowej. – Ja, cóż, muszę się wybrać na wycieczkę. Głodny jestem. I mam sprawę do załatwienia.

Willa na Bielanach wyglądała przeciętnie, nikt nie zwróciłby na nią uwagi, gdyby nie mieszkał tu lider Naszej Ziemi Gabor Daniłowicz. Nie spowijały jej niewidoczne nici ochrony BOR-u i innych służb przysługującej byłemu premierowi, a utrudniającej życie pozostałym mieszkańcom. Gabor nie chciał ochrony... przynajmniej nie ludzkiej. Ta zapewniana przez jego ghule i zombi wystarczyła w zupełności, aby nikt niepowołany nie przeniknął do środka willi.

Jednak willa była tylko przykrywką. W sensie dosłownym: prawdziwe serce partii biło w podziemiach. To tam w kilku podziemnych komorach rozpościerających się na wiele metrów w każdą stronę kryły się najtajniejsze pomieszczenia polskich zombi, ghuli i ich współpracowników.

Mieszkańcy okolicznych domów pewno niepomiernie by się zdziwili, gdyby nagle ich domy się zapadły i zaczęli wychodzić stamtąd członkowie partii. Jednak Daniłowicz bardzo dbał o stan techniczny infrastruktury, pracowali nad tym najlepsi zaufani inżynierowie, sprowadził nawet ghule ze Śląska, czasem przez tamtejszych górników mylone ze Skarbkiem. Cóż, mocno zwęglone skamieniałości też dało się jeść... Niektórzy, podążając za wegetariańską modą, podobno nawet się rozsmakowali w zwęglonych liściach wielkich paproci. W każdym razie komory

wydrążyli wzorowo, bez takich perypetii, jakie towarzyszyły budowie metra.

Najdłuższy tunel, noszący nazwę „ewakuacyjnego”, miał ponad trzy kilometry długości i prowadził... na cmentarz. Tam miał kilka wyjść: jedno przy kolumbarium, dwa w grobowcach rodzinnych, jedno w śmietniku.

Pod samą willą biegł pionowy szyb, w którym osadzono windę (choć w innym miejscu znajdowało się też wejście awaryjne, wąska schodnia z małymi stopniami, przyprawiająca równocześnie o zawrót głowy i klaustrofobię, przynajmniej Daniłowicza, który ją przetestował i zapowiedział, że nigdy więcej jej nie użyje). Sto metrów niżej zaczynał się szereg komór, w których zombi, ghule i reszta towarzystwa mieli swoje archiwa, laboratoria i wiele innych pomieszczeń, w tym więzienie.

Być może miejsce było ryzykowne, lepszy byłby niezaludniony teren, ale przecież nikomu nie przyjdzie na myśl szukać tajnych kryjówek w willowej dzielnicy, georadar dostałby ataku szaleństwa... Kryjówkę mogły wykryć tylko inne istoty nocy i ziemi, a przecież swój nie stanie przeciw swemu...

„Chyba że nazywa się Jerzy Maria Ponimirski herbu Złamany Kieł”, pomyślał z gorzką ironią Gabor, patrząc na Krajewskiego, który wrócił z rozmów z wampirami. Teraz razem z drugim sekretarzem, Thunem, chcieli omówić sytuację.

Otworzył drzwi windy i gestem zaprosił ich do środka. W milczeniu zjechali na dół. Thun, sztywny jak kij od szczotki, wydawał się nie doceniać powagi sytuacji, ale Gabor dobrze go znał: stary ghul rozważał wszystkie warianty postępowania. I zapewne szykował też sobie drogi ucieczki, przynajmniej dwie, na wypadek gdyby wampir oszalał i rzeczywiście wyjawiał ludziom prawdę. Thun był uczciwym ghulem, ale kiedyś powiedział, że nie poświęci własnej skóry dla jakiejś tam ideologii. Skądinąd dlatego Gabor wybrał go na swego sekretarza i doradcę. Ufał, że Thun będzie pracować na sukces plemienia, ale kiedy uzna, że dalej nie warto, stanie się to dla Daniłowicza sygnałem wartym rozważenia.

Gabor wciągnął nosem powietrze. Wentylacja działała nienagannie, mimo to nikły zapach skały i gleby przenikał do

systemu i nadawał powietrzu swojską nutę.

– Jak go dorwę przed nimi, rozkawałkuję drania – rzucił półgłosem.

Tu, na dole, mogli wreszcie porozmawiać bezpiecznie. W willi, pomimo ochrony i szeregu zabezpieczeń, Daniłowicz nie rozmawiał o rzeczach naprawdę ważnych, o ile nie musiał. Technika szpiegowska sięgnęła absurdów, drony wielkości muchy, kierunkowe mikrofony wychwytyjące dźwięk z odległości kilometra, kelnerzy w knajpach przylepiający pod talerz pluskwę... Tu mógł się obawiać wyłącznie zdrajcy ze swego plemienia, kogoś takiego jak Ponimirski.

Towarzysze Gabora jakby uznali, że padło hasło do przerwania ciszy, prychnęli. Dokładniej: prychnął Krajewski. Thun wessał powietrze, chociaż należało to potraktować raczej jak metaforę wsysania Ponimirskiego, gdy już go dopadną.

Szybko minęli komorę recepcyjną z gromadą strażników i przeszli do pierwszej sali konferencyjnej. Gabor usiadł na krześle, tamci obok niego.

– Zgodzili się?

Krajewski z wahaniem skinął głową.

– Nie mieli upoważnień, ale nie negocjowali. Skoro pytasz, wnioskuję, że nie wpłynął protest od Radeckiego, zatem możemy uznać, że zgodzili się na nasze warunki.

– Nie wpłynął – potwierdził Daniłowicz, pocierając brodę. – Zatem pomóżmy im go złapać. Trzeba też uruchomić naszych dziennikarzy i informatorów. Mimo wszystko lepiej, żeby hrabia nie dotarł do mediów... – I mógł odsłonić swój plan. Przynajmniej w części. – Ale nie ułatwiamy wampirom sytuacji. Jeśli to my go złapiemy, będziemy mogli żądać czegoś więcej...

Patrzyli na niego, a w ich spojrzeniach można były wyczytać pytanie: czego, skoro oficjalnie zażądali nadprogramowego ministra? Gabor uśmiechnął się lekko:

– Premiera w nowym rozdaniu, bracia w ziemi. Jeśli będziemy mieć Ponimirskiego w łapach, weźmiemy fotel premiera, ja wam to mówię.

Starał się, żeby jego głos brzmiał chłodno i nie zadźwięczały w nim tony jak z agitki w sali pełnej ogłupionych wyborców. W środku jednak drżał. Wampiry są głupie, niby stare i mądre, ale w gruncie rzeczy pycha ich zawsze gubi. I teraz Ponimirski też ich zgubi.

„Zostanę premierem”, myślał. Trzeba tylko schwytać hrabiego.

Wreszcie odprawił ich gestem. Chciał zostać sam. A właściwie – chciał zostać sam, żeby z kimś porozmawiać.

Powolnym, pełnym namysłu krokiem mijał kolejne komory, kierując się na południe. To tam, w jednym z najdalszych pomieszczeń, czuwał Piaskowy, jak go w myślach nazywał Daniłowicz.

Doszedł do wejścia odciętego żelaznymi drzwiami z cyfrowym zamkiem. Wstukał kod, przyłożył szorstką opuszkę do czytnika linii papilarnych, wreszcie uspokoił oddech i wypowiedział hasło.

Drzwi rozwarły się z lekkim cmoknięciem, a na korytarz wypłynęła fala ciepła i lekkiego zaduchu, spowijając ghula. W ciemności przed nim rozległ się szelest. Drobinki piasku osypywały się lekko z czegoś.

– Światło – zadysponował Daniłowicz.

Komora rozświetliła się przed nim jak przestrzeń po przyspieszonym wschodzie słońca. Była niewielka, może z pięć metrów na pięć, z łagodnie zaokrąglonym sufitem, zupełnie pusta, jeśli nie liczyć stojącej pod najdalszą ścianą wielkiej skrzyni z odwalonym wiekiem spoczywającym pod jedną z bocznych ścian. Wypełniał ją żółty, drobny piasek, z którego w jednym miejscu uformował się niewielki pagórek, jakby prądy powietrza w komorze utworzyły wydme.

To była wielka tajemnica ghuli. Niemal nikt nie wiedział, że w środku skrzyni ukrywa się piaskowy dzinn. Teraz wyłonił się z kwarcu jak rzeźba o ton ciemniejsza od podłoża.

– Jak poszło? – rzucił głuchym tonem.

Problemy były specjalnością Al-Ghazaniego, jak kazał siebie nazywać. Prawie zabili go egipscy wieśniacy, wpędzając między skalne ściany, skąd nie miał jak uciec. Nie odważyli się zabić, ale zamknęli pułapkę. Archeolodzy, którzy odkopali ją wiele wieków

później, spekulowali, że w tym sześcianie piasku musiały kryć się tajemnice – i tu się nie mylili, chociaż żadnemu nie przyszło do głowy, że to nie szabrownicy wyjęli dzbany i kosztowności, tylko dzinn skamieniał.

Teraz w piasku nabierał nowych sił. Jeśli nic się nie zmieni, potrwa to z wiek czy dwa. Daniłowicz starał się skrócić ten proces do minimum.

Na razie Al-Ghazani był pomocny w rozwiązywaniu problemów, a jeśli nawet nie pomocny, to dający inną perspektywę. Gabor szybko streścił mu wyniki rozmów.

– Na pewno opuścił swoją kryjówkę. – Głos piaskowego dzinna tchnął pewnością. – Szukałbym go u sojuszników. Oczywiście. Więc też odpada. Wybierz jakieś mało prawdopodobne miejsce na kryjówkę i tam zacznij.

– Taki miałem zamiar – zgodził się Daniłowicz.

– Jeszcze jedno – ciągnął Piaskowy szemrzącym głosem. – Niedobry piasek. Boli. Zmień.

– Taki sam kwarc jak w Egipcie – Daniłowicz lekceważąco machnął ręką – ale wezmę twoją prośbę pod uwagę...

– Weź raczej groźbę do serca – syknął Piaskowy.

Wracając na powierzchnię, Gabor obracał w głowie zaskakującą myśl. Z piasku bicza nie ukrećisz, ale z piaskowego dzinna...? Al-Ghazani był najwspanialszą bronią w jego ręku. Musi się tylko przystosować do lokalnych warunków. Demon nie wiedział, że egipski piasek może i dałoby się zdobyć – co za problem zorganizować kurierów albo przewóz jakimś jachtem w formie balastu? – jednak Daniłowicz z rozmysłem karmił go polską ziemią, licząc, że kiedy się zregeneruje, będzie już tak polski, że da się go wykorzystać tutaj, a egipskie wydmy przestaną go ciągnąć. Potrzebował silnych, a jednak zależnych od siebie osobowości.

A na razie trzeba zapolować na pana hrabiego. Uśmiechnął się wąskimi ustami, okrutnie i nieco lubieżnie.

Rodzina Hedów... a może Castavaliów? Nazwisko to nieistotny szczegół zaciemniający ich historię.

Od zawsze służyli władcom. Najczęściej ludziom, wtedy władcy nie wiedzieli, kim są Hedowie, chociaż zapewne niektórzy domyślali się, nie wnikając w szczegóły i oceniając wyniki, nie pochodzenie. Kiedy służyli wampirom, stawali się częścią klanu, przynajmniej tu, w tej części Europy, chociaż ich noże sięgały za ocean... Wspecjalizowani w technikach zbrodni i zdobywania wiedzy na miarę każdej epoki.

Teraz służyli Radeckiemu, słusznie uważając, że to on próbuje zaprowadzić ład w obu światach: nadziemnym i podziemnym.

Nigdy oczywiście nie poznał szczegółów, nie wiedział, ilu ich jest, gdzie są, co robią, jak się maskują. Równie dobrze pracować dla Hedy mógł jego spin doktor, jak też sprzątaczką w sejmowym biurze. Wiedział tyle, że w rodzinie są nawet adoptowani ghule i zombi. I że rodzina służy władzy, o ile władza służy rodzinie.

Radecki korzystał z ich umiejętności niechętnie, wiedząc, że z każdą sprawą zaciąga coraz wyższy dług. A w klanie nocy nie ma niespłaconych długów.

Jednak ta historia mogła ich wszystkich wystrzelić w kosmos, musiał porozmawiać ze starym Włodzimierzem, głową rodu.

Kiedy dotarł na Saską Kępe i wkroczył do wnętrza restauracji Hedo i Przyjaciele, pozostawiając ochronę na zewnątrz, przy kontuarze czekał już na niego Włodzimierz, chociaż Radecki mógł iść o zakład, że zanim tu podjechali, za kontuarem stały roześmiane dziewczyny, teraz zajmujące się innymi gośćmi. Czasem pracowała tu któraś z córek starego, ucząc się nie tyle obsługi, ile sztuki niedostrzegalnego wpływu na gości; najczęściej urodziwa Joanna, pod wieloma względami – takimi jak opanowanie i podejście do każdej sprawy – przypominająca Radeckiemu swojego ojca.

Nieludzie chętnie się tu spotykali, szczególnie wampiry, mając pewność, że nikt ich nie nagrywa. A jeśli nawet, to Hedo byłby ostatnim, który by sprzedał komuś taśmy. „Wiedzieć, nie powiedzieć, gdy trzeba, działać” – tak brzmiała jego dewiza.

– Sala czeka – zaczął Włodzimierz, zanim Radecki zdążył otworzyć usta. – Zaprowadzę pana, marszałku.

Ruszył przodem. Pomimo sporej tuszy poruszał się nadzwyczaj sprawnie. Zaprowadził go krętą drogą do sali w podziemiach. Mijali

jakieś siatki, kto wie, czy nie ekranujące. W każdym razie Radecki postanowił zaufać Włodzimierzowi, nie miał nic do stracenia.

– Ponimirski oszalał. Chce zrobić spektakularny *coming out* – zaczął marszałek, gdy usiedli. – Trzeba go znaleźć, zanim zrobi krzywdę... sobie i nam.

– Podjąłem pierwsze kroki.

Hedo uśmiechnął się w sposób, który w innych okolicznościach, gdyby towarzyszyła im ładna kobieta, można by nazwać lubieżnym. Jak widać, wieści już do niego dotarły.

Radecki w milczeniu skinął głową, co bynajmniej nie było przyzwoleniem, tego Hedo nie potrzebował, raczej uznaniem, że to rozsądna decyzja. Czas ich gonił, a hrabia niewątpliwie uciekał.

Nagle do sali weszła Joanna z tacą. Dwa kieliszki wina, a dla Radeckiego talerz z jedzeniem. Uśmiechnął się, wyczuwając duszoną wołowinę. Stary wiedział, co lubi. Podziękował dziewczynie skinieniem głowy. Była nie tylko mądra, także ładna, włosy spięte w kok nadawały jej porcelanowo delikatnej twarzy nieco azjatycki wygląd, a wąskie srebrne kolczyki w kształcie liści tylko podkreślały wdzięk długiej szyi. Poczekał, aż opuści pomieszczenie.

– Czego chcesz za to? – mruknął, chwytając sztucę.

Hedo przetarł drewniany blat. Tego nawyku nigdy się nie pozbył albo wręcz go pielęgnował. Było w tym opóźnienie momentu, gdy przyjdzie mu wymienić sposób i wysokość zapłaty. Przyglądał się jedzącemu marszałkowi.

– Teraz nic, panie Radecki – odparł wreszcie stłumionym głosem.

– Teraz nic. Jednak moja rodzina patrzy w przyszłość, choć się czerpie z przeszłości. Mój syn... wkrótce wejdzie w wiek dorosły. I chcę, żeby był pierwszym z rodziny, który nie będzie się kryć w cieniu.

– Stanowisko – stwierdził ze zrozumieniem Radecki, dziwiąc się, jak jednak proste priorytety mają wszystkie istoty.

Proste i te same. Piramida Masłowa rządzi.

– Dziś jest, jutro go nie ma. Nie, panie Radecki. Edukacja. Kontakty. Legalne, w formalny sposób, żeby nie był w nich zależny od innych. Niech je sobie wyrabia. – Hedo popatrzył z zadumą na prezesa partii. – Zrozumiem, jeśli się jednak nie będzie nadawać...

Radecki w milczeniu przez chwilę pracował sztucjami, wreszcie odsunął od siebie talerz. Zaspokoił pierwszy głód, tyle wystarczy.

– Najpierw muszę wygrać wybory. Ale oczywiście zgoda. Uzgodnimy to, żebyś nie był stratny.

Wstał.

– To nie zatrzymuję. Chociaż... żywy ma być?

– No raczej. – Radecki się zachmurzył. – Chociaż jak się nie da inaczej, to wiadomo, przeszkód nie ma.

Po całym dniu czuł się tak wypluty, że musiał choć chwilę odpocząć z Marianną.

Nie jest łatwo równolegle prowadzić życie nadziemne i podziemne, równocześnie być wampirem – czy szerzej, nieczłowiekiem dla nieludzi, istot ze świata mroku i ziemi – i człowiekiem, w dodatku obserwowanym, dla ludzi. Nosić w głowie dwa światy, dwa ubrania, zmieniać je w lot na potrzeby chwili. I nigdy się nie pomylić – nie pokazać wampirovi lukrowanego uśmiechu, a człowiekowi wampirzych kłów. Być swoim dla obu gatunków. I jeszcze politykiem, na którego ludzie muszą oddać głos, bo inaczej przepadnie...

Radeckiego przyprawiało to o ból głowy, bo niejeden człowiek gorszy był od wampira, o gulaszach nie wspominając. Ghule przynajmniej myślały, chociaż jak raz sobie coś ubzdurały, to koniec. I nie były lojalne. Radeckiego wciąż bolała myśl, że hrabia mógł do nich iść. Ale ludzie to dopiero była jazda. Dawniej się na nich po prostu polowało, a teraz... Teraz trzeba się mizdrzyć na żywo i w telewizji, a w tym durnym parlamencie uzgadniać jakieś prawa, ustawy, podatki... Makabra!

– Wciąż nie wróciłeś? – Marianna musnęła go ustami w policzek, ale nim zdążył ją objąć, odsunęła się i chwycił tylko powietrze owiane jej zapachem. – Poczekaj, za chwilę będzie coś specjalnego...

– Raz, dwa, trzy, wyloguj się ty – wyszeptał. – Już jestem tu, a nie ma mnie tam.

Poszedł do pokoju, zrzucił odzież roboczą, a włożył miękkie spodnie i koszulę. Tak przebrany poszedł do salonu.

Z kuchni utrzymanej w stylu stal i szkło dobiegały odgłosy krojenia. Czekał niecierpliwie. To dlatego w restauracji Hedy zaledwie zaspokoił pierwszy głód.

Po chwili Marianna wysunęła się stamtąd z palisandrową deseczką w rękach. Postawiła ją na stole pomiędzy nimi.

Leżał na niej kawałek absolutnie fenomenalnej wołowiny z Kobe. Sprężyste, ale nie twarde mięso z cieniutkimi żyłkami tłuszczu. Radecki wyciągnął palec i lekko nacisnął powierzchnię od swojej strony. Wypłynęła krew. Marianna zrobiła to samo, podczas kiedy Radecki już z lubością oblizywał palec.

Przez chwilę rozkoszowali się mięsem tak różnym od tych wszystkich preparatów witaminowych, krwiopochodnych i podobnej sztuczniźny, którą konsumowali na co dzień.

– Już? – Marianna podniosła na niego wzrok.

Radecki po raz ostatni popieścił mięso palcem, oblizał opuszkę, wreszcie skinął głową.

Marianna zabrała deseczkę do kuchni. Tam najpierw ostrym japońskim nożem pocięła mięso w plastry, po sekundzie zaczęło skwierczeć na patelni. Trzy minuty, żeby stek był mocno krwisty w środku, ścięty z zewnątrz.

Patrząc na nią, pojął, że dla tych chwil żyje.

Kiedy jedli, opowiedziała mu o tym, co się wydarzyło w urzędzie. Nie musiała pracować, ale postanowiła mieć własne życie, Urząd Patentowy spełniał tę potrzebę w jakimś zakresie, choć czasem wspominała o potrzebie zmiany.

Westchnął, odsuwając pusty talerz.

– Muszę się chwilę przespać. O świcie jadę do Katowic.

– Coś się stało?

Wyczuła jego zdenerwowanie. Patrzyła na niego ze smutkiem, ale bez pretensji. Ot, los żony polityka, choćby i wampirzycy.

Wzruszył ramionami. Nie chciał jej okłamywać, starał się nie mówić zbyt wiele, chociaż sama umiała poskładać wiele rzeczy.

– Kłopoty, jak zwykle. Może trochę większe niż zazwyczaj...

Pomyślał, że wcześniej musi zrobić jeszcze jedną rzecz. Zostawił ją i z pokoju wykonał dwa krótkie połączenia.

Zjechali się na trzy minuty: Radecki, Gabor i Machacz. Wampir, ghul i zombi stanęli na pustym parkingu gdzieś na przedmieściach Warszawy w miejscu tak mało ważnym, że nawet nie warto wymieniać jego nazwy. Weszli w głąb zarośli.

– To nasz wampir i nam uciekł, ale to jest wspólna sprawa – zaczął Radecki, wbijając dłonie w kieszenie płaszcza, żeby nie było widać, jak mocno je zaciska. – My go szukamy, wy możecie zajmować się czym innym. Wątek poszukiwania hrabiego nie może pod żadnym pozorem nigdy wyciec, żadnych aluzji, nic, cisza nad tą trumną. Jasne? Nie ma rozgrywania tematu nawet pośród nie ludzi.

– Gdyby to miał być temat, Radecki, nie wysyłałibyśmy delegacji z ostrzeżeniem – odpowiedział Gabor w imieniu obu ras.

W jego głębokim głosie słychać było irytację.

Wampir wzruszył ramionami. Popatrzył na Machacza. Jakżeż wkurzał go ten elegancik...

– Za długo żyję, aby nie wiedzieć, że w kampanii będzie to was kusić. Wystarczy iskra, myśl, że jakby na tym zagrać, to wybór stanie się oczywisty: skoro wampiry zawiodły, w ich szeregach zrodził się zdrajca, to na kogo głosować, jak nie na zjednoczone ghule i zombi? Wampirze, głosuj na nas... – W głosie Radeckiego szyderstwo mieszało się z goryczą. Tupnięciem buta zmiażdżył jakiegoś chrząszcza, który wszedł mu w drogę. – Dlatego rozmawiam z wami, przywódcami, Gabor. Proszę, żebyście wzięli za pyski swoich. Kampania: tak. Granie na aferze z Ponimirskim: nie. My go sami rozliczymy, bez obaw, niech tylko wpadnie nam w łapy.

– Tak będzie – odparł Machacz. Węszył. Widać zapach rozgniecionego chrząszcza go drażnił. – Co nie zmienia faktu, że trzeba szybko hrabiego złapać.

Radecki popatrzył na niego z pogardą. Daniłowicz przynajmniej miał klasę, priorytety, horyzonty. A ten? Wymuskany czaruś prowadzący sieć sklepów odzieżowych, a ponadto sponsorujący parę pism z horrorami. Oczywiście niejawną linią programową kreowała jego rasę na prawdziwych macho, a jazdy po wampirach były na porządku dziennym. Miał szczęście, że żaden wampir dotąd nie

zaszedł do siedziby tego jego, pozał się Boże, koncernu prasowego i nie wrzucił granatu albo śmierdzącej świni.

Odwrócił się w stronę auta. Trzeba było ruszać w drogę do miejsca, gdzie mógł ukrywać się hrabia.

– Przecież mówiłem, że się tym zajmiemy. Już się zajmujemy...

Była noc, Driller, szef opozycyjnej Unii Społecznej, pracował w domu nad wystąpieniem. Wizyta jednego z zaufanych ludzi go zaskoczyła.

Kostenko nerwowym gestem przetarł czoło spocone po biegu. Wiedział, że trzeba biec, bo im szybciej, tym lepiej, szef nie wybacza. A telefon mógł być na podsłuchu, jak nie służb, to kelnerów. Albo reptilian. Dlatego jechał tu jak szalony, a od podjazdu biegł. Coś za coś. Nie chciał przestać być zaufanym.

– Pedeki szukają kogoś swojego. Podobno chce zdradzić.

„Pedekami” w Unii nazywano członków Partii Demokratycznej.

– Transfer? – Krzaczaste brwi Drillera uniosły się wysoko w górę. To zawsze łakomy kąsek, szczególnie jeśli to ktoś znany. – Wiesz, o kogo chodzi?

– Raczej boją się, że ujawni sekrety partyjne. To hrabia Ponimirski.

Driller gwałtownie odsunął się od Kostenki. Był wychodzącym już z wieku średniego drobnym mężczyzną o rysach dowodzących, że z niejednego pieca chleb jadł, a czasem nawet się sparzył. Rysy zdradzały też bezwzględność – i to była jeszcze bardziej prawda. Kiedy zwiertzył szansę uzyskania korzyści, chwycił się jej z całą stanowczością i bez skrupułów. Jego ludzie czasem coś widzieli, ale nie rozumieli, on był generałem, strategiem, starał się patrzeć szerzej i dalej.

– Niemożliwe – wycedził.

To musi być plotka albo celowo puszczona dezinformacja. Hrabia tyle wiedział, że mógłby z dymem puścić całą swoją partię, zapewne także koalicjantów, a i pozostałym zdołałby dopiec, w tym Unii Społecznej. W polityce działał od kilku dekad, Driller pamiętał go jeszcze z czasów, gdy on sam należał do ZSMP, a hrabia zakładał

jakieś kółka czytelnicze, pod których przykrywką krytykowało się dzieła Marksa, Engelsa i Lenina, „marcowych doktorów” i całą resztę systemu. Nie to, żeby w kołach ZSMP-owskich nie krytykowano, ale tu była na to zgoda, a tamci jej nie mieli.

W nowszych czasach hrabia wyszedł na powierzchnię i szybko wybił się jako autorytet, został posłem, parę razy sięgnął po stanowiska ministerialne, o ile Driller dobrze pamiętał, raz nawet na krótko został premierem. I teraz miałyby zdradzić swoich? Nie-możli-we!

Zapewne była to podpucha jak słodki nektar w rosiczce, roślinie zjadającej owady. Pedeki testują, kto da się nabrać.

Z drugiej strony... instynkt podpowiadał Drillerowi, że coś jest na rzeczy. Ten sam instynkt, który wielekroć uratował go przed polityczną śmiercią, na przykład w porę każąc wdziać szaty socjaldemokraty.

Pociągnął nosem. W powietrzu najbardziej było czuć wentylatory – to jest iluzja, że nie czuć kurzu. Dobry polityk wywacha kłaki kurzu wszędzie. I teraz Drillerowi hrabia Ponimirski wydał się takim właśnie kłakiem targanym jakimiś wewnętrznymi niepokojami czy egzaltacjami, które hodował w sobie jako dowód przyszywanej arystokracji. Jeśli uda się do niego dotrzeć, przekonać... W myślach gorączkowo szukał posady, którą mógłby skusić hrabiego.

– Szukamy go – mruknął do czekającego asystenta. – Uruchom maszynę, ale wiesz... – Zrobił ruch ręką, oznaczający „po cichu”. – Jak go złapiemy, wrócimy do gry, więc działać!

Porażka z kandydatką na prezydenta omal nie wysadziła go z siodła, może więc los przyniósł okazję odkucia się?

Ściemniało się, kiedy ponuro milczący asystent uznał, że pora coś powiedzieć. Próbował i wcześniej, ale wściekłe syknięcia Ponimirskiego skutecznie studziły jego zapał.

– Hrabio, pomyliliśmy drogę, zabłądziliśmy! – wrzasnął. – Nie jedziemy na Katowice, tylko na...

Przed nimi znów pojawiła się tablica z napisem „Wisła”.

Rozdział 2

Było już ciemno. Księżyc świecił, więc oba wampiry mogły wędrować bez przeszkód. Trudno jednak być zadowolonym z takiego obrotu sprawy.

Bardziej niezadowolony był oczywiście Vargas jak szarpa dźwigający większość bagaży, podczas gdy hrabia podpierał się jedynie swoją arystokratyczną laską ze złotą gałką, a na plecach niósł mały wygodny plecak.

Niezadowolenie sekretarza było tym większe, że przecież próbował ostrzec hrabiego, iż zamiast w kryjówce w Katowicach wylądują gdzieś w rowie. Że zmierzają w stronę Wisły. I wylądowali – na parkingu, kiedy wokół nich zamiast katowickich wieżowców wyrosły góry porośnięte lasem.

Parking był przytulony do łagodnego zbocza. Chwilę wcześniej samochód prowadzony niepewną ręką arystokraty zaczął stękać, przemawiać burkliwie do innych pojazdów na drodze – i niewiele brakowało, a zaparkowaliby między dwoma tirami. Na szczęście udało się go osadzić na parkingu. Osadzić całkiem dosłownie, bo w ostatniej chwili coś się posypało w skrzyni biegów i opel uderzył lekko w betonowy słupek jak wrak osiadający na koralowej rafie.

– Trzeba szukać jakiegoś hotelu – stwierdził natychmiast sekretarz.

Hrabia tylko prychnął z pogardą.

– Zaczynamy nowe życie, mój drogi – oznajmił z entuzjazmem godnym lepszej sprawy, na przykład otwarcia Szkoły im. Jerzego Ponimirskiego. – A pierwszym etapem będzie zgubienie ewentualnej pogoni. Po nocy auta nie znajdują, ale lepiej nie ryzykować, musimy zrobić z dziesięć kilometrów, zanim ich zgubimy.

Wskazał ręką szczyt. Porzucili w aucie walizki i większość bagaży hrabiego, wybrali dwa plecaki i rozpoczęli wędrowkę, potykając się na podejściu, zanim nabrali trochę wprawy, a wzrok przyzwyczaił

się do skąpych ilości światła. Jasne, że w filmach i książkach byle wampir wzrok ma jak radary NORAD-u, słuch jak najlepsza szpiegowska aparatura wykorzystywana przez Bonda. W życiu należało te umiejętności podzielić przez dziesięć, choć nadal odbiegały od możliwości przeciętnego człowieka.

Po drugiej stronie szczytu był – cóż za odkrycie godne uwiecznienia na mapach! – kolejny szczyt... Ani się spostrzegli, jak wędrując w ciemnościach, zrobili tych kilometrów więcej niż dziesięć. Po drodze przecięli dwa strumyki, hartując stopy lodową wodą. Wreszcie hrabia uznał, że może uda się spocząć pod jakimś drzewem.

Nagle jednak przyjrzał się uważniej i wskazał odległy punkt na stoku przed nimi, majaczący w mdłym blasku księżyca.

– Widzisz ten szałas? Tam przenocujemy. Pozbieram myśli i zastanowię się, co dalej.

Nocleg pod gwiazdami, w pustym szałasie, z szurającymi cicho robakami – Wargas wprost marzył o czymś takim, tylko nigdy nie miał odwagi na to się zdecydować, zawsze wygrywały ciepłe łóżko i drink przed snem.

Hrabia jednak wydawał się zadowolony ze swego losu. Gdy dotarli na miejsce, ułożył się wygodnie i w milczeniu rozmyślał zapewne o tych wszystkich miękkich fiutkach wampirach, zombi i ghulach, które nigdy by nie porzuciły wygody na rzecz spartańskiego życia i prawdziwych, surowych, jednoznacznych wartości.

Maszkietą prowadził swoją kampanię na Śląsku, a że to teren gorący, kopalnie, huty, płonące hałdy, strajki, prawie się stamtąd nie ruszał. Nie było szans, aby go ściągnąć w trybie pilnym, zresztą wtedy straciliby element zaskoczenia.

Zrobili mu więc wjazd na chatę: Radecki, Szumilas i znający lokalne realia Kuczera, także poseł ze Śląska, tyle że ostatnio zaimplementowany w warszawskie układy. Trasę ze stolicy pokonali w dwie i pół godziny, cały czas pozostając w kontakcie z jednym ze szpiegów Radeckiego. Tamten miał im dać znać, kiedy Maszkietą

wróci do domu. Radecki się wahał, może powinien jednak zostać w Warszawie, uznał jednak, że Śląsk jest takim matecznikiem Ponimirskiego, że dopiero obecność szefa postawi kropkę nad i: ktokolwiek udzieli pomocy dysydentowi, może szukać sobie nowego miejsca do życia, o ile zdoła ująć pogoni.

Dojeżdżali, kiedy dostali informację, że samochód posła dotarł do jego domu. Teraz, wiadomo, kąpiel usuwająca skutki brania na klatę tłumów wyborców i światła, koktajle witaminowe, potem coś zjeść, wreszcie odpocząć.

Podjechali pod bramę i od razu, żeby uniknąć nieporozumień, Radecki wysiadł majestatycznie z auta, podszedł pod kamerkę i wycodził do mikrofonu:

– Ani mi się waż udawać, że akurat masz wiec wyborczy w kopalni.

W odpowiedzi szczęknął zamek i brama wjazdowa zaczęła się otwierać jak gródź statku.

Nim wysiedli, poseł już zbiegał po schodach: nie w pełni ubrany, z miną jak przerażony pies, ale pospiesznie walił na dół, bo zlekceważyć szefa swego to jak samemu poprosić o kłopoty i sąd partyjny. Cokolwiek zresztą myślał, nie dał tego po sobie poznać. Przywitał ich kordialnie, po czym zaprosił do środka, bo wiadomo: żaden wampir nie będzie toczyć poważnej rozmowy na zewnątrz. A skoro z Warszawy pofatygował się sam prezes z piekielnie mocną obstawą, to *musi* być jakaś poważna sprawa.

W salonie czekała na nich niespodzianka w postaci... regionalnego samorządowca, członka RAŚ, Wacława Gonery. Człowieka. Popijając koniak, spokojnie czekał na resztę towarzystwa. Flaszki na stole i przekąski nie pozostawiały wątpliwości, że właśnie trwały jakieś uzgodnienia polityczne na wysokim szczeblu kontynuowane po powrocie z ostatniej czynnej restauracji.

– Flirtujesz z człowiekiem? – Radecki się skrzywił, pociągając Maszkietę za poję marynarki i szepcząc do ucha.

– Przecież to nasz, koalicyjny, z wojewódzkiego sejmiku... – odszepnął skonfundowany poseł, zatrzymując się w progu.

– Ale żeby go przyjmować w domu...

Radecki nie krył niesmaku. Mimo to nie było wyjścia, przekroczył próg i zasiadł przy stole.

Godzinę stracili na bzdurne rozmowy o niczym, dopiero po kilku kolejnych kawałkach sushi i lampkach koniaku Gonera pojął, że choćby tamci mieli czekać do rana, nie będzie świadkiem rozmowy posła ze swoją partyjną wierchuszką.

Uwolnieni od jego męczącej obecności szybko wyjaśnili gospodarzowi powód najścia.

– Ale jak to... zdrada? – Maszkieta z trudem przełknął ślinę, próbując zebrać do kupy rozbiegane spojrzenie. Kiedy ujrzał w kameronie Radeckiego, od razu wiedział, że szykuje się afera, ale że aż taka, któż mógł się spodziewać?! – Jak on mógł to zrobić?!

Radecki tylko prychnął pod nosem, za to Szumilas nie był taki uprzejmy.

– Nie pierdziel, Jasiu, błagam. Znacie się z Ponimirskim chyba od pierwszego łyku krwi, mieszkaliście obok siebie ze trzy dekady, zanim przeprowadził się do stolicy. Na pewno coś ci mówił. My nawet nie pytamy co, my chcemy wiedzieć, gdzie ta łajza się teraz ukrywa...

Maszkieta prawie już nie oddychał, a dla uspokojenia nerwów liczył w myślach zarazonych przez siebie wampiryzmem. Oczywiście zanim weszło restrykcyjne prawo zakazujące takich praktyk.

– No, coś tam mówił...

Radecki podniósł wzrok. Oczy starego wampira świdrowały posła, bez trudu można było wyczytać rosnący gniew.

– Miał wątpliwości, czy to wszystko ma sens – wyjąkał Maszkieta, ściskając koniakówkę, jakby chciał ją zmiąć niczym świstek papieru.

– Mówił, że przestajemy być wampirami, że zagubiliśmy swoje prawdziwe „ja”...

– Dobra, gdzie się może ukrywać? – przerwał mu marszałek.

Narzekania hrabiego znał aż za dobrze, słyszał je tyle razy, że całą litanie mógłby wymienić z pamięci.

– A nie w swoim domu? – wyszeptał skulony Maszkieta.

W niczym nie przypominał w tej chwili śląskiego barona, posła, przed którym drżą wrogowie, zaś sojusznicy boją się chwili wypadnięcia z łask. Był małym, zastraszoną zwierzątkiem.

Nagle dotarło do niego, że przecież gdyby arystokrata siedział w domu, toby go już znaleźli.

– Może ma kryjówki w tych domach i galeriach, co to je budował? – podsunął.

– O, tak mi mów, Jasiu! – pochwalił Radecki. Spojrzał rozkazująco na Szumilasa. – Daj naszym znać, żeby sprawdzili inwestycje i posłali tam szperaczy; może, robiąc te biurowce czy galerie handlowe, coś tam i dla siebie wykręcił, jakiś mały schron albo coś... A ty – spojrzał na Maszkietę i jego wzrok znów załśnił złością, bo nie pochwalał takiego fraternizowania się z hołotą, za jaką uważał RAŚ – masz dwa zadania w tej chwili: mniej ważne, zdobyć mandat, i ważniejsze, nadstawić ucha i nos na wiatr. Jakbyś się czegoś dowiedział... Rozumiesz, dlaczego to jest ważniejsze?

Maszkietę gorliwie kiwał głową od kilku sekund. To jasne. Nie będzie żadnych mandatów, jak Ponimirski zacznie sypać – chyba że mandaty drogowe, gdy będą uciekać z kraju, łamiąc wszelkie możliwe ograniczenia prędkości.

– No! – Radecki uspokajająco poklepał go po ramieniu. – To my spadamy, Warszawa wzywa. Jesteśmy w kontakcie.

Tymczasem ani Warszawa, ani Polska nic nie wiedziały o zaciętej rywalizacji partii ludzi i stworzeń nocy.

Warszawa i Polska, od tej „A” do „Z”, narzekały na billboardy, na plakaty zaśmiecające wszystkie dostępne płaszczyzny, na debilnych polityków, na telewizję, w której spoty reklamowe oferowały bajki dla naiwnych i zdesperowanych.

Ludzie chcieli świętego spokoju i zapewne ani kampania, ani problemy hrabiego Ponimirskiego i jego pobratymców w ogóle ich nie interesowały. Chcieli chleba i igrzysk, a przede wszystkim pracy i płacy.

Zaraz. Tu właśnie tkwił problem. Igrzyska mają swoich gladiatorów – i jeśli hrabia Ponimirski naprawdę zdradzi, to wampiry, ghule, zombi i reszta mogą wbrew swej woli znaleźć się na arenie.

Na razie jednak Warszawa i Polska nic nie wiedziały o takiej możliwości, chociaż napięcie już się czuło.

Rankiem, który dla hrabiego oznaczał czas po dobrze przespanej nocy, natomiast dla jego asystenta był kontynuacją koszmaru – otóż rankiem obudzili się i wtedy, widząc nad sobą krokwie prymitywnego szałas, a pod ubraniem czując drzazgi, przypomnieli sobie, że nocleg miał wypaść w superkryjówce hrabiego w Katowicach, a dziwnym trafem wypadł w górach niedaleko Wisły.

Ta myśl poraziła Wargasa. Podczas gdy hrabia wciąż leniwie przeciągał się na swojej części podłogi nieświadom niebezpieczeństwa, jego sekretarz zerwał się na równe nogi.

– Turyści!

– Gdzie są? – wyburczał hrabia.

Nie epatował precyzją myślenia, nie przed przyniesionym do łóżka śniadaniem, kawą z mlekiem i pierwszym kieliszkiem porto.

– Jeszcze by tego brakowało! – Sekretarz z niesmakiem pokręcił głową, pozbywając się zaplątanych we włosy trocin i źdźbeł trawy, które wiatr zdołał wcisnąć do środka albo wnieśli je na butach. – Przecież nie mogą nas zobaczyć, hrabio! Wyobraża pan sobie własne zdjęcie wrzucone na jakiś portal społecznościowy w ogniu kampanii wyborczej? Poza tym mamy się ukrywać!

Hrabia nie odpowiedział. Wstał, wyjrzał przed szałas. Wargas poszedł jego śladem.

Nagle daleko na stoku rozległo się łagodne beczenie, któremu towarzyszył melodyjny dźwięk dzwoneczka. Owca. Po chwili dołączyło do niej kilka innych głosów, a jedno ze stworzeń nawet się pokazało, wychodząc zza zarośli. Wyglądało jak kulka Raffaello obok kilku liści mięty.

Hrabia Ponimirski, wielki miłośnik prawdy i powrotu do natury, nerwowo oblizwał cienkie, nieco okrutne wargi.

– Może by tak zapolować? – westchnął tęsknie.

Jego sekretarz po cichu odliczył do trzech. Wyobraźnia podsunęła mu obraz hrabiego człapiącego w stronę owiec. A jeśli czeka tam jakiś baran? Z rogami? Być może hrabia Ponimirski uważał się za

wampira ze starych dobrych czasów i w chwili zagrożenia odwróciły losy konfrontacji, ale czy jednak nie przeceniał własnych sił? Co, gdyby jakiś dziennikarzyna cyknął fotkę z wampirem nabitym na rogi jakiegoś, pardon, barana?

„Hmm – myślał pospiesznie – na pewno wtedy hrabia nie wydałby nikogo. Ale gdyby śledczy doszli do tego, że to nie człowiek, lecz wampir... Nie, nie, to gorsze, niżby «Fakt» napisał, że baran zeżarł, *excusez le mot*, osła Ponimirskiego”.

– Ja pójdę – zaproponował, w myśli obrzucając się obelgami, że taki wyrywny, a przecież wygodnie się mieszkało w stolicy, prawda?

Elektryczność, bieżąca woda, samochód, preparaty witaminowe, nawet niwelatory pozwalające spożywać normalne ludzkie posiłki...

Kiedy wrócił po krótkiej chwili nieco zdyszany, hrabia popatrzył na niego z zadumą. Żadnych śladów walki, żerowania, nic. Wbił w niego spojrzenie, nie kryjąc niezadowolenia.

– Gdzie owca?

– Na stoku – stwierdził oschle sekretarz.

Nie chciał wdawać się w szczegóły, ale właśnie po raz kolejny utwierdził się w szacunku do cywilizacji, mięsa na talerzu, zaś awersja do baraniny sięgnęła szczytu.

– Tego się spodziewałem. – Hrabia ze smutkiem przyglądał się gałce swojej laski. – Nowe pokolenie, miękko chowane...

Machnął laską, ze świstem przecinając powietrze jak rapierem, i ruszył przed siebie.

Sekretarz próbował chwycić go za połę, pojmując, że hrabia sam zamierza zapolować na owcę. Ponimirski odepchnął go nadspodziewanie energicznym gestem, a potem puścił się galopem w stronę wciąż pobekujących owiec.

Wargas patrzył na to, czując, jak rozdziera go lojalność wobec swego pana wepchnięta w konflikt ze zdrowym rozsądkiem i... strachem. Podobno wampiry niczego się nie boją. No cóż, dotąd sekretarz też tak uważał. Do spaceru w dół stoku parę minut temu. Powinien wesprzeć hrabiego, jednak...

Ten nikł w oczach, roztopiając się w płaszczyźnie soczystej trawy. Potem widać przypomniał sobie, jak to było być skautem, bo pochylił się i całkiem zniknął Wargasowi z widoku. W tej chwili nie

przypominał już pośła, stał się myśliwym... a samotna owca wciąż spokojnie szczypała trawę obok niskiej choinki.

Nagle – to znaczy nagle dla hrabiego, bo sekretarz tego się właśnie spodziewał – z trawy wyskoczyły dwa psy. I to nie takie zwykłe pieski, jakie trzymali ludzie i które z premedytacją ogryzały łydki wampirów, zmuszając je do głupich tłumaczeń w rodzaju „pewno czuje kotka”. Nie, to dwa bysiory wielkie jak cielak, prawie białe – niewykluczone, że z daleka można się było pomylić, wziąć je za owce leżące w trawie. To jednak nie były słodkie kulki Raffaello, zmierzały ku hrabiemu jak dwa użębione, ujadające pociski. Nikt z pewnością by ich nie pomylił z łagodnymi kudłaczami.

Hrabia rzucił się do ucieczki w górę, a Wargas wskoczył do szałasu i sprawdził, czy drzwi są solidne, po czym je zamknął. Zatrzasnął też jedyne okno, kiedy tylko hrabia wskoczył do środka.

Arystokrata próbował coś powiedzieć, ale z jego gardła wydobyło się zaledwie zgoła nieszlacheckie chrząkanie. W niczym nie przypominał w tej chwili hrabiego, pośła Rzeczypospolitej ani nawet wampira, który zawsze jest myśliwym – przynajmniej jeśli wierzyć wcześniejszemu słowom Ponimirskiego.

Przypominał ofiarę losu.

Nagle od zewnątrz coś rąbnęło w ścianę z siłą nadjeżdżającego czołgu. Szalas się zatrząsł, z góry osypały się drobiny kory i igieł. Wargas popatrzył na dach, który znajdował się niepokojąco wysoko, belki pod nim mogły nie pomieścić dwóch osób. A w środku nie było narzędzi do obrony.

– Pójdą sobie w końcu – próbował zbagatelizować sprawę hrabia.

W odpowiedzi rozległ się chrzęst miazdzonego potężnymi szczękami drewna, jakby ktoś próbował wygryźć sobie drogę do środka.

Niewyspany Radecki (ciężko się wyspać w czasie nocnego powrotu z Katowic) w swoim gabinecie siedział właśnie nad autoryzacją wywiadu dla „Newsweeka”, razem z Szumilasem biedząc się nad taką giętkością zdań, aby niczego nie wyrażały, nikogo nie obraziły, a jeszcze pozwoliły wkręcić czytelnika w oddanie głosu na Partię

Demokratyczną, kiedy do pokoju wpadł Biela. Czujnym spojrzeniem powiódł po wnętrzu, wreszcie podekscytowany wypalił:

– Miałeś nosa, szefie! Jest zdjęcie z kamery. Jechał do Katowic! Razem z sekretarzem.

– A jednak! – wykrzyknął Radecki, wcale nie zadowolony z wyniku. Po zniknięciu Wargasa od razu wiedział, co się dzieje. Lojalność wobec partii oba wampiry miały mniejszą niż wobec siebie. To było jedynie smutne potwierdzenie faktu. – Jechał do Maszkiety! I może nawet tam się ukrywa...

– Nie, chyba że przemknął przez sieci... Kuczerę też obserwujemy, nie ma go tam – uspokoił go Biela. – Ale trzeba przeczesać potencjalne kryjówki. Trop, że budował je w swoich obiektach, wydaje mi się słuszny.

Radecki odesłał swoich ludzi, w milczeniu popatrzył na portrety poprzedników, jakby chciał ich zapytać, czy oni także musieli się mierzyć z takimi wyzwaniem, wreszcie sięgnął po telefon i wybrał numer starego Hedy. Powiedział mu o odkryciu.

– No to masz trop, działaj – zakończył. – Chyba że wolisz za mnie autoryzować jakiś wywiad...

– Nie. – Głos Włodzimierza w telefonie wydawał się jeszcze niższy i głębszy niż na żywo. – Wolę swoją robotę, panie Radecki.

– Pamiętasz, co ci mówiłem? – Głos Radeckiego zabrzmiał ostro, zgrzytliwie jak odgłos przesuwanej zardzewiałej sztaby żelaza w łożysku pełnym paprochów. – Chciałbym go mieć żywego. Ale jeśli będzie się opierać, ucisz go.

Przerwał rozmowę i głęboko się zamyślił. A kiedy ponownie pojawili się Biela z Szumilaszem, nie mieli odwagi mu przerywać. Znów zobaczyli przed sobą wampira, który od kilkudziesięciu lat rządził Polską. A przynajmniej klanem nocy. Takim lepiej nie wchodzić w drogę. Nawet jeśli piastuje się stanowisko będące spełnieniem marzeń innych wampirów.

Z samego szczytu góralskiego szałas widoki były przepiękne. Zapach świeżo rozgryzionego drzewa też kręcił w nosie jak najlepsze żywiczne kadzidełko.

– Chyba możemy już zejść – stwierdził ostrożnie sekretarz.

Psy zniknęły w dole stoku, beczenie też oddaliło się i ucichło, a palącą sprawą stało się nie tylko słońce wznoszące się coraz wyżej, lecz także świadomość, że w końcu ktoś ich tu nakryje. I wtedy hrabia Ponimirski, były premier, minister sprawiedliwości, obecnie poseł, znajdzie się w sytuacji kompromitującej. A i to przy założeniu, że nakryją ich przypadkowi turyści albo właściciele tego, czym do niedawna był szałas. Bo jeśli nakryją ich siepacze Radeckiego, cóż... Sekretarz nie miał złudzeń: rodzina Hedów już ruszyła w pogoń.

– Musimy się ukryć. Najlepiej w bunkrze w Katowicach – dodał.

Hrabia, choć nieco sfatygowany, nagle ożył. Miał czas zastanowić się nad metaforyczną symboliką tego zdarzenia. „Oto, jak nisko upadliśmy. Została nam tylko polityka, strzyżenie owiec, ale rękoma innych – myślał. – W zwykłym psie jest więcej życia niż w nas...”.

Teraz jednak czas rozważań dobiegł końca. Zsunął się na murawę, wyprostował, przeciągnął. Popatrzył na czyniącego to samo swojego sekretarza.

– Myślisz, że to bezpieczne miejsce? – Uśmiechnął się lekko.

Galeria Katowicka miała zrewolucjonizować centrum miasta. Na wizualizacjach błękit budynku wrastającego w dworzec kolejowy sprawiał wrażenie, że klienci i pasażerowie wkraczą do nieba na ziemi, więc nie muszą czekać na to powyżej, nad galerią. Chciało się tam wejść, zanurzyć w ten świat. Szeroki pasaż między domami a świątynią konsumpcji prowadzący do dworcowej hali rodził dylemat, czy nie skrócić na krótką modlitwę portfelem.

Życie wprowadziło poprawkę: między ocalałymi z budowlanego pogromu kamienicami a budynkiem galerii pozostała tylko wąska, brudna kiszka, zaś sama galeria, w przeciwieństwie do wizualizacji, była szara i nijaka, sprawiała wrażenie porośniętej brudem osadzającym się od dekad.

Ludzie nadal tu przychodzili, choć rzadko w tym celu, by podziwiać artyzm architektów i budowniczych.

Ci, którzy zmierzali teraz w stronę Galerii Katowickiej spokojnym krokiem, wydawali się zwyczajni. Tylko wprawne oko kogoś szukającego takiej właśnie pary z dzieckiem mogło wychwycić różnicę.

Było ich troje: wysoki, elegancki mężczyzna w prochowcu i z torbą laptopa w ręku, trochę tylko niższa wysportowana kobieta w ciemnoniebieskiej garsonce z włosami spiętymi w kok i rysami twarzy nadającym jej nieco azjatycki charakter oraz rozbrykane dziecko, które co chwila gdzieś podbiegało, jakby chciało palcem sprawdzić wszystkie kąty, czy nie ma tam kurzu. Kobieta trochę na nie pokrzykiwała, ale wydawała się nieco onieśmielona obecnością w takiej galerii.

– Antoś, nie rób mi wstydu! – błagała. – Przyszliśmy tu na zakupy!

Był ranek, kupujących niewiele, alejki galerii, sklepy i kafejki zwykle zapełniały się po południu, oczywiście poza weekendem, w środku tygodnia. Teraz większość odwiedzających stanowili uczniowie okolicznych szkół i uczelni. Trójka z bachorem nie stanowiła dla nikogo atrakcji. Nikt nie śledził ich na monitorach, byli tak nudni w swej neofickiej chęci obkupienia się, że przez to wręcz straszni. Wyglądali na parę, która dopiero wczoraj dostała z dawna oczekiwany przelew na konto i teraz szaleje. Jutro mogą mieć moralnego kaca, że zamiast w second-handzie zakupy robią w najdroższym miejscu w okolicy, ale dziś jest ich dzień, przez chwilę, przez godzinę poczują się *kimś*. Już kupili laptopa dla mężczyzny, teraz jeszcze sprawią mu spodnie, nową sukienkę dla niej, dziecku lody i może nawet duży zestaw klocków Lego. I jeszcze usiądą w pizzerii – i nie po to, aby obserwować, jak inni jedzą, albo zamówić najtańsze picie.

Krążyli po galerii, wjechali na pierwsze piętro, przeszli się dookoła, zaglądając do kilku sklepów, wjechali ruchomymi schodami na poziom z kinem, nawet chyba przez chwilę zastanawiali się, czy nie skorzystać, ale kobieta kręciła głową, że dla dzieci nie grają akurat nic ciekawego. Wreszcie, dla odmiany, windą zjechali na poziom minus jeden. Tu zaczęli spacerować jakby uważniej.

W jednym ze sklepów dziecko jak zwykle podeszło do ściany, po czym się rozpłakało. Rodzice natychmiast je wzięli, zaczęli przeproszać ekspedientki...

Gdy wyszli ze sklepu, Antoś natychmiast przestał ryczeć, jak na sygnał albo po pstryknięciu pilotem. Pociągnął nosem i poprowadził ich prosto do wyjścia na tym poziomie wychodzącego na podjazdy podziemnego dworca autobusowego.

Pierwszy minęli, idąc jak po śladzie, nie zainteresował ich. Dopiero gdy stanęli po drugiej stronie, przy dziesiątym stanowisku, oboje dorośli wymienili spojrzenia. Dziecko pociągało nosem, jakby miało potężny katar. Nie wymieniało z nikim spojrzeń. Jego wzrok wbity był w mur naprzeciwko. W miejsce, gdzie prawdopodobnie zaczynał się nasyp torów.

Mężczyzna doszedł do końca chodnika dla pasażerów i wkroczył na jezdnię. Wtedy zobaczył naprzeciwko drzwi pomalowane na jasnoniebiesko, a także prostopadły do nich kawałek ściany. Wyglądały jak wszystkie inne. Mimo to dziecko znów pociągnęło nosem.

Tymczasem gromadka pasażerów czekających na swoje autobusy przyglądała się im z leniwym zainteresowaniem. Nie przejmując się nimi, dziecko opadło na czworaki, budząc pełne krytycyzmu spojrzenia pasażerów, i zaczęło pełzać. Kiedy weszło na drogę, mężczyzna próbował je chwycić, ale ono uskoczyło, zmierzając w stronę drzwi.

Tymczasem kolejny autobus zabrał wszystkich pasażerów.

– Wreszcie! – szepnęła kobieta.

Mężczyzna pospiesznie wyjął z kieszeni jakąś kartę. Wyglądała jak zwykła karta do bankomatu, chociaż kogoś mógłby zdziwić fakt, że nie miała żadnego logo, była jednolicie czerwona, w kolorze umierającej, pociemniałej róży. Przez środek biegł zawijas, fantazyjna ornamentyka. Trzeba by mieć sporą wiedzę, by rozpoznać arabski symbol jednej z gildii złodziei z Kairu.

Mężczyzna machnął nią przy ścianie. Nic.

Zaczął się zastanawiać. Wreszcie wzruszył ramionami i popatrzył na żonę.

– Ponimirski – powiedział zdecydowanym głosem.

Ton, barwa, sposób wypowiedzania słów niezwykle przypominały hrabiego.

W miejscu, gdzie chwilę wcześniej Antoś zatrzymał się i zaczął brudnym palcem rysować jakieś linie, teraz zapadła się jedna z podłużnych płyt, ujawniając bardzo wąskie, ledwie na szerokość człowieka, podziemne schody. Znikały i zakręcały niżej. Bardzo sprytne. Bunkier pod galerią. Lewizna, którą hrabia pewnie osobiście nadzorował. Ciekawe, czy zastaną gospodarza w domu...

Mężczyzna szybko otworzył torbę i zajął się laptopem. Od eksploracji było tych dwoje, on zajął się zagłuszaniem i niszczeniem nagrań z kamer w podziemiu. Tymczasem kobieta podeszła do schodów, nachyliła się...

Nagle kłapa zasunęła się z trzaskiem. Kobieta w ostatniej chwili spostrzegła, że ze ścian wystrzeliło kilka kul, sądząc po kalibrze raczej na ludzi niż wampiry. Ale rozpryskowa kula dum-dum tak samo rozszarpuje ciało człowieka jak wampira. Wampir niby szybszy, ale nie w takiej pułapce. Dźwięk był jednak stłumiony. Nie głośniejszy niż parsknięcie z gaźnika. Nikogo nie zwabi odgłos strzelaniny. Kobieta dałaby sobie rękę uciąć, że pomieszczenie celowo zostało wytłumione. I kłapa nie zasunęła się przypadkiem.

– Pułapka – stwierdziła chłodno. – Plan awaryjny, Antoś. Andrzej, otwórz znów te drzwi, jeśli się da.

Dziecko wyjęło z plecaczka gumową kaczuszkę. Gdy kłapa znów się uniosła, wrzuciło zabawkę do środka.

Rozległ się syk, kłapa pozostała otwarta, a ściany oblepiła jakaś kleista maź.

Kobieta pokręciła głową. Wiedziała, że ryzykuje. Dziecko już podawało jej kamerkę na bardzo rozciągliwym kablu. Odwróciła się do mężczyzny z laptopem na kolanach.

– Ktoś musi zdać relację, pamiętajcie.

Wskoczyła do dołu, wylądowała na miękko ugiętych nogach i od razu zeszła z linii ewentualnych niezniszczonych luf broni maszynowej. Cały czas wlokła za sobą kabelek. Jakimś dziwnym trafem nie plątał się i pozostawał w ręku Antosia, który na wyświetlaczu przypominającym smartfon obserwował przebieg akcji.

Widział, jak kobieta wstaje i popycha jedną ze ścian, odsłaniając zarys drzwi, pryska neutralizatorem, krusząc gumową błonę. Pcha drzwi, które otwierają się z lekkim cmoknięciem, jakby w środku panowało niższe ciśnienie...

Dostrzegł srebrne lustra. Były wszędzie: wszystkie ściany zostały nimi wyłożone, a pośrodku pokoju stały opalizujące jak brylant, ledwie zauważalne...

Potem te lustra ją wciągnęły, unicestwiły, obróciły w proch, spaliły. W środku zamiast hrabiego czekała pułapka!

Ciach! Drzwi pokoju znów się zamknęły!

Dzieciak miał przygotowaną drugą, znacznie większą kaczuszkę, może nawet był to orzeł. Nim płyta zdążyła się zasunąć, wrzucił zabawkę tak, że potoczyła się pod drzwi pokoju z lustrami, gdzie spaliła się jego ciotka. Mężczyzna zdążył już wrzucić byle jak laptopa do torby. Chwycił dziecko i co sił popędzili w stronę wylotu tunelu, którym wyjeżdżały spod dworca autobusy. Biegli tak szybko, że jeden z kierowców niemal zemdłał: dzieci aż tak prędko nie zasuwają. Kiedy potem opowiedział to śledczemu, ten go spytał, ile kilogramów jabłek zjadł, zanim zasiadł za kółkiem.

Tego dnia w mediach kampania wyborcza zeszła na drugi plan. Informacją dnia stała się wieść o wybuchu w Galerii Katowickiej. Na szczęście nie było ofiar, jednak dworzec autobusowy w podziemiach galerii został pokiereszowany i ten poziom na kilka godzin zamknięto. Od razu pojawiły się sprzeczne doniesienia, że firma, a jakże, niemiecka (kto by sobie zawracał głowę, że w istocie austriacka z kapitałem międzynarodowym), odwaliła fuszerę jak inna na lotnisku w Berlinie. To jeszcze pół biedy, bo większość opinii publicznej podkrecona nerwową atmosferą skłaniała się ku teorii, że był to zamach terrorystyczny mający podciąć galerię i setki osób pogrzebać żywcem, a rząd ukrywa prawdę, żeby nie wpłynęła na przebieg kampanii wyborczej.

O hrabim Ponimirskim czy kobiecie z dzieckiem na szczęście nie wspomniał nikt.

Tymczasem w Warszawie nic jeszcze nie wiadano o zasadzce zastawionej przez hrabiego Ponimirskiego, za to pojawił się kłopot z inną pułapką...

– Zdrajcy! – wysyczał Szumilas, wściekle pocierając uszy.

Od nowej partii koktajli witaminowych dostał chyba wysypki, ujawniła się alergia albo coś, i to go irytowało w coraz większym stopniu. Tylko patrzeć, jak wybuchnie, nie opanuje emocji, kogoś ugryzie... i żegnaj, kariero, las wita nas, jagody, sarenki, zabłąkane kundle zamiast krwistego befsztyku...

– Nie płacz. – Biela z lekko tylko maskowaną pogardą szturchnął go w ramię. – Czego oczekiwałeś? Przecież to oczywiste, że będą się odróżniać, atakować i udawać, że nigdy nie byli z nami w koalicji rządowej. Może przesadzili – uśmiechnął się lekko – ale weź pod uwagę, że oni grają na dwa fronty równocześnie: to, co wyżej, i na wypadek gdyby się okazało, że Ponimirski zacznie sypać. Wtedy będą rznąć głupa i modlić się, żeby nie wyszło, że też są udawanymi ludźmi. Cwane... – Pokiwał głową. – Sam bym to zrobił na ich miejscu...

Szumilas, który sekretarzem był od zaledwie dwóch lat, po nagłym zatruciu się poprzednika kebabem niewiadomego pochodzenia (tak się przynajmniej mówiło, bo jaka była prawda, wiedzieli tylko Radecki i Hedo), patrzył na Bielę i rosło w nim zrozumienie, dlaczego spin doktorzy jako jedyni mogą zaryzykować obudzenie Radeckiego o dowolnej porze dnia i nocy, a nawet o świcie, kiedy atawistyczne odruchy czynią wampira najbardziej niebezpiecznym.

– Najgorsze, że musimy o tym powiedzieć szefowi... – westchnął.
– Ty czy ja?

Biela wzruszył ramionami, ze wstrętem wziął gazetę w dłoń i powędrował do gabinetu Radeckiego.

Ten akurat podpisywał cały plik papierów przyniesionych wcześniej przez Bergamutka kwitujących dostawy wszystkiego, czego polskie wampiry potrzebowały, aby przeżyć. Preparaty witaminowe, soki, batoniki, neutralizatory... Byli przecież tylko odpryskiem wielkiej euroatlantyckiej cywilizacji wampirów, która

wygodnie sobie wrosła w zachodnią społeczność, tworząc Światową Federację Nieludzi ze strukturami na każdym kontynencie i w każdym państwie.

Pod dziwnymi nazwami, pod etykietami tak brzydkimi, że nikt z ludzi nawet by nie spojrzął, o smaku tak paskudnym, że lepiej wchodzi Cif prosto z butelki, kryły się dostępne nawet w supermarketach i dyskontach produkty dla nie ludzi. Zarządzanie tym było szalenie skomplikowane, a podwójna księgowość wymagała niezłej inwencji. Bergamutek poświęcał temu więcej czasu niż pozostali dwaj współpracownicy Radeckiego partyjnym sprawom, ale dzięki temu wampiry, ghule i zombi mieszkające w różnych częściach Polski mogły kupić bezpieczne jedzenie nieomal w najbliższym sklepie.

I zresztą nie tylko one. Ku zdumieniu Radeckiego także ludzie kupowali. Długo tego nie rozumiał, aż wreszcie wytłumaczyła mu to Marianna:

– Zawsze znajdzie się grupa świrów, która będzie twierdzić, że czarne jest białe albo marchewka smakuje jak ogórek. Oni nie wiedzą, że kupują towary dla nie ludzi, ale smak ich nie odstraszy, a właściwie mają hipsterską satysfakcję, że są oryginalni. Jeszcze wybuchnie na to moda... – prorokowała, drażniąc się z Radeckim.

Teraz jednak ręka go bolała i nie był w nastroju. Podniósł umęczony wzrok na sekretarza z gazetą...

Driller rozmyślał o prezesie Partii Demokratycznej. Na pustym biurku stało tylko zdjęcie nieżyjącej żony Drillera, chociaż gdyby mógł, postawiłby tam raczej zdjęcie Radeckiego. Fascynował go ten człowiek, jego zdolności analizy sytuacji i stanowczość postępowania. Od kilkudziesięciu godzin obserwował rozwijającą się akcję kryzysową – i był pod wrażeniem. Tamten miał głowę na karku, miał też ludzi, którzy umieli wyłuskać pluskwy ze ścian. Driller założył je w czasach, kiedy to jego partia była u władzy. Wiedział, że któregoś dnia poparcie spadnie, trzeba będzie przejść do opozycji i innych, mniejszych pomieszczeń, więc już wtedy się na

to przygotowywał, bo dobry wywiad to podstawa sukcesu, przynajmniej w polityce traktowanej długofalowo.

Nie miał więc pluskiew w siedzibach PD w sejmie ani w siedzibie partii, ale mimo wszystko zdołał stworzyć siatkę informatorów, wiedział, że ludzie Radeckiego szukają hrabiego. Wiedział, że w nocy Radecki pojechał do Katowic. Skojarzył to z aferą w tamtejszej galerii handlowej, chociaż za czorta nie potrafił uchwycić związku. Jednak Driller za długo siedział w polityce, aby nie chwycić związków trzeciego rzędu czy wyższych. Przypadki – to nie w polityce.

Teraz siedział przy biurku i kreśląc esy-floresy na białej kartce, dawał swojemu umysłowi furtkę do ujawnienia skrytych myśli. Ta sztuczka działała, choć lepiej było robić to w samotności, bo czasem zamiast fragmentu błyskotliwego dialogu do wykorzystania albo przewrotnej idei mogła wyskoczyć dama lekkich obyczajów albo na papierze pojawić się męzne serce w kształtnej piersi.

Nagle do środka wsunął się jeden z jego nielicznych posłów. To dziwne, że on, a nie któryś z cerberów... Może akurat sekretarka wyszła do toalety, a reszta zniknęła, aby nie wdychać zapachu nadchodzącej kłęski? Może powinien to potraktować jak sygnał, że szczury zaczęły już opuszczać okręt?

– Czego? – warknął Driller, odwracając kartkę niezapisaną stroną do góry.

– Leśniewski chce rozmawiać.

Zgięty pokornie wpół poseł starał się nie przeszkadzać, ale to jasne, że musiał zawiadomić szefa. „Dlaczego Leśniewski nie zadzwonił albo nie umówił się przez sekretariat?”, przemknęło przez myśl Drillerowi.

– Dobra, dawaj go, spławię faceta... – rzucił z niesmakiem.

Leśniewski wsunął się do środka, uśmiechając się lekko. Niewielu wiedziało, że wcale nie był to przejaw jego życzliwej postawy względem świata, lecz jedynie wynik nie do końca udanej operacji po wypadku.

Polska Razem w świeżo rozwiązanym sejmie nie liczyła się wcale. Dwadzieścia osiem szabel, w większości pordzewiałych albo mocno stępionych. Gdyby nie porażka w poprzednim rozdaniu

i konieczność zasiadania w ławach opozycji, Driller wcale by nie dopuścił Leśniewskiego do jakichkolwiek taktycznych sojuszy, bo zyski były mizerne. Jednak wszelkie działania podejmowane przez dwie partie to zawsze wizerunkowo inna jakość niż samotna szarpanina.

– Czego?

– Coś się dzieje – zaczął Leśniewski, a na jego twarz wypłynął nerwowy uśmieszek. – Coś nielicho zagadkowego.

– Doprawdy, Patryczku?

Driller uniósł w wyreżyserowanym zdziwieniu brew i... I nagle zmienił ton. Sprawdzi, co tamten wie.

– Coś ważnego?

– Chyba. – Leśniewski skinął głową, zaciskając zęby. Nie znosił tego zdrobnienia, szczególnie wypowiedzianego tak protekcyjnym tonem, ale nie da się sprowokować tej czerwonej świni. – Chyba koalicjanci się pokłócili, bo straszny ferment... Podobno ma dojść – odchylił mankiet i zerknął na godzinę – zaraz ma dojść do spotkania na szczycie... A ty nic nie wiesz?

Driller zaprzeczył ruchem głowy. Nie skłamał, można to było interpretować w obie strony. Leśniewski nie był szczególnie lotny, za to miał takie ciśnienie sukcesu, że od razu uznał, iż przyszedł z ważną nowiną. Driller mógł się tylko modlić, aby wybory nie uczyniły z niego znaczącej siły w sejmie, nie zaś partii doczepki, którą można wygodnie manipulować.

– Jak się dowiem, dam znać – spławił go.

W głowie miał już pomysł. Trzeba tylko wybrać odpowiedniego wykonawcę. Szybko przeszukał w głowie listę cichych współpracowników.

Radecki z wściekłością wymachiwał gazetą przed nosem ghula. Spotkanie odbywało się w pomieszczeniach sejmowych, pod pozorem omówienia bieżących spraw, bo kampania kampanią, ale przecież rząd musi przynajmniej administrować krajem do czasu zaprzysiężenia nowego.

– Wampiry polskiej polityki!? – wrzasnął. – A kim wy jesteście, przeklęte ziemiojady! To tak ma wyglądać sojusz przeciw wspólnemu wrogowi?

– Przecież to kampania wyborcza – wycedził niewzruszony Daniłowicz. – Czego właściwie oczekujesz? Że oddamy procenty poparcia w zamian za jakieś duperele?

Ghul stęzał, nastroszył się. Wyglądał teraz nie jak (mniej więcej) człowiek, tylko raczej jak wyrwany z zimowego snu przez chwilowy atak wiosny niedźwiedź: zły, głodny i szukający pretekstu, żeby wyrwać drzewo albo wrzucić kawałek skały do potoku. Z poprawką, że Gabor robiłby to z kawałkiem wampira.

– Możecie odpowiedzieć tak samo – chrząknął wreszcie. – Nam to nie przeszkadza.

– Ale „ghule polskiej polityki” to nie to samo co „wampiry polskiej polityki”, przecież dobrze wiesz! – krzyczał rozsierdzony Radecki, czerwieniejąc na twarzy.

Odrzucił gazetę, ta z szelestem pofrunęła pod szafę z segregatorami.

– A to moja wina? – wycedził ghul. – Trzeba było wcześniej popracować nad reputacją, a nie teraz mieć pretensje. Koniec dyskusji.

Wstał i ruszył w stronę drzwi. Nim je zamknął, zatrzymał się, już z ręką na klamce.

– I jeszcze jedno, Radecki. Ty lepiej ucisz tego hrabiulka, zanim puści farbę. Bo wtedy obaj się nie pozbieramy nawet w grobach.

Rozdział 3

W Warszawie czuło się coraz większe napięcie. Trwała kampania wyborcza, a równocześnie ludzie mieli wrażenie, że zegar jakiejś potwornej bomby tyka: krążyły przedziwne plotki, ktoś opowiedział zaskakujące zdarzenie, którego był świadkiem, inny puścił aluzję na portalu społecznościowym, ktoś wreszcie prawie jawnie stwierdził, że te wybory to jak siedem plag egipskich i jedna polska na dodatek...

Most Siekierkowski zachowywał stoicki spokój. Po prostu sobie stał.

Ludzie jak to ludzie: jeździli po nim, deptali... Ktoś rzucił papierek, inny splunął, trzeci... nie można tego napisać, żeby kogoś nie zniesmaczyć, wspomnijmy więc, że ten trzeci miał większe potrzeby niż splunięcie w fale Wisły.

A pod mostem, wiadomo. Rzeka i brzegi. W dodatku dwa, prawy i lewy. Dosyć mocno zazielenione, co nie jest bez znaczenia.

Na prawym brzegu niedaleko mostu w ciemnościach nocy, która właśnie nadeszła rozświetlana jedynie oszczędnymi światłami okolicznych latarni, siedzieli dwaj nieludzie, wampiry, Jankis i Tchórzewski, który trzymał w ręku długopis, dłubiąc nim w zębach. To nie oznaczało, że nie umie pisać i używa go tylko jako wykałaczki, ale w tej chwili po prostu nie było czego zapisywać w notesie.

Obserwowali most. Prawdę mówiąc, szukali tropów hrabiego Ponimirskiego i jego asystenta, jednak nic nie znaleźli. Pod mostem też nie. Nigdzie. Teraz będą tu siedzieć i patrzeć, czy nie przejeżdża ta zgniła zdradziecka szuja. Mogliby wspiąć się na wanty, stamtąd, z góry, próbować coś wypatrzeć... ale można pilnować i spod mostu, prawda? Więc siedzieli tu, na chłodnej trawie. Żaden z nich nie wierzył, że hrabia wciąż ukrywa się w stolicy albo zapragnie tu chyłkiem wrócić, bo niby po co?

Nagle jednak obaj, jak tknięci tym samym impulsem, zwrócili twarze ku drugiej stronie rzeki, gdzie było trochę więcej zieleni, w sam raz, żeby coś ukryć.

Nie, nie wyczuli wcale obiektu poszukiwań. To by było zbyt proste. Gdzieś niedaleko mostu błysnęła zapalka. Wiatr przyniósł nie tylko zapach siarki, lecz także człowieka. Nie przyniósł za to zapachu papierosa, więc obaj nieludzie nagle porzucili beztroski spokój i leniwe obserwowanie nurtu rzeki. Wstali. Tchórzewski, który wyglądał, jakby jego przodkowie puścili się z ghulami, westchnął.

– Trzeba by sprawdzić... Ty idź, szybszy jesteś.

– Może i szybki, ale za to leniwy – odciął się Jankis. – Poczekamy, może miedź chce wypalić – burknął.

Nie uśmiechała mu się przeprawa przez wodę albo szybki bieg naokoło mostem. Musiałby biec ścieżką rowerową, a czy to wiadomo, czy z ciemności nie wyskoczy nagle nieoświetlony rowerzysta – i wypadek gotowy... I pokusa. Jankis znał swoje słabości, nie wierzył w siebie tak bardzo, że zignorowałby widok świeżej krwi. Lepiej było unikać wypadków.

Patrzyli więc dalej, gotowi w każdej chwili skoczyć w odmęty wody albo ku mostowi, bo w końcu byli strażnikami i nie mogli tak całkiem ignorować różnych niebezpieczeństw... Małe ognisko na drugim końcu płonęło sobie przyjemnie, zapach dymu kręcił ich w nozdrzach...

Kiedy jednak drugie ognisko zapłonęło znacznie bliżej mostu, Jankis, który do tej pory bagatelizował wszystko, nagle zaklął szpetnie i wyburczał z rezygnacją:

– Pilnuj tutaj, idę sprawdzić, co to za mięso robi nam problemy.

I prawie bezszelestnie wsunął się w wodę. Bo biegać dookoła jednak mu się nie chciało. Najchętniej by przeleciał nad rzeką, ale tak to wampiry robiły tylko w filmach i komiksach. Pokonywanie nurtu rzeki też było trudne, ale przezornie Jankis odszedł trochę od mostu, żeby prąd wyrzucił go tam, gdzie zamierzał wyjść na brzeg. Czyli w pobliżu drugiego ogniska.

Wrócił po półgodzinie. Wcześniej oba ogniska zgasły jak zalane wodą.

– No i...? – mruknął Tchórzewski, wciąż chrupiąc końcówkę długopisu.

Trochę z nerwów, trochę z nudów, większość zdążył już odgryźć i wypluć. Próbował dla zabawy złapać jakąś ćmę, trupią główkę, ale mu uciekła.

– Nie podobał mi się. – Jankis podsumował wycieczkę, otrząsając się z wody. – Miał jakieś ładunki. Wziąłem go w zęby i chciałem z nim przepłynąć tutaj, żebyś go sobie obejrzał, ale...

Tchórzewski świdrował go niespokojnym spojrzeniem.

– No właśnie!

– ...ale mi się zgubił w rzece – dokończył strażnik trochę speszonym tonem.

– To gońmy go! – wściekł się jego towarzysz. – Bo może wróci, jak my odejdziemy!

Jankis nadal ociekał wodą. Nagle znów otrząsnął się jak pies.

– E, nie, nie wróci, spokojnie. Ani żywy, ani tak martwy, żeby ożył. Bez obaw, już się nim rybki zajęły...

Tak, Warszawa czuła napięcie. I czuwała – cała Warszawa, nadziemna i podziemna, ludzka i nieludzka – aby sprawy toczyły się we właściwym kierunku.

Sekretarz wciąż nie potrafił uwierzyć w to, co się stało. Kiedy zeszli ze stoku, hrabia zdołał nie tylko znaleźć, lecz także zbajerować kierowcę dostawczaka, który zmierzał do Katowic, a stamtąd prosto na Wrocław. Kierowca wydał się Wargasowi mocno nieświeży, intensywnie wczorajszy, ale w ich sytuacji nie należało wybrzydzać. Tym bardziej że mężczyzna, który przedstawił się jako Fabisiak („ale możecie mi mówić Wiśnia”), nie był zainteresowany, dlaczego tak wyglądają i po co jadą do Wrocławia, wolał samemu gadać. Mówić, mówić, mówić... Wciąż trajkotał o biznesie, który otworzy, jak już ten szef sknerus wypłaci mu wszystkie premie za życie w trasie. W pięć minut wypowiedział więcej słów niż oni obaj w czasie całej ucieczki.

– Jedziemy do Wrocławia? – próbował szeptem upewnić się sekretarz, odciągając swego pryncypała na bok.

Hrabia jednak tylko położył palec na ustach.

– Wystarczy, że on zna trasę – wskazał spojrzeniem kierowcę, który parę metrów dalej palił ostatniego papierosa przed ruszeniem w trasę.

Jednak nie dojechali do Katowic, przed stolicą Górnego Śląska kierowca odbił w lewo, zmierzając na autostradę do Wrocławia. Ale i tam nie dotarli, bo... zjechali w stronę Wałbrzycha!

A ostatecznie znaleźli się w... Kłodzku obok wielkiej twierdzy na szczycie wyglądającej jak forteca, którą niepodobna zdobyć bez długiego oblężenia. „Czyżby hrabia miał tu swoją załogę?”, zdziwił się sekretarz. Nic o tym nie wiedział, jednak sam pomysł ukrycia się w takiej obronnej budowli wydawał mu się zabawny, nawet jeśli trochę przesadzony.

Tylko co tu robiły te autokary z wycieczkami? Chociaż sami wyglądali nie lepiej: jak niemiecki turysta z polskim tragarzem, którego plecak wystawał znad głowy niczym Annapurna.

– Ukryjemy się w środku? – zagadnął hrabiego, który z uwagą przyglądał się jednej z przewodniczek, wyjątkowo ładnej i zgrabnej, trochę przypominającej młodą Meg Ryan.

Arystokrata leniwie pokręcił głową. Spojrzał w niebo, jakby chciał sprawdzić pogodę.

– Nic z tych rzeczy, mój drogi. Naszym celem jest miejsce mniej spektakularne, za to znacznie lepiej ukryte przed oczyma wścibskich.

I wyprowadził ich na obrzeża miasta w pierwsze pasma mieszanego lasu. Tam zażądał, aby sekretarz wyszukał w bagażach pakiet oznaczony symbolem „L”. Kiedy wcześniej wrzucał go do plecaka, sekretarz myślał, że to pamiątka z jakichś wydarzeń sportowych związanych z wybitną karierą hrabiego w juniorach Legii Warszawa, przerwana przez kontuzję. Hrabia uwielbiał się tym chwalić, chociaż dyskretne próby odszukania przez Wargasa jego nazwiska w archiwach klubu się nie powiodły. Po rozdarciu folii sekretarz zobaczył dwie pary dziwnych plastikowych spodni sięgających niemal pod pachy, do kompletu kurtki z kapturem oraz pojemnik z aerozolem. Bez oznaczeń, po prostu mała srebrna buteleczka.

– No, wkładaj, szkoda czasu! – pogonił go Ponimirski, sam mocując się ze spodniami.

Chociaż może raczej były to ochraniacze na spodnie? Sekretarz nie rozumiał idei.

– A jak ktoś nas zobaczy? – W jego głosie pojawiło się z wątpienie.

– To pomyśli, że wokół Kłodzka grasuje jakiś duch. Tu mają opowieści o takich, choćby o Rzepiórze, duchu karkonoskim. Więc może sobie któryś wycieczkę zrobił. – Hrabia zaśmiał się krótko. – No, wkładaj, nie będę czekać wieki na ciebie!

Sięgnął po aerozol i spryskał nim strój.

– To zapach ludzi. Utrudnimy tropicielom poszukiwania.

A potem truchtem zupełnie nieprzystającym do jego społecznej pozycji poprowadził ekspedycję prosto w najbliższe pasmo górskie. Po godzinie czy dwóch forsownej przebieżki – podczas której hrabia raz wstrzymał marsz, pokazując przechodzących w sporej odległości ludzi – dotarli chyba we właściwe miejsce, bo hrabia przystanął. Wydawał się zadowolony z siebie. Po drugiej stronie góry za rzeką, której na szczęście nie musieli przekraczać, leżało niewielkie miasteczko. Kiedy pokonywali przełęcz, w świetle zachodzącego słońca sekretarzowi błysnęła chyba zaporą. Od tej strony był tylko ponury gęsty las i kolejna góra: wielka, przysadzista jak tęga, zmęczona kobieta.

Rozejrzał się dookoła. Drzewa, krzewy, gdzieniegdzie wystająca połać skały. Żadnego, najmniejszego choćby domu.

– Nie będziemy chyba nocować pośród drzew?

Hrabia Ponimirski wskazał ręką jedną z większych skałek wystających pojedynczo z poszycia jak rozchwierutane kły starego psa.

– To nasz cel.

Ruszył pierwszy i zaczął butem odrzucać liście.

Nagle jednak zmienił zdanie. Być może obserwowały ich tylko ptaki, może jakiś lis albo jeź przechodził niedaleko, ale równie dobrze motyl dron mógł się zaplątać albo ptak o trzech oczach, w tym jednym nie swoim.

– Stań tam na pagórku i rozglądaj się, czy nikt nas nie obserwuje

– nakazał Wargasowi.

Sekretarz z przykrym poczuciem, że hrabia mu nie ufa, zastosował się do polecenia.

Ponimirski znalazł jakiś kij i odkopał pół metra mchu, liści i luźnej ziemi, zanim wyłoniła się biała skała i nieduża, poręczna saperka pod jej brzegiem. Potem wydrążył szeroki na metr rów wokół skały, zanim uznał, że jest w porządku. Wtedy zrobił coś, czego Vargas – mimo że znał hrabiego od dawna i wiele już widział – się nie spodziewał.

Hrabia po prostu przyłożył dłoń do skały. Ta zaczęła się kruszyć, rozpadać na drobiny, odsłaniając niewielki wlot. Gdyby nie zaprzęgnięta do tego nowoczesna technika, sekretarz uznałby, że bardziej niż na kryjówkę dziura wygląda na jamę lisa albo innego zwierzęcia.

– Wejście do kłodzkiej twierdzy? – strzelił.

To było jego drugie skojarzenie. Podziemny chodnik wiodący w sekretne podziemia tamtej twierdzy.

Hrabia pokręcił głową.

– Nie, chociaż zastanawiałem się nad takim rozwiązaniem.

Wsunął się do środka, pociągnął nosem, powiódł spojrzeniem po ścianach wciąż wyglądających jak płytka jaskinia.

– Wszystko chyba działa. Zostań na zewnątrz, musimy coś sprawdzić.

Wargas odsunął się – i była to dobra intuicja dojrzałego wampira, żaden polityk by się takiej nie powstydział. Oto bowiem liście w pobliżu skały zaczęły wirować wraz z drobinami ziemi, zupełnie jakby coś je wsysało. Po chwili przyległy do skały, równą stertą pokrywając wejście. Kiedy grawitacja i pierwszy deszcz zrobią swoje, nikt nie odkryje, że ktoś tu coś zagrzebał, na przykład wylot sekretnej kryjówki.

Zagadkowy odkurzacz ruszył znów, tym razem odwracając kierunek ciągu, wylot ukazał się ponownie.

– Działa?

Ze środka wyłonił się hrabia. Widząc skinięcie głową, gestem pełnym zadowolenia zaprosił sekretarza do środka.

– A ghule nas tu nie wywająają? – spytał Vargas, ostrożnie pochylając głowę.

– Nie, na pewno nie! – W głosie hrabiego zabrzmiała taka pewność, jakby przetestował to już nieraz. – One w tym regionie nie mają porządnej siatki partyjnej. Może jakieś koło w Wałbrzychu, ale odkąd miasto straciło status wojewódzkiego, region podupadł. Stąd mandaty bierze Unia Społeczna, a ich nie musimy się obawiać. Poza tym mamy tu trochę odstraszczy, sam się przekonasz... No i zacieraliśmy trop, nie pamiętasz?

Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, a hrabia włączył urządzenie, które miało zamaskować wylot kryjówki, sekretarz mógł skupić się na podziwianiu wnętrza.

– Poniemiecki bunkier? – spytał.

Skądś pamiętał, że w tej okolicy naziści pobudowali sporo dziur w ziemi zalanych betonem.

– Pierwsze skojarzenie słuszne, ale nietrafne – zaprzeczył hrabia. Wyłączył urządzenie i szum ustał. – Ktoś zaczął tu drążyć tunel, ja go tylko poszerzyłem i puściłem w głąb góry korytarze. – Widząc pytające spojrzenie sekretarza, dodał: – Och, nie mogłeś być przy tym, zrobiłem to w czasie tużpowojennego zamieszania. Unieszkodliwiłem próbującego się ukrywać esesmana, potem tylko raz czy dwa unowocześniłem sprzęt.

Wąski tunel, ledwie pozwalający iść ze zgiętymi w pokornym skłonie plecami, wreszcie rozszerzył się, tworząc obszerny przedsionek. Drogę przegradzały solidne metalowe wrota.

– Drugi poziom. Musimy zostać zweryfikowani – wyjaśnił krótko hrabia Ponimirski. Podszedł do drzwi i rzucił do mikrofonu: – Hrabia Ponimirski.

– Żle – stwierdził głos. – Spróbuj ponownie.

Dziwnym trafem głos przypominał Wargasowi głos prezesa Radeckiego, chociaż to było niemożliwe.

– O! – zdziwił się hrabia. – Nie wygłupiaj się, to ja, ten sam co zawsze hrabia Ponimirski! Hrabia Ponimirski – powtórzył.

Drzwi z wahaniem rozsunęły się przed nim. Zanim je przekroczył, odwrócił głowę w stronę sekretarza.

– Twojego głosu nie ma, trzeba będzie go dopiero wprowadzić, na wypadek gdybyś musiał wyjść na zewnątrz.

Drzwi zamknęły się za nim z nieprzyjemnym cmoknięciem, a sekretarzowi przemknął w myślach obraz, jak on sam leży pod nimi osłabły, bezradny, wreszcie tylko rozpadający się szkielet...

Wtedy rozległ się trzask w mikrofonie i usłyszał głos hrabiego:

– Wypowiedz swoje imię i nazwisko.

– Henryk Vargas.

Sekretarz starał się wypowiedzieć słowa tak dokładnie, jakby od tego zależało jego życie. Wizja szkieletu pod drzwiami działała na wyobraźnię.

Drzwi rozsunęły się leniwie.

Wkroczył do części bunkra bardzo przypominającej mieszkanie. Było tu ciepło, brakowało tylko okien. Stał w przedpokoju, z którego mógł dostrzec coś na kształt jasno oświetlonego salonu. Po drugiej stronie ciągnął się długi szereg pokoi. Gdzieś mogły być jeszcze dalsze pomieszczenia. Nieźle: obawiał się już ciasnej dziury, spędzenia z hrabią jakiegoś czasu na dwudziestu metrach kwadratowych, a tymczasem mieli ich tu do dyspozycji co najmniej kilkaset. „Ciekawe, ilu esesmanów zamierzało się tu ukryć?”, zadumał się.

– Tu się zaszyjemy, przeczekamy. – Hrabia z zadowoleniem przyjął zaskoczenie sekretarza. – Niech kampania się toczy, zobaczymy, kto wygra...

– Mamy możliwość obserwowania? – zainteresował się Vargas. – Czy będziemy musieli wychodzić?

Hrabia zamyślił się na krótką chwilę, nim udzielił odpowiedzi.

– Teoretycznie mamy, i to wszystko pasywne, więc trudniejsze do namierzenia, ale nie będziemy ryzykować. Jest spora biblioteka, komputery, tyle że bez sieci; można w spokoju popracować albo odpocząć, jak wolisz...

W swoim pokoju, jakby przygotowanym na przybycie gościa, który będzie zainteresowany losami tego miejsca, sekretarz odkrył sporą biblioteczkę dzieł uświadamiających. Sudety, Karkonosze, Kłodzko i okolice, mapa miasteczka po drugiej stronie góry, które nazywało się Bardo, wreszcie nawet opis obyczajów.

Nad nimi, jak szybko odkrył sekretarz, Maryja pozostawiła swój odcisk w kamieniu. Ludzie wędrowali tam do kapliczki, nie wiedząc, że w korzeniach góry dwa wampiry ukrywają się w bunkrze. Wydało się to Wargasowi zabawne. Na upartego można by dowodzić, że to do nich ciągną te procesje na górze.

Teraz pojął zamysł hrabiego, by wybrać taką lokalizację. Nad nimi Bardzka Góra z kapliczką, procesje pątników, samotnicy krążący po okolicy, szukający religijnego natchnienia – wszystko to utrudni pracę tropicielom, zatrze ślady, zmusi do unikania wejścia w paradę ludziom.

Tymczasem w stolicy wybuchła potworna afera, bo metro stanęło. To już nawet trudno było nazwać aferą, bo przecież stawało i wcześniej, i na dłużej, i do niedawna stawało całe metro, a teraz stanęło „zaledwie” pół, bo pierwsza linia chodziła. To na drugiej wybuchł pożar zaprószony przez pijanego ochroniarza.

Ale w ogniu kampanii wyborczej wszelkie emocje zostały podkreślone. Partie zaczęły oskarżać się wzajemnie. W mediach politycy przepychali się przed kamerą.

Krótko mówiąc: awarii metra winni byli wszyscy. I... nikt.

Nie chcę z nim rozmawiać! – warknął rozeźlony Radecki. – Niech się goni, ziemiojad jeden! Pogadamy po wyborach, jak stołki będą chcieli!

– Ma ważne informacje – próbował oponować Szumilas, przytykając dłoń do mikrofonu.

– Ma albo tylko tak twierdzi! – odparł już mniej gniewnie Radecki. – Daj mi go. No? – Przejął telefon od sekretarza.

– Wiem, kto zdradził. Coś ci pokażę, Radecki. Przyjedź. – Głos ghula brzmiał głucho. Jeszcze bardziej niż zwykle, jakby coś tego olbrzyma przytłoczyło. Dreszcz przebiegł Radeckiemu po plecach. To nie była normalna mowa. Coś się stało...

Zmęczonym wzrokiem powiódł po swoich współpracownikach. Zatrzymał spojrzenie na sekretarzu partii. Ten wydawał się jednak nie wyczuwać powagi chwili, łypał w stronę monitora z odpaloną

stroną na Facebooku. Tam wciąż powracały żarty z „wampirów polskiej polityki”.

– Dokąd?

– Do mnie – wyjaśnił ghul. – Nie wątpię, że adres znasz.

Dyskusja była krótka. Skoro ghul zapraszał – mimo ryzyka, że dziennikarze ich namierzą – nie było wyjścia. Wzięli spod siedziby nierzucającą się w oczy astrę z przyciemnianymi szybami, którą zwykle podróżowali mniej ważni pracownicy, i pojechali na Bielany.

Pod bramą czekali na nich dwa ghule i jeden zombi. Czujnie rozejrzeli się, czy politycy nie przyciągnęli za sobą ogona, po czym zombi powiedział coś do mikrofonu przy ustach, a dwaj ghule rozeszli się, znikając w ciemnościach.

Daniłowicz czekał na nich w salonie. Okna były zasłonięte, pokój spowijał mrok, światło z wielu drobnych źródeł dawało mnóstwo cieni. Radecki poczuł niepokój – nawet wzrok wampira w takim pomieszczeniu może fiksować. Czyżby o to chodziło? Ale przecież ghul tu mieszkał!

Prezesowi Naszej Ziemi towarzyszyło kilku współpracowników znanych wampirom. Nie rozpoznali tylko starego ghula siedzącego nieco na uboczu i wyglądającego przez okno z ponurą miną. Radecki zaczął mu się dyskretnie przyglądać. Ciekawe – ghul starał się ukryć strach.

– Nie jest to nam na rękę – zaczął Gabor, gdy usiedli – ale kampania to jedno, a sojusze przeciw ludziom: drugie. Zdrajca wyszedł z naszych szeregów.

Ghul sięgnął po jakąś paczuszkę, leżącą przed nim na stole, i przesunął ręką w stronę Radeckiego. Ten wziął ją do ręki.

Gdyby nie zapach, powiedziałyby, że to zwyczajna pognieciona kartka. Jednak ciągnęła się za nią słodka woń zgnilizny. List z ziemi, jakby z cmentarza.

„Wiedzą, co chcesz zrobić. Zrób, co chcesz, i pamiętaj o zobowiązaniu”. Dziwny, pełen ortograficznych błędów.

– Skąd go masz? – zdziwił się Radecki.

Przytknął kartkę do nosa, mając nadzieję, że rozpozna miejsce. No tak, bez wątplenia cmentarz Powązkowski, chociaż marszałek nie potrafił powiązać tej lokalizacji z czymkolwiek innym.

– Ano mam – warknął Daniłowicz. – Mam, bo prowadzimy własne śledztwo.

Radecki wściekłym spojrzeniem powiódł po swoich towarzyszach. Jego wzrok mówił: „Już ja was rozliczę, niech tylko stąd wyjdziemy”. Rzucił list na stół.

– I...?

– On już nic nie powie. – Daniłowicz wskazał siedzącego w ponurym milczeniu ghula. – Ale co trzeba było, zdążył zeznać. Napisał list. To kopia, sam widzisz, jaka pobazgrana, musiał przepisać na czysto. Przekazał wampirowi, który dostarczył go zapewne hrabiemu. Pokazywaliśmy zdjęcia, żadnego nie rozpoznał...

– Może nie chciał rozpoznać? – podsunął zdenerwowany Radecki, zastanawiając się, która to żmija ich zdradziła. – Asystent Ponimirskiego, ten, jak mu tam, Wargas?

Ghul splótł grube palce, aż trzasnęło.

– Mamy go w swojej kartotece. Wargasa znasz? – zwrócił się do ghula pod oknem.

Tamten leniwie skinął głową.

– Nie on. Masz kreta w swoich szeregach, prezesiku. Lepiej go szybko wyłuskaj, bo on może grać dla ludzi, a wtedy...

Radecki sięgnął po list. Dowód może się przydać.

– Mogę?

Ghul chwycił go szybko za rękę i powstrzymał, niemal miażdżąc nadgarstek.

– Nie możesz.

– A zatem... – Radecki wstał, czując, że wszystko zostało już powiedziane i pokazane. – Dziękuję za ostrzeżenie.

– Powiedziałbym, żebyś się z nim pożegnał, ale się przecież nie przywitaliście. – Daniłowicz wskazał spojrzeniem ghula pod oknem. Jego głos brzmiał jak wydobywający się spod wiadra. – Idź, szukaj. My zajmiemy się naszym problemem...

Kiedy zza okna dobiegł odgłos ruszającego auta, Gabor wreszcie zmienił pozycję. Z niesmakiem popatrzył na zdrajcę w swoich szeregach.

– Nie opłacało się, co?

Tamten milczał i nie było w tym nic dziwnego, bo ludzie Daniłowicza na dole trochę nieostrożnie obeszlili się z jego językiem.

– Pora na nas – westchnął prezes Naszej Ziemi.

Więzień wydał z siebie nieartykułowany odgłos ni to strachu, ni protestu, ni gniewu, ciężko było to zrozumieć. Daniłowicz oczyma wskazał swoim ludziom więźnia. Chwycili go za ramiona, nałożyli kajdanki na ręce i nogi i prowadzili w stronę ukrytej windy.

Zjechali na dół. Tu ruszyli korytarzami w stronę najdalszej komory na południe. Kiedy byli już niedaleko, Daniłowicz odprawił towarzyszy. W tej chwili najważniejsze miał już za sobą: wszyscy powinni wiedzieć, że zdrada szeregów ghuli czy zombi to droga w jedną stronę. Samego końca jednak nie muszą widzieć, po co?

Był pewien, że sobie poradzi. Tu były i sekretne więzienia, i... schronienie Al-Ghazaniego. I to tam poprowadził trochę opierającego się więźnia.

Zanim otworzył drzwi komory, znalazł hak, jakby przystosowany do zaczepiania więźniów, aby nie uciekli, kiedy ktoś mozoli się z otwarciem komory. Gabor miał wprawę, ale i tak lepiej, że nie musiał walczyć równocześnie z więźniem.

Wreszcie wepchnął go do środka. Tu zdrajca zaczął rozpaczliwie kwiczeć, wyczuwając, co nastąpi.

W wewnętrzną ścianę także wbito haki. Daniłowicz przypiął więźnia do jednego z nich, najpierw ręce, potem stopy, tak, żeby nie mógł się zanadto ruszać. Pewno mu zdrtwieją nogi...

Wreszcie podszedł do skrzyni z piaskiem.

Al-Ghazani spał albo nie chciał się ujawnić. W gruncie rzeczy Gaborowi wcale na tym nie zależało, nie przyszedł tu na rozmowę. Zacerpnął garść piasku i zaczął sypać cienką ścieżkę od skrzyni do nóg skazańca. Ten natychmiast zaczął jęczeć i rzucać się jak szalony, ale kajdany nie pozwalały na wiele, w zasadzie mógł się więc jedynie prężyć i wyginać. I popuszczać ze strachu.

– Trzeba było nie zdradzać – stwierdził sucho Gabor, patrząc mu prosto w twarz. Teraz ujawnił cały swój gniew, dotąd trzymany w ryzach, szczególnie przed wampirami. – Trzeba było nie kumać się z krwiopijcami! – podniósł głos.

Starannie zamknął za sobą drzwi i usiadł ze skrzyżowanymi nogami. Czekał.

Po kilku minutach za nimi rozległ się szelest jakby wzbierającego wiatru. I jęk, coraz głośniejszy jęk, a potem szloch. Wtedy wstał i odszedł. Nie znajdował przyjemności w zadawaniu cierpienia. Znajdował je w wymierzaniu sprawiedliwości.

O tym, co się dzieje wewnątrz partii wampirów, o zombi i ghulach nie wspominając, sztabowcom Drillera nie udało się dowiedzieć nic ponad zwykłe plotki: że mają jakieś konszachty, spotykają się, może i już dzielą posady w przyszłym sejmie. Banalne bzdety, z których nic nie wynikało i które on był w stanie produkować z głowy, z filiżanką kawy w ręku lub kieliszkiem koniaku.

Kiedy Dobrowolski, jego lewa ręka odpowiedzialna za program i ideologię (prawą był Kostenko), znów zaczął mu opowiadać, że mają do czynienia z jakimiś poważnymi ruchami z tamtej strony, Driller skwitował go krótkim: „Niewątpliwie”. I gestem powstrzymał słowotok.

– Tak nie może być, Rysiu – zaczął łagodnym tonem, który jednak nikogo nie powinien zwieść; z każdą sylabą twardniał i zamieniał się w węzowy syk. – Rysiu, wyniki. Kto i dlaczego.

Dobrowolski milczał. Zrobił się czerwony, wilgotny na puciołowatej twarzy, wyglądał jak pomidor, który zaraz eksploduje od środka.

– Jutro...

– Jutro będzie futro, a pojutrze po Rysiu – wycedził ze złością Driller. Wycelowował w swego pracownika długopisem. – Nie możemy czekać. Zrobisz tak. Masz tu telefon do naszego kontaktu we „Wprościaku” – nabazgrał szybko numer na jakimś nieaktualnym zaproszeniu – zadzwonisz i powiesz, że jesteś ode mnie i chciałbyś porozmawiać. Żadnych szczegółów przez telefon, a rozmawiajcie

w Łazienkach albo zabierz go na wycieczkę do fortów. W aucie też nie rozmawiajcie, chyba że o pogodzie albo cenach benzyny. On zresztą będzie wiedzieć, przeszedł stosowne przeszkolenie, nie to co ty... – Driller skrzywił wąskie usta.

Odprawiwszy sztabowca, zamyślił się. Nic nie będzie z tej kampanii, skoro ma takich ludzi. Niby robią dużo hałasu, ale to tylko cienka powłoka balonu. Pora zmienić politykę dobierania ludzi, skoro nie umieją wyczuć zagrożenia...

Driller doskonale je wyczuwał. Wyczuwał zagrożenie, które może zmieść z powierzchni wielu polityków, w tym i jego, ale niesie powiew szansy, o ile zdoła uniknąć podmuchu eksplozji. Która niewątpliwie nastąpi – *czuł to!*

To nie była pora na sentymenty.

Każdy polityk był kiedyś młody. Każdy widział, jak to robią inni. Jeśli był młody i chciał kiedyś zostać starym politykiem, szybko uczył się, że najważniejsze są haki. Wielu młodych, zamiast nabywać umiejętności zbierania ich samemu, trafiało właśnie na nie, ostrza tych haków, niczym janosiki polityki. Za zióbro i do widzenia.

Driller był pojętnym uczniem. Działka, którą miał poza miastem, sprawiała mu sporo radości nie tylko z powodu oddechu, jaki mógł tam czasem złapać, ale także z powodu poczucia władzy. Nawet gdyby ktoś dokładnie przekopał grządki (Driller się z tym liczył), niczego by nie znalazł. Trzeba by buldożera, żeby powalić altanę, w której fundamentach całe dekady temu Driller ukrył stosowne zdjęcia i dokumenty w teczkach. Raz czy dwa dorzucił stosowne paczki dokumentów, ale za każdym razem pod pozorem rozbudowy i remontu, żeby nie wzbudzać najmniejszych podejrzeń.

Teraz jeden z haków mu się przyda.

Tego nikt się nie spodziewał. Poszukiwania hrabiego trwały – i do niedawna przynosiły wyłącznie frustrujące wyniki; za to inne partie, szczególnie te dwa uciążliwe ludzkie wypierdki, próbowały zajrzeć za kotarę. Radecki musiał poświęcać wiele czasu na gaszenie pożarów, dwoił się i troił, chociaż pogodzenie oficjalnej kampanii

wyborczej z nieoficjalnym, jednak znacznie ważniejszym śledztwem kosztowało go kolejną garść siwych włosów. Musiał po raz kolejny uspokoić swoją Numer Trzy na Pomorzu, Darię Mowlak, która żaliła się, że Partia Demokratyczna pomija kobiety, nie dając im jedynek, zmniejszając szanse na wybór, tymczasem w takiej Polsce Razem są aż cztery kobiece jedynek!

– I czego to dowodzi? – spytał ją Radecki, starając się panować nad emocjami. – Tam nawet jedynka może nie wejść do sejmu, a ty z trójki wejdiesz, Daria. Zresztą, chcesz, to idź...

– No co prezes! – zachnęła się, bo przecież nie pójdzie do ludzi.

Ale cierpki osad niesprawiedliwości pozostał.

Radecki obiecał sobie, że jak mężczyźni się nie sprawdzą, w następnych wyborach wszystkie jedynek będą kobietami. Bo w jednym Daria miała rację: jak już się tym kobietom chciało pchać w politykę, bywały skuteczne.

Ledwie poradził sobie z posłanką, kolejne wydarzenia zajęły jego uwagę, zupełnie jakby ktoś podciął lawinę, kierując ją w stronę Radeckiego.

Najpierw pojawiła się informacja, że ktoś widział hrabiego i jego sekretarza niedaleko Wisły. Bergamutek przyniósł mu ją na tacy jak niezwykle smaczny deser. Był dumny, że to jego ludzie, a nie tropiciele Hedy, wpadli na ślad.

– Wisły? – zdziwił się Radecki.

– Tej Wisły od Małysza. – Bergamutek wręcz emanował radością. W rywalizacji z Bielą znów zyskał punkty. – Tam już ich nie ma, ale złapaliśmy wreszcie jakiś trop.

Radecki myślami był już krok dalej. Sięgnął po telefon, wybrał numer Włodzimierza i... zrezygnował z rozmowy, podał aparat Bergamutkowi. Tak będzie szybciej.

Ledwie się z tym uporali, parę godzin później wybuchła znacznie poważniejsza afera.

Galeria Katowicka. Śledztwo prowadzone przez policję niczego ciekawego nie wykazało, już Radecki się o to postarał. Ot, banalna wada konstrukcyjna, gaz zbierał się w szczelinie i wybuchł. A to, że gaz uciekał w dół, do najniższych pomieszczeń – cóż, kręte bywają korytarzyki, którymi wydostaje się na wolność.

Śledztwo wydawało się zatem proste, aż tu nagle w „Dzienniku Zachodnim” jakiś psi syn napisał, że policja ukrywa, iż w miejscu wybuchu znaleziono dokumenty związane z dziwnymi operacjami finansowymi Partii Demokratycznej!

– Jakie, kurwa, dokumenty?! – wrzasnął poruszony do głębi Radecki. – Dawać mi tu Hedę!

Włodzimierz pojawił się po kwadransie. Wiedział już, o co chodzi, sam marszczył brwi w namyśle. Wciąż był poruszony śmiercią swej córki, ale starał się zachować profesjonalny spokój. Na rozpacz i sentymentalne gesty mógł sobie pozwolić jedynie w zaciszu własnego gabinetu. Ekscytacja odnalezieniem śladów hrabiego w Wiśle też go nie wzruszała, ślad to nie poszukiwany.

– Nie ma żadnych dokumentów. – Wzruszył ramionami i stanowczym gestem położył dłonie na stole. – Nie ma i nigdy nie było. To pułapka na myszy, widziałeś nagranie, bo je Joanna zrobiła, a Mały z nim uciekł. To nie była żadna kryjówka, Ponimirski liczył się z tym, że któregoś dnia może się narazić, będzie musiał uciekać, więc pewno takich pułapek jest więcej, ta po prostu najświeższa, więc najszybciej do niej trafiliśmy. A dokumenty, przecież wiesz. Przeciwnicy. I – zawiesił głos – wyjątkowo nie czuję w tym cuchnącej łapy naszych gulaszy i ziemniaków. To ludzka robota.

Radecki słuchał go w skupieniu.

– Dasz radę rozdzielić śledztwo tak, żeby sprawdzić, kto i dlaczego to zrobił?

Włodzimierz przez chwilę zastanawiał się, czubkiem języka wodząc po górnej wardze. Może i wyglądało to zabawnie, ale tylko dla kogoś, kto nie wiedział, że w kilku wypadkach taki namysł oznaczał wyrok śmierci dla niepokornego pechowca.

– Dam. Chociaż mylisz się, to jest *jedna* sprawa. Tylko że teraz stała się jakby bardziej osobista.

I nie trując się dalszą rozmową, ruszył do wyjścia.

Tymczasem oficjalnie wciąż trwała kampania wyborcza. Dziesiątki spotkań wyborczych. Dziennikarze, ludzie, nieludzie, wszyscy.

Radecki z trudem się uśmiechał, mięśnie szczęki miał jak zardzewiałe zawiasy, które trzeba było uruchamiać przemocą.

Na jednym ze spotkań, wieczorem tego dziwnego dnia, na salę dostał się jakiś dziennikarz i zadał pytanie, czy to prawda, że koalicja będzie kontynuowana po wyborach, bo na mieście słychać o konflikcie.

– Na razie mamy kampanię wyborczą – odpowiedział Radecki, starając się zachować spokój. – A „na mieście”, proszę pana – celowo podkreślił te dwa słowa – mówią różne rzeczy. Co innego w maglu, co innego na bazarku Różyckiego, co innego w Złotych Tarasach, a jeszcze co innego na giełdzie...

Rozmówca nie dał się jednak zbyć.

– Mówi się, że robicie brudną kampanię i w rewanżu ktoś, niewykluczone, że wasz koalicjant, podrzucił dokumenty Partii Demokratycznej do Galerii Katowickiej...

– A widział pan te dokumenty? Jakież oryginały? – przerwał mu bezceremonialnie Radecki, przywołując na twarz ironiczny grymas, chociaż w środku aż się gotował. – Bo ja nie! Policja też nic o tym nie wie. To są, proszę pana, gazetowe wymysły, żeby podnieść nakład. Tabloidowa kampania wyborcza... i niech pan pyta tych, w których interesie to jest. Klasyczne *cui bono*, proszę pana. Następne pytanie.

Już do końca wywiadu siedział sztywno.

Wieczorem w sztabie wyborczym Radecki wypuścił z siebie całą parę trzymaną pod pokrywką.

– Widzieliście sondaże? – warczał. – Stoimy w miejscu! W miejscu, rozumiecie? Ziemniaki zyskały trzy procent, Unia Społeczna dwa, a my nic! I to w sondażach przez nas zamówionych!!! To jakie będą wyniki, gdy ludzie naprawdę zagłosują?

Jego współpracownicy siedzieli w ciszy, bojąc się nie tylko odezwać, lecz także głośniej oddychać, chociaż odpowiedzialnemu za kampanię Bieli przychodziło to z trudem, bo miał fatalny katar.

Wreszcie Radecki trochę się uspokoił.

– Co tam mamy jutro?

Spin doktor przedstawił plan na najbliższy dzień. Radecki wyczekał, aż to omówią, rozdziela zadania, i kiedy jego współpracownicy byli już przekonani, że na dzisiaj to koniec, można trochę odetchnąć, znieczulić się, zapomnieć o słupkach i *shakin' handach*, nagle odstawił z trzaskiem szklanekę z grubym dnem wypełnioną wodą mineralną i zaczął:

– A teraz posłuchajcie. Nikt z was nawet się nie zająknął na temat tych papierów w Katowicach. Nie wasza sprawa?

– Ale policja... – mruknął niewyraźnie Szumilas.

Radecki jednak go usłyszał.

– Policja to jedno. Ktoś puścił tę szmatławą plotkę i nie interesuje was, kto, dlaczego? Nie wiemy nawet, czy to pogrywają ghule i zombi, jak próbował mi zasugerować ten „ciennikarz” na wiecu, czy może ktoś inny próbuje się wciąć między wódkę a zakąskę. A może – podniósł wściekły wzrok na swojego spin doktora – może, kolego Biela, to nikt z wymienionych, tylko pan hrabia robi nam wbrew?

Rozdział 4

Hrabia Ponimirski nie robił nikomu wbrew. Hrabia robił dobrze sobie. Urzędował w kuchni, pogwizdując cicho jakąś zaskakująco tęskną melodię, na ucho Wargasa pochodzącą z lat międzywojennych, czyli z czasów sprzed ustanowienia Światowej Federacji Nieludzi i wszystkich regulacji prawnych, które tak przeszkadzały arystokracji.

Miał to być ich pierwszy porządny posiłek od czasu wyruszenia w drogę. Krwisty befszyk z zamrażarki, lekko tylko podsmażony, do tego sok z czerwonych grejpfrutów, konsystencją, kolorem, a nawet zapachem przypominających tę najpiękniejszą z możliwych substancję, sens życia każdego wampira. Przynajmniej wampira kultywującego stare dobre wartości, *ancien régime*.

Wargas oparty o framugę drzwi przyglądał się temu zamyślony. Kiedy hrabia zaprosił go do jadalni i postawił przed nim talerz, usiadł i zaczął jeść, nadal nic nie mówiąc. Przez chwilę przemawiała tylko broń sieczno-tnąca. Wreszcie Ponimirski nie wytrzymał, zde gustowany odłożył widelec i spojrzał na swego sekretarza.

– Jakiś problem odbierający ochotę do życia?

W jego słowach nie dało się nie zauważyć uszczypliwości, więc Wargas uznał, że nie warto okłamywać hrabiego.

– Ludzie nas tu nie znajdują, ale nasi? Albo gulasze? Zombi?

Arystokrata patrzył na niego, a w jego brązowych oczach, nagle lekko pociemniałych, błysnął namysł (choć Wargas nie mógł się tego domyślać), ile prawdy wyjawić sekretarzowi.

– To jest naprawdę dobrze zabezpieczona kryjówka. Może z satelity by nas wykryli, ale też nie na pewno, masa skał nad nami jest raczej skuteczną osłoną. Trzeba by mieć pewność, że chowamy się pod tą górą, i przejrzeć centymetr po centymetrze, żeby trafić na wejście. I to też może nie wystarczyć. – Hrabia uśmiechnął się lekceważąco. – Zapachowe ślady wkrótce znikną, zresztą wokół

wylotu już zniknęły. A po wejściu w lasy za Kłodzkiem włożyliśmy przecież specjalne ubrania, żeby zostawiać ludzki zapach zamiast własnego. Więc tropiący powinni zgubić ślad... Możemy tu dosyć długo siedzieć...

– Aż skończy się kampania? – podjął sekretarz, bawiąc się kawałkiem befsztyku. – Ale co dalej, hrabio? Masz jakiś plan?

W jego głosie pojawiła się nadzieja, że nie jest to ucieczka na oślep i ukrywanie się byle dłużej, póki dadzą radę. Nie chciał spędzić reszty życia w tej ciasnej norze!

– Na razie poczekamy. Widzisz... – Hrabia zmienił się na twarzy, odsłonił kły i po raz pierwszy od dawna, właściwie od chwili, gdy przestał być ministrem sprawiedliwości, Vargas ujrzał go w tej majestatycznej postaci, która kiedyś musiała wzbudzać grozę. – Widzisz, będą nas szukać, zapewne rodzina Hedów, aczkolwiek nie tylko, bo pewno włączą się i inni, choćby z obserwacji wyciągając wnioski, że coś się dzieje. Obserwatorzy obserwujący poszukujących... – Hrabia Ponimirski dotknął palcem srebrnego widelczyka i zamyślił się. – I trafią na zastawione przeze mnie pułapki.

Wargas słuchał tego w milczeniu. Sekretarzował hrabiemu od bodaj piętnastu lat, wiele wiedział o jego interesach, prywatnym życiu, ba!, mógł nawet wskazać kobiety, zarówno ludzkie, jak i nieludzkie, w których gustował jego pryncypał. Niejedną randkę umówił, niejedno zerwanie łagodził, wręczając kosztowne prezenty w zamian za milczenie. Raz w imieniu hrabiego Ponimirskiego posunął się także do gróźb karalnych, gdy w przypadku pewnej dziennikarki zaszła taka konieczność. A mimo to... mimo to o pułapkach nie wiedział nic.

„Na tym właśnie polega polityka”, rozmyślał. Kolejne warstwy sensów i zamiarów. Nie dotarł jeszcze na drabinie zaufania hrabiego tak daleko, aby poznać wszystkie szczegóły. Obawiał się zresztą, że wkrótce z tej drabiny zleci, potłucze się i tak się skończy cała ta jego ścieżka kariery: wielką katastrofą i wieloma złamaniami – niewykluczone, że wręcz śmiertelnymi.

– Pułapki?

– Wszyscy wiedzą, że w przerwach od polityki prowadzę parę firm budowlanych, a w innych jestem współudziałowcem, prawda?
– Hrabia spojrzał pytająco na rozmówcę. – Nie wątpię, że komuś przyszło do głowy, iż duży budynek ma wiele pomieszczeń i łatwo tam ukryć jedno czy dwa nadliczbowe. Z pewnością przynajmniej Hedowie na to wpadli.

Oblicze hrabiego pociemniało. Nie lubił rodziny Hedów, chociaż sekretarz nie znał przyczyny tej animozji. Chyba że chodziło o to, iż rodzina ta zajmowała się rozwiązywaniem problemów w środowisku wampirów od czasu nastania Radeckiego, więc – co logiczne – i tym razem będą musieli jej stawić czoło. Wyczuwał jednak w tym coś więcej... Może podskórną rywalizację o łaski i zainteresowanie Radeckiego? Kolejna tajemnica.

– Jak otworzą, zobaczą, co dla nich przygotowałem... – Hrabia spoważniał. – Ale jedźmy, bo ci ostygnie. Jest czas na tę opowieść...

Czasu nie miał za to Włodzimierz Hedo. Ściślej mówiąc, zostało mu jeszcze parę lat życia, wampiry są długowieczne, choć nie tak jak w opowieściach dla ludzi, które miały wzbudzić strach i podkreślić różnice. Głowa rodziny Hedów rozumiała jednak, że zleczone mu poszukiwania muszą przynieść efekt, inaczej jego reputacja zostanie nadwątlona, a być może – wskutek gadulstwa hrabiego Ponimirskiego – całkiem runie, jak wiele praskich kamienic tak długo nieremontowanych, aż skruszały do fundamentów.

Wobec tego zaczął poganiać rodzinę i współpracowników, wisiał na telefonie, a kiedy urzędował w restauracji, ciągle konferował z kimś w jednej z odciętych od świata salek. A efektu, jak nie było widać, tak nie było. Ponimirski i jego sekretarz zapadli się pod ziemię, co wprawiało starego Hedę w coraz większą depresję i nerwowość. Tym bardziej że po śmierci córki w Galerii Katowickiej sprawa nabrała osobistego charakteru, ze zlecenia przemieniła się w zemstę.

Jego najmłodszy syn, Ziemek, w wampirzych kategoriach ledwie pacholę, bo liczył sobie lat dwadzieścia dwa, obserwował to

ukradkiem, aż wreszcie przy kolacji, którą ojciec spożywał w ponurym milczeniu, poprosił:

– Włącz mnie do śledztwa.

Do tej pory odsuwanie od różnych zleceń traktował jak naturalną kolej rzeczy, rodzina i przyjaciele nie mogli w ich trakcie niańczyć niedorostka. Ale teraz był pełnoletni, studiował na Politechnice, pora więc zająć w rodzinie należne miejsce i zacząć się wspinać w górę.

Takiej reakcji ojca jednak się nie spodziewał. Ten położył ciężkie, spracowane dłonie na blacie stołu, popatrzył na najmłodszego i tonem wykluczającym wszelką dyskusję stwierdził podniesionym tonem:

– Ty masz się uczyć. Świat się zmienia, musisz być bystry. Nie wiadomo, jak długo będziemy potrzebni, może maszyny przejmą nasze role, zawsze jednak ktoś nimi musi pokierować, i ludźmi, i wampirami, którzy nimi kierują. Mam dla ciebie inną rolę...

– Ależ tato! – oburzył się Ziemek.

Stary Hedo był jednak nieubłagany. I ostrzegł, że nie będzie sprawdzać, czy Ziemek kręci się wokół śledztwa, ale jeśli syn złamie nakaz, poniesie konsekwencje.

Po południu, kiedy hrabia wyszedł ze swego gabinetu, zjedli obiad i wtedy Ponimirski postanowił kontynuować rozmowę, na którą sekretarz czekał z niecierpliwością.

Hrabia zaprowadził go do jednego z pomieszczeń wyglądających na laboratorium. Czegóż tu nie było?! Mnóstwo szklanych naczyń o najróżniejszych kształtach: retorty, kolby, jakieś cienkie rurki pojedyncze i zgrupowane w bloki, pojemniki płytkie i głębokie. Niezliczona ilość wężyków stalowych i gumowych. Lustra oraz pryzmaty leżące obok siebie, jakby mające podobne przeznaczenie, choć łączy je przecież tylko jedno: istnieją, gdy trafi w nie promień światła. Sekretarz miał wrażenie, że trafił do laboratorium, w którym ktoś destylował alkohol ze słońca.

– Moi przodkowie stali na froncie nauk – zaczął z dumą hrabia, przechadzając się po laboratorium. – To, co tu widzisz, to tylko

resztki, ślady, pamiątki. Działali na dworach, przy najbardziej znanych władcach Europy. Wyobrażasz sobie, że gdy Heweliusz poprosił Ludwika XIV, Króla Słońce, o wsparcie finansowe dla swoich badań, to właśnie mój przodek doradził władcy skorzystać z tego prawa, aby mieć honor mienić się mecenasem najślawniejszego spośród astronomów w tym czasie?! A jeden z praszczurów, Stefan Ponimirski, który wyemigrował do Afryki, do Maroka, pracował tam nad niezwykłymi właściwościami luster z górskiego kryształu z gór Atlas. I... odkrył pewne dziwne zjawiska optyczne. Pułapki... właśnie te, o które pytałeś.

Zamyślił się. Paznokciem trącił jedno z naczyń. Rozległ się czysty, wysoki dźwięk.

– Chciałbym mieć ich wiedzę. Mniejsza z tym. Wsadziłem kilka jego pułapek do tych zasadzek. Jeśli ktoś depcze nam po piętach, może się mocno zdziwić.

– Ale wtedy już bankowo będą się mścić – zauważył sekretarz zaniepokojony perspektywą zemsty rodziny Hedów.

Bo to oni byli najprawdopodobniej ryzykantami wkładającymi głowę do takich pułapek.

– Takie są zasady – wyjaśnił chłodno hrabia. Nie wydawał się poruszony wizją, że tropiciele mogą doznać uszczerbku na zdrowiu czy życiu. Odwrócił się do sekretarza. – Pomyśl. Każdy z nas, czy to wampir, czy ghul albo zombi, żyje jak schizofrenik, na dwóch poziomach. Fikcyjne fabryki, ciężarówka z jedzeniem, życie dla ludzi i życie dla siebie. Ba, niektórzy mają tylko na potrzeby tego wizerunku ludzkie żony czy kochanki. Cóż to za aberracja, owoc upadku naszych czasów! – Jego głos zabrzmiał nieco piskliwie, jak zawsze, gdy się niezdrowo podniecił. – W tym całym pozornym sukcesie, że rządzymy ludźmi, zagubiły się proste zasady, pojawił zaś strach, że nas zdemaskują i pryśnie to fałszywe życie. Gdzie się podziela czytelna dychotomia towarzysząca nam od tysiącleci: złapią, zginiesz? Ty złapiesz, oni zginą. Ciemność i światło w gargantuicznym uścisku, a nie takie udawane coś, mrok w garniturze... – dokończył z niesmakiem.

– Hrabio, ale na tym polega rozwój – próbował delikatnie oponować Wargas, czując się nieswojo zarówno wobec

intelektualnego naporu, jak i coraz bardziej napierającego na niego cielska Ponimirskiego, który prawie już przyparł go do ściany. – Kryliśmy się w mroku, póki nasi przodkowie nie wynaleźli preparatów pozwalających zrezygnować z picia ludzkiej krwi. Póki nie stworzyliśmy fabryk zaopatrujących nas w jedzenie i inne potrzebne produkty. Teraz idziemy dalej: zaczynamy rządzić w imieniu ludzi i dla ludzi, a także dla siebie. Nasze działy kulturalne powoli naprawiają to, co ludzie zepsuli: zmieniają filmami i książkami wizerunek wampira i innych nie ludzi w kulturze z pełnego grozy w sympatyczny... To potrwa, ale przecież któregoś dnia nie trzeba się już będzie ukrywać, wampir stanie jak równy obok człowieka. A może i lepszy.

– I ty w to wierzysz? – prychnął z nieukrywaną pogardą hrabia, odsuwając się od swego sekretarza, bo zdał sobie sprawę, że posunął się za daleko. – Wierzysz, że te idealistyczne brednie się ziszczą? Że jakiś film czy książka zmienią nastawienie ludzi? To tylko trzoda, którą trzeba wypasać! Co z tego, że nasi robią filmy, gry, piszą książki, w których wizerunek wampira się zmienia, skoro to jest *zła* droga! To *jeszcze gorzej*, Vargas, to się skończy nie pojedynczymi śmierciami wampirów, jak kiedyś, tylko zepsuciem całej naszej rasy! Te miękkie fujary z Zachodu, przecież to od nich wyszło zepsucie i zło, to oni psują szlachetny wizerunek wampira jako Nemesis, Zła, istoty potężnej, której trzeba się bać... Ech! – Machnął nagle ręką z rezygnacją. – Zostawmy to na razie. Pora na chwilę odpoczynku.

W swoim pokoju sekretarz zaczął się zastanawiać, czy to możliwe, by tak bardzo nie znał poglądów swojego pryncypała? Hrabia zawsze należał do konserwatywnej grupy w łonie Partii Demokratycznej, ale przecież sformułowane dziś przez niego poglądy nie były konserwatywne, lecz wręcz anarchistyczno-rewolucyjne!

I co gorsza, chyba nie zdawał sobie sprawy, że wyrażona przez niego troska o los wampirów brzmi fałszywie, bo przecież to jego działania mogły przynieść wampirom i reszcie nie ludzi prawdziwą hekatombę!

Czasy polowań na ludzi minęły. Dziś jadło się substytuty, a potrzebę rywalizacji i zwyciężania realizowało się na przykład w polityce. Albo w sporcie: czy ktoś by uwierzył, że najszybszym sprinterem wcale nie jest człowiek? I że gdyby chciał, to nie przebiegłby stu metrów w dziewięć i pół sekundy, tylko w cztery?

Polska się zmieniła. Nikogo nie dziwiły tiry z towarem, firmy globalne... Nikt więc nie wiedział, poza wtajemniczonymi, że i wampiry oraz pozostałe stworzenia mroku i ziemi się zglobalizowały. Polityka wciąż była lokalna, chociaż odkąd polscy przedstawiciele wybrali się do Europarlamentu, wampiry pojawiły się i tam. Jedzenie docierało z Zachodu, a nasze produkty także wysyłano w tamtym kierunku. Pełna globalizacja. Oczywiście, wszystko legalnie, na papierach, nie zgadzały się tylko skład i przeznaczenie, ale od tego mieli swoich ludzi, żeby nie było wpadek.

I nie było. A od jakiegoś czasu zorganizowanym wampirom udawało się nawet wygrać wybory i rządzić razem z gulaszami. Czego chcieć więcej niż spokojnej egzystencji i bezpiecznej rywalizacji? Wojny? Do tego chciał doprowadzić hrabia? Znow otworzyć front strachu i krwi? Coś, o czym udało się w ostatnim stuleciu zapomnieć – polowania ludzi na wampiry i resztę stworzeń nocy?

Wargas naprawdę przestraszył się własnych myśli. Może przesadzał, nie rozumiał hrabiego?

Może powinien jednak stanąć po stronie legalnej władzy i zdrowego rozsądku?

Tymczasem kampania biegła swoim torem, przynajmniej dla obserwatorów z boku, a ściślej – ludzi, którzy nic nie wiedzieli o ucieczce hrabiego Ponimirskiego, jego planach oraz wątpliwościach Wargasa natury etycznej.

Kilka najważniejszych osób w partii spotkało się w sztabie wyborczym. Radecki, Biela, Szumilas, kilku ministrów i... premier. Tak, premier Długoszewski znalazł dla nich chwilę w swoim napiętym kalendarzu – tak właśnie miało to zostać sprzedane

ludziom. Premier nie odcina się od swojej partii, lecz ją wspiera, a ponieważ to trudna chwila, notowania bowiem przystopowały, trzeba zakasać rękawy dla dobra własnej partii i całej Polski.

W rzeczywistości akurat premier był starym, poczciwym wampirem, którym łatwo było sterować z tylnego siedzenia, czyli z fotela marszałka sejmu. W ten sposób Radecki miał kontrolę i nad posłami, i nad rządem, a równocześnie nie był tak wystawiony na cel jak rząd.

Nie zapominał jednak, że w każdym wampirze tkwiły takie cechy jak próżność, więc czasem wypadało i rząd docenić, szczególnie tego starego pierdołę. A teraz jeszcze, po wybuchu afery z Ponimirskim, uzgadniać kolejne kroki, żeby uniknąć jakiejś wpadki.

Pierwszą część spotkania poświęcili więc na omówienie sytuacji i kampanii. Potem zapadła cisza. Wydawało się, że nadszedł moment koniecznego rozluźnienia, minister Gomolewski, jeden z najmłodszych i najbardziej sprawnych w rządzie, spojrzął na premiera i rzucił:

– U którego biskupa brałeś ślub? Bo ja też...

Radecki przewrócił oczyma. Cóż za pytanie! Wiadomo, że mieli swoich przedstawicieli w każdym stanie, także pośród duchownych, ale akurat w tym przypadku była to tajemnica znana zaledwie kilku osobom na szczytach wampirzej hierarchii.

– Chyba cię pogięło! – warknął, żeby przeciąć tok rozważań młodego ministra. – Teraz chcesz brać ślub? Tabloidy od razu to podchwycą, zrobi się afera, że wykorzystujesz to w kampanii...

– Ale potem... – zafrasował się nie wiedzieć czemu Gomolewski.

– Tak właśnie: potem, jeśli nadal będziesz chcieć – uciął Radecki, miażdżąc wzrokiem ministra. – Teraz mamy na głowie kampanię. I Ponimirskiego, który co prawda milczy, ale nadal nie udało się go odszukać...

Ton jego wypowiedzi sprawił, że wszyscy nagle z zapałem zaczęli chrupać słone paluszki, które tylko z pozoru były słone i z maki; w rzeczywistości były to produkowane we Francji przekąski z płytek krwi, produkt klasy premium. Podobno w Air Force One większość zapasów żywności stanowiły właśnie te paluszki, a kanclerz Niemiec nosiła osobisty zapas w torebce, częściowo ukryty w szminkach

i pomadkach. Tylko prezydent Rosji się wyłamał, Rosjanie produkowali własne.

– No... – mruknął zadowolony Radecki.

– Nie wiem, co z tym Ponimirskim – podjął niespodziewanie minister Dudziński zajmujący się energetyką, w tym jądrową, czyli taką, która była pieśnią przyszłości, i to raczej śpiewaną w niewłaściwej tonacji. – Razem kiedyś znaleźliśmy się w jednym rządzie, jeździliśmy też na polowania do Białowieży... – Widząc minę Radeckiego, uprzedził jego krytykę: – Nie na ludzi przecież! Na zwierzęta. I bez spóźnienia, samo polowanie.

Radecki zaczął cicho, bezosobowo kłąć. Nie mógł już na nich patrzeć, na tę bandę rozwydrzonych, rozpuszczonych polityków, którzy nie rozumieli, że gałąź pod nimi trzeszczy. Można zgrzeszyć zbyt, ale nie w chwili zagrożenia. Śluby na pokaz? Polowania? Może jeszcze zamarzy się jednemu z drugim wizyta na kosmodromie? Czasem czuł się bardzo samotny i tylko myśl o czekającej w domu Mariannie powstrzymywała go przed kłaniem wszystkiemu, co się rusza i zaczyna głupio gadać.

– Mam do powiedzenia tylko jedno. Spotkaliśmy się tu, bo nie tylko mamy kampanię wyborczą, ale też tego durnia Ponimirskiego na karku. Widzę jednak, że chociaż hrabia się jeszcze ani słowem nie zająknął, siedzi w jakiejś norze i czeka, wy już przesiąkliście jego idiotycznymi wątpliwościami! Nie potrzeba nam zatem żadnych Ponimirskich, za chwilę premier albo minister wyjdzie na mównicę i na oczach milionów Polaków w czasie bezpośredniej transmisji powie coś takiego, po czym będziemy mogli spokojnie, aczkolwiek bardzo pospiesznie ewakuować się na Galapagos albo inne bezludne wyspy. – Zacisnął dłonie na blacie i pozwolił pazurom wysunąć się na całą długość. – Ci, którym nie podoba się z trudem osiągnięty *status quo*, za który tysiące naszych braci zapłaciło życiem, niech wiedzą, że póki ja rządę naszym plemieniem, będę tego spokoju bronić każdym możliwym sposobem.

Gdzieś nad ich głowami cicho szumiał wentylator. Słyszeli leciutko kwilący silnik. Wentylator wymagał wymiany, a obawiali się w tej chwili, że nie tylko on...

A niech to! – zaklął hrabia Ponimirski, siedząc w pokoju radiowym.

Odepchnął się od konsoly i zakręcił na fotelu na kółkach, ale nic to nie dało, nadal był wściekły.

Jego sekretarz nie wiedział, że arystokrata w tej kryjówce miał zamontowaną potężną antenę i stację nadawczą. Trochę kręcił, twierdząc, że nie ma tu dostępu do sieci, było to zaledwie pół prawdy, a może nawet całe kłamstwo. Hrabia stąd właśnie zamierzał dokonać swego *coming outu*, by potem bezpiecznie ukryty przeczekać lub ruszyć do Czerwonej Fortecy na północy i tam dopiero zalec jak niedźwiedź w gawrze. Wszystko miało zależeć od rozwoju wydarzeń, do ich śledzenia potrzebował zaś odpowiedniego sprzętu.

Ten jednak, sprawdzany ostatnio kilka lat temu – hrabia bowiem dojrzywał do ostatecznej decyzji równie powoli jak szlachetna whisky – funkcjonował sprawnie, by dopiero dziś odmówić działania. I to tak zupełnie, że Ponimirski uznał, iż antena, sprytnie ukryta w budynkach należących do zakonu na szczycie góry, musiała zostać zerwana, zniszczona albo zepsuta. Ewentualnie kable na śmierć zdeptali pątnicy wznoszący modły do Maryi.

Krótko mówiąc, nie działało nic. Nie mając odpowiedniej wiedzy, raczej nie zdoła jej naprawić. A wyjścia i narażania się na odkrycie na wierzchołku góry – pół biedy, jeśli przez pielgrzymów krążących po stacjach kalwarii, gorzej, jeśli przez siepaczy Hedy – nie planował. Aż taki głupi nie jest.

A zatem pozostawał sprzęt w Czerwonej Fortecy, o którym wiedział. Kilkaset kilometrów dalej – i już nie zaryzykują podwózki. Ten numer był jednorazowy, hrabia miał pewność, że Hedowie będą czesać monitoring drogowy.

Postanowił jeszcze parę dni poczekać, może sprzęt się naprawi? Albo jego nagle coś oświeci?

Światło przesiewane przez gałęzie obrośnięte starzejącymi się liśćmi miało niezwykłą barwę morskiej toni jakby podświetlanej od spodu, z głębin. Ludwik przyglądał się temu po raz tysięczny chyba i wciąż czuł zachwyt.

Może winne temu było też miejsce pełne melancholijnych refleksji. Ghul stał bowiem niemal na granicy dwóch leśnych światów pozornie współistniejących jako całość, jednak w istocie wrogich sobie, konkurencyjnych. Oparty o pień sosny patrzył na polanę przesłoniętą tylko lekko przez gałęzie splątanych dębczaków i wiązów. Polanę – za dużo powiedziane. Połąć trawy pozbawioną starszych drzew, nie większą niż dziesięć na dziesięć metrów.

Przychodził tu co dzień, popatrzeć na to miejsce, czasem wypieścić nachalną siewkę, która mogłaby zburzyć to niezwykle *status quo*. Pod ziemią, całkowicie zarośnięty, pozbawiony jakichkolwiek cech szczególnych, krył się cmentarz powstańczy z czasów wojny. Bezimienne groby, których poza ghulem eremitą nikt nie odnajdzie, nie przeniesie szczątków w lepsze miejsce. Chociaż to akurat Ludwikowi nie wydawało się wcale takie pewne.

Paradoksalne, że akurat on, ghul, stał się ich strażnikiem i jedynym powiernikiem snów, które tu wokół się plątały. Ale tak, świat się zmienił, dziś ghul nie żerował na kościach, dziś brał udział w światowym życiu – jak Ludwik właśnie. Przed rewolucją osiemdziesiątego dziewiątego roku siedział w więzieniu, w nowych czasach został politykiem, doszedł na szczyty, rozczarował się, poszedł do korporacji, rozczarował się jeszcze bardziej, odszedł, założył firmę, ale wpadł jak śliwka w kompot: w pracoholizm i nieustającą depresję. Rozczarował się tak bardzo, że bardziej już się nie dało, był bliski popełnienia samobójstwa.

– Zarzynasz się! – Usłyszał od jednego z przyjaciół, Stanisława Wyderki. – Zwolnij, bo trafisz na cmentarz.

Posłuchał, zwolnił. Poszedł w las prowadzić proste ghulskie życie, w którym nikt nie wyzywa go od gulasza, a on nie musi odcinać się, nazywając oponenta strupojadem. Teraz obserwował sarny, grę słońca na liściach i kłosach traw, na płatkach kwiatów, opiekował się odnalezionym grobem, nie pozwalając drzewom zarosnąć tego miejsca. Jedyne kontakty ze światem zapewniał mu ów przyjaciel, powiernik, dostarczyciel preparatów, bez których Ludwik musiałby wrócić do natury, a wobec obecności powstańczego cmentarza była to ostatnia rzecz, której pragnął. Wczuł się w rolę kustosa i bardzo mu to odpowiadało.

Poza spokojem pragnął tylko jednego. Któregoś dnia, gdy umrze, trzeba będzie oddać ludziom ten cmentarz. Jego powiernik znał wolę Ludwika, choć ten nie zdradził mu lokalizacji grobów.

Lecz na razie... na razie mógł patrzeć, jak światło odkrywa polanę i ujawnia fakturę, pod którą tylko pamięć dopisywała resztę tajemnicy.

Dzień kończył się z trudem, jakby chciał trwać i trwać, a nie dać nadejść nocy. Dopiero po dwudziestej drugiej Radecki ruszył do domu, snując posępne myśli, że gdyby był wampirem jak dawniej, to teraz by powracał do życia, wychodził na łów. Ale niewiele mógłby zrobić poza tym. Odwrócenie pór aktywności wydłużało czas działania, a tym samym skuteczność. Otto von Gerlau, który wynalazł pigułki pozwalające wampirom wyjść na światło dnia i żyć, był geniuszem, chociaż nie znał go nikt z ludzi poza kilkoma starszankami z jednej z tyrolskich wsi.

Czuł, jak wciąż buzuje w nim wściekłość wywołana niefrasobliwością tych, którzy z pewnością mieli wystarczającą wiedzę, aby akurat niefrasobliwość odesłać do kąta i zamienić ją: na powagę? lęk? strach? Wybory można wygrać lub przegrać, zawsze też można je sfałszować na swoją korzyść (co Radecki uważał za ostateczność, ale czego wcale nie wykluczał). Jednak rozmyślać o polowaniach albo „telewizyjnym” ślubie w chwili, gdy ludzie mogą zaraz z widłami i pistoletami zacząć znów na nich wszystkich polować?

Marianna od razu wyczuła jego napięcie. Jeszcze nie zdążył zdjąć butów i garnituru, kiedy jej ręce zaczęły masować mu kark, a wtulone w niego ciało zaczęło wysyłać sygnały, że dziś w łóżku może dojść do ciekawych wydarzeń. Znów mu mówiła, że najwyższy czas sprowadzić na świat małe wampirzątka.

– Wyloguj się, kotku – szepnęła.

To było ich hasło. Trzeba umieć porzucić zawód. Czasem trzeba umieć porzucić nawet pasję.

– Te durnie zachowują się jak młode wampiry! – Z niesmakiem pokręcił głową. – Nie dociera do nich, co może nam zrobić hrabia,

jeśli zacznie gadać. A przecież nie będzie wiecznie siedział w norze, nie wierzę w to.

– Można ludźmi rządzić, ale po co? – Jej ręce wzmocniły nacisk na newralgiczne partie mięśni szyi Radeckiego. – Nigdy w to nie wierzyłam, przecież wiesz. Po tylu latach nadal ci się to podoba?

– I ty też? – zdziwił się. – Strasznie wpłynął na was ten Ponimirski.

Marianna cofnęła ręce, popatrzyła na niego z namysłem. Jej oczy miały barwę podobną do długo leżących na powietrzu orzechów włoskich wyłuskanych z zielonej łupiny.

– To nie on, to wisi w powietrzu – wyjaśniła. – To nikogo nie obchodzi, znaczący ludzi. Oni chcą tylko jeść, spać, bawić się, a ideały to wiesz... Wszyscy się chyba rozczarowaliśmy...

Skinął głową. Marianna zawsze była anarchistką. Jednak w tej chwili z trudem znajdował siły na taką dyskusję, przynajmniej w domu.

– Pas! – Zaczął rozpinąć koszulę. – Z własną żoną wolę rozmawiać o czymś innym.

Uśmiech błysnął w jego oczach.

– A właściwie, zamiast rozmawiać, wolę uprawiać. Wylogowuję się z polityki, żeby zalogować się do łóżka, co ty na to?

Ponury nastrój panował wszędzie, nie tylko w domu Radeckiego.

Kampania wyborcza dotarła do tego punktu, że wyciągając rękę, by odtrącić owada albo zetrzeć z twarzy jakiś paproch, natychmiast miałeś wciskaną w dłoń ulotkę wyborczą głoszącą: „Wybierz mnie, a trafisz do raju”. Nikt nie dodawał, że to może być seraj, a wyborca może się okazać idiotą, który zgodził się zostać niewolnikiem albo wręcz eunuchem, bo akurat pojawił się wakat na tym stanowisku.

Ulotki, ryczące z megafonów uliczne potwory, w telewizji spoty, a nawet reklamy wyborcze sprytnie ukryte jako *product placement*. Okropność. Ludzie modlili się o rychły koniec tej szopki.

Jeszcze bardziej ponuro było w sztabach wyborczych i ścisłych gremiach decyzyjnych Naszej Ziemi.

– No i co z tego, że nam rośnie? – ryczał na swoich współpracowników Gabor. – Dziś rośnie, jutro może spaść! Hrabiego Ponimirskiego mieliście szukać! Ktoś wie, co się zdarzyło w Katowicach, czy tylko durne tabloidy umiecie czytać?

Gabor był wściekły, bo po kolejnym zasileniu egipskim piaskiem z domieszką polskiej krzemionki Al-Ghazani długo nie mógł się uspokoić, wpadł w jakieś drgawki. A może były to skutki wcześniejszego skarmienia ghulem zdrajcą?

Być może z perspektywy stulecia nie było to nic istotnego, ale dla Daniłowicza mogło to jednak oznaczać kres krótkodystansowych planów, z którymi się nie zdradzał. Nie zamierzał po prostu czekać stu lat i przekazać sprawę swemu następcy. Chociażby dlatego, że takiego następcy nie namaścił. „A niech się żrą po mnie – myślał mściwie – co mi tam. Nie będę żyć, niech zrównają Warszawę z ziemią albo i sięgną do spodu”.

– Co robią nasi wywiadowcy? – Popatrzył na Kiziaka, szefa wywiadu, starego i do przesady zastanawiającego się nad każdym słowem ghula. – W ogóle masz jakieś pojęcie, co robią wampiry?

– Tropią – niepewnie odparł wywiadowca.

Kilka przypadków zaginięcia ghuli, które naraziły się Daniłowiczowi, kazało mu ważyć słowa.

– A my?

– Też tropimy – odparł wyniośle Kiziak, wyczuwając, do czego zmierza prezes. – Ale jak oni nie wytropili, to uważasz, że nam się uda?

Gabor zacisnął pulchne dłonie. Zaraz tu dojdzie do ghulobójstwa!

– Przecież o to chodzi!

– A myślisz, że nie wiem? – Szef wywiadu westchnął ciężko. – Posłuchaj, Gabor, ja tego nie lekceważę, tylko brakuje mi punktu zaczepienia. Jak się czegoś dowiem, jesteś pierwszy na liście.

Tak, nerwy, nerwy, kampania nad- i podziemna...

Nie wszyscy jednak przeżywali kampanię, choćby jako bierne jej ofiary. Gerard i Jędrzek Stanisławscy, jak większość poderwanych do poszukiwań przez Włodzimierza Hedę wywiadowców, o kampanii

wiedzieli tyle, że trwa i że wybory wygrają znów Partia Demokratyczna i Nasza Ziemia, ta druga, rzecz jasna, jako naturalny koalicjant, aby mieć większość w sejmie.

Za to o tropieniu i unieszkodliwianiu zarówno ludzi, jak i nie ludzi Stanisławscy wiedzieli tyle, że ich zdaniem ludzkie podręczniki medycyny i skrypty dla służb specjalnych można by potraktować jedynie jako skrótowe wprowadzenie w temat.

Od kilku dni kręcili się po okolicy, przepytując ludzi i szukając śladów pobytu uciekinierów. Do tego zadania Jędrak wcielił się w oficera policji. Stosowne dokumenty miał w kieszeni, ale i tak nikt nie sprawdzał, wystarczyła drobna sugestia, że pracuje w służbach. Kto ze sprzedawców fałszowanej krowim mlekiem bryndzy czy mieszkańców na lewo wynajmujących pokoje zaryzykowałby konflikt z władzą?

Wędrowali łagodnym stokiem u podnóża jednego ze szczytów, wzdłuż którego wiodła droga, kiedy nagle wzrok jednego z wampirów przykuła jakaś strasznie zrujnowana budowla widoczna na horyzoncie w odległości kilometra czy dwóch.

Jędrak pociągnął nosem. Nie był to katar, ale też nie drażniący w nozdrzach zapachowy ślad. To mit, że wampir wyczuje wampira po tygodniu, po deszczach, w zasadzie zawsze. Ślad to ślad, może zniknąć, więc Jędrak nikogo nie wyczuł. Jednak prawie zawsze, kiedy czuł kręcenie w nosie, była to intuicja podpowiadająca mu, że jest blisko owego śladu. Właśnie dlatego wciąż pracował dla rodziny Hedów.

– Obejrzyjmy – rzucił krótko i ruszył w stronę zrujnowanego szałas.

Z każdym krokiem nabierał przekonania, że i tym razem intuicja go nie zawodzi. Z bliska było widać, że szałas nie zapadł się ze starości ani nie został stratowany przez stado baranów w futrze albo ludzkiej skórze.

– Ciekawe.

Podszedł do resztek budowli. Ślady po ogryzieniu wyglądały, jakby do konstrukcji dorwał się bóbr gigant z atakiem gryzącej wściekłości albo napadowego ścierania zębów.

– To nie nasze – ocenił Gerard, zaglądając do środka. – Chociaż czuć zapach hrabiego i jego siuśmajtki. Zapach strachu. Bali się psów? Co za upadek...

Jędrak z zadowoleniem pociągnął się za nos.

– No to wreszcie trafiliśmy na ślad – skomentował z zadowoleniem.

Była noc. Kochanka Drillera, jedna z jego asystentek, spała w swojej sypialni, a on wciąż z rosnącą złością przerzucał papiery. Kampania toczyła się normalnym trybem, ale nienormalne było to, że znów trudno było dojrzeć na horyzoncie sukces, a tym samym po wyborach przywództwo Drillera zostanie zakwestionowane. Młode wilki tylko czekają, nie zdając sobie sprawy, że w rywalizacji ze starymi repami siedzącymi w innych partiach będą tylko żerem, wystawiane, podpuszczane, manipulowane.

Czuł, że coś przegapił. Ponimirski był jednym z kluczy – skoro go szukali, na pewno otwierał ważne drzwi, ale do czego, do jakiego sekretu czy strasznej tajemnicy? I czy tylko on?

Nagle przyszedł SMS.

– No! – sapnął z satysfakcją, czytając go po raz drugi. – Wreszcie!

Ponimirski był w Wiśle. A przynajmniej tam go szukali ludzie Radeckiego i chyba znaleźli, skoro nagle na ulicach zagęściło się od pytań o hrabiego. Trzeba posłać tam chłopaków, chociaż konfrontacja to pewne ryzyko...

Włodzimierz Hedo jak zwykle ścierał blat najlepszego stołu. Minęła pierwsza w nocy, wszyscy goście już poszli, ale on z zapałem szorował drewno, jakby w jego gładkiej impregnowanej powierzchni chciał dojrzeć rozwiązanie swoich problemów.

Przyjdzie mu ustąpić miejsca. Przez jakiś czas klan robotę ma zapewnioną. Jednak technika to nie wszystko, zbrodnia także nie. Stary Hedo był mądry, bo starał się patrzeć na cele, nie na ścieżki do nich prowadzące – i ostatnie dekady, w których wampiry i inni nieludzie doszli do władzy, uświadomiły mu, że to jest droga do celu bardziej bezpieczna.

Trzeba tylko wiedzieć, jak oporządzić owce, żeby nie beczwały zbyt głośno. Ziemek powinien przejść drogę, która za kilkadziesiąt lat pozwoli mu przejąć władzę. Radecki mu to obiecał, jednak restaurator rozmyślał nad szczegółowym planem, być może nawet pozwalającym się uniezależnić od Radeckiego i grzebania w podziemnych brudach. Tym bardziej że nie zamierzał już stracić żadnego dziecka.

Zacisnął zęby. Nie będzie miał już takiej córki jak Joanna. Kochał wszystkie swoje dzieci, ale tylko ona potrafiła złamać regułę niemieszania krwi i przeżyć. Któregoś dnia dotarły do starego Włodzimierza informacje od jego wywiadowców, że Joanna ma romans z człowiekiem. „Ależ, tato!” – zaprotestowała gwałtownie, kiedy wezwał ją do gabinetu i bez ogródek oznajmił, że ją wydziedziczy i odeśle na koniec świata, jeśli *natychmiast* nie zerwie kompromitującego całą rodzinę związku. „Ależ, tato – powtórzyła wtedy, a jej twarz wydała mu się taka rozemocjonowana, jakby brała udział w poważnym śledztwie. – Prowadzę działania wywiadowcze, Sebek da nam dostęp do najważniejszych osób z Zatoki Czerwonych Świń!”.

Do dygnitarzy miał dostęp i bez niepotrzebnych romansów, ale czyż ojciec nie powinien być dla wrogów okrutny, a dla swoich dzieci wyrozumiały? Zresztą czas szybko rozwiązał ten problem, ów Sebek wyjechał na studia za ocean i nie wrócił.

Nagle skrzypnęły drzwi i do sali zajrzała średnia córka, Andżelika. Popatrzył na nią czule. Wszystkie swoje dzieci kochał, nawet jeśli nie były idealne...

– Mamy ślad. A nawet więcej.

Opowiedziała ojcu o szafasie, a potem o błyskawicznym wychwyceniu na monitoringu dostawczaka, w którym obok kierowcy siedzieli dwaj pasażerowie bardzo mocno przypominający hrabiego Ponimirskiego i jego sekretarza.

– Jechał do Katowic. Ale potem zniknął, nie ma go na monitoringu co najmniej od połowy trasy. Może hrabia z Wargasem są w Katowicach, sprawdzimy... – Uśmiechnęła się i jeśli by ktoś do tej pory wątpił, czy to jego córka, to po tym wilczym uśmiechu zapowiadającym podjęcie wszelkich działań pozbyłby się wahań. –

Dowiemy się z pierwszej ręki. Jacek wrzucił zdjęcia kierowcy do naszych wyszukiwarek, mamy jego dane, a także – znów się uśmiechnęła i był to uśmiech tym razem zapowiadający ból i strach – trasę, którą dziś podąża. A właściwie to nawet wiemy, gdzie dziś nocuje. Całkiem niedaleko stąd. Chyba się nie wyśpisz, tatku...

Włodzimierz odłożył szmatkę na stół. Uśmiechnął się do córki.

– Ano, chyba nie. Jedźmy zatem.

Rozdział 5

Zajazd Pod Kogutem nie miał nic wspólnego z drobiem. Wokół leżały same wioszczyny i miasteczka tak mikre, jakby się dwie wsie zmówiły, żeby stworzyć jedną atrapę chuderlawego organizmu miejskiego. Wszystko tu zresztą było małe: Fabisiak z trudem wcisnął swojego dostawczaka na parking pomiędzy dwa tiry i parę osobówek, po czym wyskoczył z szoferki i dziarskim krokiem ruszył w stronę oświetlonego wnętrza.

– Witam, panie Jacku! – Właściciel stojący przy recepcji czujnym okiem obrzucał wejście do sali restauracyjnej, gdzie dwaj goście popijali wino, ale znalazł sekundę, by rzucić Fabisiakowi krótkie osobiste pozdrowienie. Był to jowialny mężczyzna przy kości z uśmiechem jednak nieco skażonym czujnością. Ot, zawodowe skrzywienie. – Pokoik czy wpadł pan tylko na małe szamanko? – Pochylił się w stronę gościa i dodał zniżonym głosem: – Zestawu dnia nie polecam, ale za to goloneczka w piwie... – Znacząco zawiesił głos.

Nie powinien polecać alkoholu kierowcy, ale przepisy sobie, życie sobie, a w końcu ileż tych procentów może mieć golonka, skoro większość piwa kucharz wypił w intencji, żeby świnia miała spokój w grobie i nie stanęła gościom chrząstką w gardle?

– Muszę odpocząć. – Fabisiak poprawił kaszkiet. – Przygotuj pan pokój, a ja idę coś zjeść.

Świnie musiały dostać się do nieba, bo golonka, choć smaczna, jedynie w karcie była na piwie. Zadowolony kierowca oblizywał wargi, wędrując do pokoju, ciasnej klitki. Trzy puszki piwa na dogrywkę w pokoju trochę utrudniły mu otwarcie zamka w drzwiach, ale dał sobie radę, po czym rozciągnął się na łóżku, pstryknął pierwszym kapslem i zaczął sączyć piwo. Jeszcze włączył telewizor i zaczęło mu się robić dobrze...

Ledwie zdołał wyłączyć telewizor, nim zapadł w pierwszy, płytki sen...

W nocy obudziło go okropne parcie na pęcherz. Śniło mu się akurat, że ktoś patrzy na niego, i planuje, z czego zrobić stek, a które części nadadzą się jedynie na gulasz... Otrząsnął się, z trudem zwałókł z łóżka i nie zapalając światła, ruszył w stronę łazienki.

Nagle poczuł na karku coś ostrego, równocześnie na ramiona spadł mu ogromny ciężar, przyciskając do ziemi i zatrzymując w miejscu.

– Ani kroku! – usłyszał syk. – Nie odwracaj się!

Napastnik zdecydowanym szarpnięciem skierował go do wnętrza pokoju i popchnął w stronę stolika i krzesła. Tam przy krześle ustawionym na wprost czekał drugi prześladowca. Fabisiak, któremu krew szumiała w skroniach, jakby chcąc wypłynąć na zewnątrz, opadł na krzesło, a napastnicy natychmiast go skrepowali. Podczas tej operacji mógł im się przyjrzeć.

Było ich dwóch, starszy mężczyzna i towarzyszący mu młodzik, jeszcze prawie chłopak. Obaj ciemno ubrani, bez cech charakterystycznych.

Spanikowany, wciąż nasycony piwem umysł Fabisiaka z trudem rozróżniał słowa. Same problemy: pęcherz cisnął, włoski na rękach podniosły się z przerażenia.

– Podwoziłeś trzy dni temu zabranych w Wiśle dwóch mężczyzn – oznajmił kategorycznym tonem ten starszy. – Dokąd?

Podwoził? Kierowca z trudem przypominał sobie ostatni dzień, a cóż dopiero sięgnąć pamięcią kilka dni wstecz. Ciągłe kogoś zabierał, za kółkiem nudno przecież. Wyróżniała się ta laska z przedwczoraj, póki się nie okazało, że wcale nie szuka podwózki, tylko łatwego zarobku. Ruda diaboliczna, prawda, że piekielnie ładna, ale płacić za seks? Fabisiak pod tym względem był konserwatywny i wywalił dziewczynę w lesie na postoju, ze słowami: „Znajdziesz kogoś innego”.

Przesłuchujący mętne rozmyślanie Fabisiaka (któremu wciąż ruda mieszała w głowie) wziął za opór. Nie patyczkował się, uderzył na odlew. Nie za mocno, nie miał zamiaru oderwać głowy kierowcy.

Uderzył, żeby otrzeźwić, uświadomić, że żarty się skończyły, a on tu jest w pracy.

– Nic nie pamięć...

Nagle kierowca przed sobą zobaczył... To z pewnością nie były szczęki rekina, ale człowieka także nie. Człowiek po prostu nie ma tyłu kłów. I to wystających dobry centymetr ponad inne zęby.

– Gadaj, bo cię wyszę jak flaszkę – wycedził wściekły prześladowca, o dziwo, wcale przy tym nie sepleniąc...

Kiedy rankiem Fabisiak z trudem rozkleił powieki, słońce uderzyło go na odlew. Kotary były rozsunięte, jakby w nocy lunatykował, chciał popatrzeć na księżyc albo wpuścić jakąś dziewczynę przez okno...

Głowa bolała go tak, że dopiero po chwili przypomniał sobie, co się zdarzyło w nocy. Spocił się ze strachu...

Łuups! – kolejna igła bólu w samym środku głowy. O mało mu nie odpadła. Ze zdziwieniem wymieszanym z przerażeniem patrzył na stolik, na którym poniewierały się pogniecione puszki po piwie i niedopita butelka wódki. W dodatku jakiejś podłej berbeluchy, a przecież nawet i luksusowej nie pijał, nie czystą, na litość bogów! Whisky, to i owszem, koniaczek, a jakże, ale czysta, krajowa, budziła jego wstręt.

Z pewnością to ona, wódka, odpowiadała za koszmary, w których ktoś straszył Fabisiaka ugryzieniem... i nie tylko.

Potarł policzek, odkrywając ślad po zderzeniu z jakimś twardym obiektem (czyżby w nocy wyrznął o framugę drzwi łazienki?), i z namysłem popatrzył na butelkę. Nocny koszmar można się postarać wypchnąć z głowy, zapomnieć – nikt na tym nie straci. Ale co zrobić z kacem gigantem? Jak ruszy w trasę?

Trzeba wziąć szybki prysznic i coś zjeść, może przejdzie...

Ta myśl trochę go uspokoiła. Przynajmniej dopóki nie połączył niedawnej podwózki dwóch dziwnych gości z pytaniami w koszmarze, które ich dotyczyły.

– Ależ kac! – jęknął z niesmakiem. – Co też mnie podkusiło, żeby wmuszać w siebie wódkę? Nigdy więcej, nigdy!

Radecki nie potrafił zasnąć. W przypadku wampira, nawet w wieku postnowoczesności, to nic dziwnego, nie trzeba od razu znajdować się w ogniu kampanii wyborczej i zamiatanej pod dywan afery ze zdrajcą we własnych szeregach.

Przyglądał się śpiącej Mariannie. Rozkosznie wyglądała ze sterczącymi kłami. We śnie wampiry nie umieją kontrolować zębów, atawistyczne odruchy biorą górę, zupełnie jak poranna erekcja u ludzi. To dlatego kiedyś wszystkie wampiry w porze snu chowały się do trumien.

Marianna. Co on by zrobił bez niej? Chybaby zwariował. Może i miała duszę anarchistki, ale przecież wiedział, że to tylko takie igranie z nim, że nigdy nie zamieniłaby wygodnego życia na las, opuszczone ruiny i konieczność unikania ciosów widłami. Przynajmniej od chwili, gdy dorosła.

Nagle komórka rozświetliła się blaskiem. Ktoś chciał się dodzwonić. Zerknął na wyświetlacz. Hedo! Szybko wysunął się z łóżka, odebrał, szepnął do mikrofonu:

– Czeka! – I skoczył do gabinetu. – No?

– Ponimirski jest w okolicach Kłodzka. Może nawet w samej twierdzy – oznajmił z wyraźnie słyszalnym zadowoleniem Włodzimierz. – Mamy drania. Parę godzin i będzie nasz!

– Dobra, zbiorę ludzi i jedziemy tam. – Radecki spojrzął na zegarek: 5.45. Nie uśmiechało mu się nigdzie wyjeżdżać, ale musi pilnować Hedy. Po tym jak Ponimirski zabił jego córkę, arystokrata mógłby nie przeżyć pierwszego spotkania, a przecież najpierw Radecki musiał go przesłuchać. Wizja, że tropiciele mogą zrobić z arystokratą to samo, co ghule zrobiły ze swoim zdrajcą, skutecznie otrzeźwiła Radeckiego. – Ruszemy do siódmej, pewno trochę nam zejdzie, ale w południe powinniśmy być.

Spotkanie w domu Radeckiego z pewnością nie ucieszyło żadnego z wezwanych na nie uczestników. Wyrwani z łóżek z trudem przyjmowali do wiadomości, że Polska wzywa, a jeśli nawet nie Rzeczpospolita ludzi i nie ludzi, lecz jedynie wampirów, to niewiele zmieniało sytuację.

Radecki krótko wyjaśnił im, że Ponimirski prawdopodobnie zapadł się pod ziemię gdzieś w okolicach Kłodzka, bo tam wysadził ich kierowca odszukany przez rodzinę Hedów. Trzeba wsiadać do auta i pędzić tam co tchu. Bo tropiciele na pewno znajdą hrabiulka, a wtedy należy go jak najszybciej wybadać, zanim zamieni się w nieodwołanie martwe szczątki.

– Ale przecież mamy dziś być w Płocku nadawać szkole imię! – stwierdził zdeorientowany Biela. – Wyjazd w tamte strony mamy w planie – zerknął do kalendarza – za tydzień! Nie możemy tak zmieniać planów, przecież to kampania, kamery, dziennikarze...

Próbował ratować swoje poczucie, że to on jest tu spin dokiem i to on rządzi kampanią.

– Jak jutro hrabia zacznie gadać, to sobie tymi planami będziesz mógł tyłek podetrzeć! – wrzasnął Radecki. Zaraz umilkł, bo Marianna spała, nie chciał jej budzić. – Ktoś ma ochotę zostać nowym spin doktorem?

Popatrzył na nich wilkiem.

Stary spin doc niemal nie oddychał. Nikt jednak się nie wychylił. To było stanowisko wysokiego ryzyka, przynajmniej dopóki trwała kampania o nieprzewidywalnych wynikach.

– Dobra, zostajesz na stanowisku i robisz korektę planów. Pozostali: macie godzinę na powrót do domu, zebranie się do kupy. Za godzinę widzimy się na rogatkach, dam wam znać gdzie – zapowiedział Radecki. Popatrzył na nich złowieszczo. – Jeśli kogoś braknie, może sobie szykować miękkie lądowanie u gulaszy.

Nikt się nie roześmiał.

Driller z rana jak zwykle był mało przytomny, ale dwie tabletki pobudzacza i mógł stawić czoło tłumom, które za nic nie chciały głosować na jego partię. Które dały sobie wmówić, że najpierw obywatel, a potem państwo, chociaż partia, realizująca ten program, najpierw jednak stawiała na swoich obywateli, potem na państwo, a na obywateli niebędących członkami partii nie stawiała w ogóle, by nie rzec, że całkiem o nich zapomniała. Driller próbował im to uświadomić w obecności dziennikarzy i tłumu ludzi na kaliskim

rynku, bombardując ich na przemian wzniosłymi hasłami o społecznej solidarności i żartobliwymi bon motami mającymi rozładować atmosferę. Potem zacznie ścisnąć ich ręce, hipnotyzując wzrokiem i starając się wstrzyknąć do umysłów nakaz głosowania na Unię.

Nagle zawibrował leżący przed nim telefon. Wciąż wygłaszając słodkie jak lep frazesy, Driller kątem oka rzucił na wyświetlacz... i stęzał, omal nie gubiąc wątku.

Są numery, które nie istnieją w normalnej sieci. Można z nich odebrać jedną rozmowę albo wiadomość i albo ją przyjąć do wiadomości, uwierzyć, albo machnąć ręką i uznać, że ktoś robi sobie żarty. Ten numer służył do przekazania wiadomości, połączenie miało jedynie uprzedzający charakter.

Driller przez sekundę się zastanawiał. Zrobił pauzę, upił łyk wody.

– Zastąp mnie na chwilę – szepnął do swego zastępcy, młodego Arciszewskiego, a sam wycofał się w zaciszne miejsce.

I wtedy przyszedł ten właściwy SMS. Driller spojrzął, zaklął w duchu i intensywnie zaczął się zastanawiać – jednak wcale nie nad wiarygodnością swojego informatora. Co z tego, że posłał kilku ludzi w inne miejsce, do tej przeklętej Wisły?

– Wałęcki? Zbieraj zaufanych, jedziecie... powiem ci, jak ruszycie. Jedź na Wałbrzych, potem się dzwoniemy. Nie, no, jasne, może być jutro, nawet pojutrze... Kurwa, *natychmiast!* – Potem przywołał swojego kierowcę. – Janek, zatankuj do pełna, kup coś do jedzenia, ale tak na cito, masz maks dwadzieścia minut. – Widząc pytające spojrzenie swego kierowcy, wyjaśnił: – Jedziemy pod Wałbrzych. Może w las, więc lepiej mieć prowiant przynajmniej na parę godzin.

Kiedy wrócił na trybunę, tłumy powitały go wiwatami, nie wiedząc, że za ich plecami knuł przeciwko nim. Uśmiechał się, wrócił do płomienistej przemowy o niesprawiedliwości społecznej, wykluczeniu i prawach wszystkich ludzi i tylko bokiem przemykała myśl, że chętnie dla niektórych zwyroli w rodzaju Radeckiego i Ponimirskiego zaprowadziłby bezprawie.

Korzyński z wściekłością kroczył leśną ścieżką, rozglądając się na boki. Gniew parował z niego jak ulatniający się gaz z nieszczelnej instalacji, ostrzegając zapewne wszystkie stworzenia w promieniu kilometra. Cóż to za porąbany pomysł, żeby najważniejsi działacze, już za chwilę posłowie, wybrali się do okolicznych lasów niby to zbierać grzyby, a naprawdę szukać, też tylko podobno, zdrajcy w szeregach konkurentów, hrabiego Ponimirskiego? Na wypadek gdyby go nie znał, Korzyński dostał zdjęcie i instrukcję, że kiedy go spotka, powinien zaproponować, co mu tylko przyjdzie do głowy, z tronem papieskim włącznie, byleby hrabia zgodził się udać do lokalnej siedziby Unii Społecznej i tam, pijąc kawkę, poczekać na przyjazd szefostwa z Warszawy.

Trzeba być jakimś totalnym kretynem, żeby uwierzyć w bzdurę, iż akurat dziś hrabia będzie w okolicach Wałbrzycha zbierał grzyby!

W odległości kilkuset metrów, zapewne kipiąc takim samym entuzjazmem, podążała dwójka na liście wyborczej, Anna Sawczuk, zgrabna, eteryczna blondyneczka, o której koledzy powiadali, że niejednego ma już na swojej prywatnej liście, hm, kontaktów. Gdyby nie wyraźne instrukcje wsparte ostrzeżeniem o możliwych sankcjach, Korzyński może nawet uznałby tę wycieczkę za interesującą, bo żona została w domu, a on sam pomimo pięćdziesiątki na karku niejedno jeszcze potrafił... i żadnych kontaktów się nie lękał.

Nagle w wykrocie niedaleko niego, pod krzakiem leszczyny, coś zaszeleściło. Odwrócił się gwałtownie i zobaczył niskiego mężczyznę w płaszczu, który wylażł spod krzaka z triumfalnie trzymaną w dłoni zdobyczą, dorodnym kozakiem.

– Co, na grzybki? – Spojrzał na kobiałkę Korzyńskiego.

Ten skinął głową i zrobił krok w swoją stronę. Skoro to tylko zbieracz grzybów, trzeba wracać do obowiązków. Driller o sankcjach pisał serio, Korzyński znał swojego szefa.

– A tam dalej to pewno małżonka za kozakami chodzi? – Grzybiarz wskazał dłonią na południe, gdzie Ponimirskiego powinna wypatrywać Anka Sawczuk.

„Ciekawe, skąd on wie?”, zdziwił się Korzyński. Na wszelki wypadek postanowił się nie przyznawać, jeszcze grzybiarz poda go do jakiegoś „Faktu”, a ten stworzy historię o romantycznej randce w lesie dwojga kandydatów?

– Nic nie wiem, sam tu jestem. I grzyby mnie nie słuchają – dodał wykrętnie, żeby uciąć pytanie o pustą kobiałkę.

Mężczyzna wydał mu się wścibski. Pewno chodzi taki i tylko ludzi zaczepia, na ulicy też.

– A ja pana skądś znam. – Nieoczekiwanie na twarz grzybiarza wypłynął grymas zdziwienia. – Pan poseł?

Korzyński uśmiechnął się i rozłożył ręce.

– Miło mi, że pan poznaje. Tak, były i może obecny, o ile uda mi się wygrać wybory.

– Ale kampanii to pan tu chyba nie prowadzi? To znaczy w lesie?

– Grzybiarz się zaśmiał. Jego śmiech brzmiał jak nieco nerwowe kasznięcie albo ciche wystrzały z karabinu.

Poseł wzruszył ramionami.

– Partia wys... – zaczął się skarżyć odruchowo. – Partia wysłała nas na trudne odcinki, to czasem trzeba się zrelaksować – poprawił się w porę.

– A to ja dla pana posła mam niespodziankę. – Grzybiarz zrobił dwa kroki w jego kierunku. – Proszę sobie wybrać grzybki z mojego koszyka, pod ten relaks. – Wyciągnął koszyk w stronę Korzyńskiego.

Ten zastanawiał się przez ułamek sekundy, w końcu chciwość zwyciężyła. Wyglądając hrabiego, nie miał czasu zaglądać pod krzaki, a grzyby tego faceta pachniały igliwem i przyszłą zupą... Nachylił się, wyciągając rękę...

Cios w potylicę pozbawił go przytomności.

Tak, tak, nie warto się łaścić na cudze grzyby... A relaks pod krzakiem też niezbyt udany, kiedy człowieka obleżą mrówki i inne żyjątka.

Tego dnia turyści zwiedzający jedną z największych atrakcji regionu, wąskie i ciasne korytarze pod twierdzą w Kłodzku, doświadczyli zupełnie nieoczekiwanych wrażeń. Jak twierdzili,

zaczęły tam grasować duchy, wymijające ich, dotykające, a nawet wbijające w ścianę. Dowód na to w postaci kilku siniaków i wyraźnie stłuczonego kręgosłupa (obdukcja potwierdziła kontuzję, choć rentgen wykluczył poważniejsze skutki) z dumą pokazywał jeden z turystów, młody, lekko cyniczny młodzian.

Właściwie tylko wycieczka szkolna z Białegostoku nie uległa panice. Kiedy wycieczkowicze zobaczyli duchy, natychmiast zaczęli na nie polować. Skończyło się to co prawda krótkotrwałym zaginięciem jednego z uczniów, gwałtownymi poszukiwaniami przez wszystkich zamkowych przewodników i stanem przedzawałowym dyrektora obiektu, ale historia tej potyczki wkrótce stała się znana całej Polsce i zagranicy, uczniowie bowiem, jak to uczniowie, po wyjściu z podziemi i złapaniu zasięgu natychmiast zaczęli zasypywać spamem Facebooka, Twittera, Aska i wszystkie pomniejsze fora i portale społecznościowe relacjami prawdziwymi i wyssanymi z palucha obtartego o zamkowy mur. A że takie wieści roznoszą się jak pożar w australijskim buszu, tego dnia Kłodzko trafiło na jedynki tak opiniotwórczych portali jak Onet, TVP czy Fronda.pl.

Nuda, nie?

Marianna oblizwała łyżeczkę z resztki lodów. Makowe, takie lubiła najbardziej. Może to dziwne, bo we wszelkich statystykach prowadziły waniliowe czy czekoladowe, być może goniły je truskawkowe, jednak Marianna miała to gdzieś, poza makowymi i sorbetami z porzeczek nie uznawała żadnych innych. Właśnie dlatego wybrały Grycana w jednej z warszawskich galerii. Było leniwe popołudnie, czas na odpoczynek po pracy.

Hanka wciąż grzebała w pucharku, próbując wydobyć okruchy orzechów. Wreszcie skinęła głową. Cofnęła się z krzesłem, przepuszczając kelnerkę w ciemnym uniformie, balansującą z tacą zastawioną naczyniami. Rodzinka siedząca w głębi nie poprzestawała na lodach, od razu zamówiła kawę, ciastka i wyciskany sok. Widać mieli co świętować.

– Jacek niby jest, a jakby go nie było. – Hanka westchnęła, odsuwając od siebie naczynie. – Niech się już ta przeklęta kampania skończy, bo nie wytrzymam i coś mu zrobię.

– Ugryź go. – Marianna się zaśmiała.

W gruncie rzeczy wcale nie było jej do śmiechu, bo przyjaciółka celnie zdefiniowała problem obu żon polityków: chłopcy bawili się w wojnę, a dziewczynki gotowały im jedzenie. Cóż z tego, że Marianna miała swoją pracę, a Hanka sporo czasu na pracochłonne hobby, czyli kawałek „żyjącej” pustyni w szklarni, kiedy poza tym w domu zwykle czekały na nie milczące ściany, chyba że przypadkowo włączył się telewizor?

– Za późno – odparła Hanka. – Sprawdziłam, nie pomogło.

Marianna powiodła powłóczyстым spojrzeniem za roslým blondynem w skórze, który wyszedł ze sklepu RTV i mijał ich stolik, zmierzając do salonu komputerowego.

– Tylko tacy mi zostaną, jak mój zgodzi się na premierowanie – prychnęła z irytacją.

Przyjaciółka podążyła za jej wzrokiem.

– A zamierza? Rozumiem, że odsunie Długoszewskiego?

– To mu się zmienia w zależności od sytuacji i poziomu stresu. Raz zamierza porzucić politykę i zabrać się wreszcie do zrobienia maleństwa, innym razem myśli o podbiciu świata. – Marianna uśmiechnęła się krzywo, wciąż odprowadzając spojrzeniem mężczyznę. Nie wampir, ale do gimnastyki sportowej, a może nawet i artystycznej by się nadawał. – Chciałabym mieć chłopca częściej w chałupie i w łóżku... ale uwierzę, jak zobaczę.

– No, ja na łóżko nie narzekam – zaśmiała się cicho Hanka – ale masz rację, polityka wysysa z nich wszystkie siły. Jacek za premiera oddałby wszystko, przynajmniej lewą stopę.

– Mój też już oddaje wszystko, tylko honorowym dawcą krwi jeszcze nie został – skomentowała z ciężkim westchnieniem Marianna. – Chcesz kawę? Bo ja muszę się postawić na nogi...

Hrabia, chociaż w ostatnich kilku dniach wydawał się ożywiony ucieczką, nagle jakby oklapł. Zrobił się niespokojny. Sekretarz bał

się odezwać, sam zresztą czuł się źle w korzeniach tej przeklętej góry. Miał tylko nadzieję, że to nic trwałego.

Bardzo był ciekaw, nad czym hrabia pracuje w swoim gabinecie, bo – inaczej niż w podwarszawskiej siedzibie – nie dopuszczał go do swoich spraw. Raz czy dwa Vargas widział go w laboratorium, choć nie miał pojęcia, czy hrabia po cichu dokonuje jakichś eksperymentów, czy też może stara się z aury otaczającej te starocie wyciągnąć jakieś korzyści.

Sekretarz utwierdzał się w przekonaniu, że cała ta sekwencja zdarzeń, w której uczestniczył: od ujawnienia przez hrabiego planów *coming outu* w rozmowie z Naszą Ziemią, przez ucieczkę, aż po wylądowanie tutaj – była jedną wielką, być może śmiertelną pomyłką. I on poniesie jej konsekwencje, bo hrabia zapewne zdoła spaść na cztery łapy, nie darmo tak długo trzymał się życia i pozycji.

Sekretarz zaczął rozmyślać o alternatywie, choć rozboleła go od tego głowa, bo ciężko było wymyślić coś, co miało sens...

No i gdzie jest? – sucho spytał Radecki. Stał przy aucie i przyglądał się drzewom, jakby szukając ptaków, które śpiewały im nad głowami. Ale może raczej wypatrywał dronów mogących podsłuchiwać rozmowę. – Może kierowca wszystko zmyślił? Albo mu się przywidziało w pijackim widzie?

Włodzimierz Hedo stał niewzruszony, z kamienną twarzą słuchając Radeckiego. Nie przerywał mu. Nie po to spotkali się bez świadków parę kilometrów od kwatery, gdzie marszałek odpocznie, aby teraz zamykał mu usta.

– Gdzieś tu – odparł, kiedy prezes skończył artykułować swoje pretensje. – Fabisiak nie kłamał. A te trzy piwa, które wypił przed pójściem do łóżka, to zdążył wyspać, zanim go namierzyliśmy. Dopiero my go napoiiliśmy wódką z domieszką, żeby rano miał potwornego kaca i przekonanie, że spotkanie z nami i przesłuchanie sobie uroił.

– Czas leci. – Radecki podniósł z ziemi gałązkę i powąchał. To jedno warte było wyjazdu: parkowe drzewa pachniały inaczej. One też były... ucywilizowane. Znadto grzeczne. – Zamiast zajmować

się kampanią, miotamy się w poszukiwaniu hrabiego. To miał być pewniak, Hedo, pewniak, dlatego tu przyjechaliśmy, żeby z nim porozmawiać, przekonać, w ostateczności uciszyć. A ty mi mówisz, że jedynym efektem jest na razie skontuzjowanie konkurencji z jakiejś nieliczącej się ludzkiej partyjki... – Radecki popatrzył ze smutkiem na swego tropiciela. – Nie zrozum mnie źle, ale jak do jutra nic się nie zmieni, będę musiał wracać.

– Znajdzie się.

Hedo ruszył w stronę swojego auta. Radecki patrzył za nim, myśląc, że chyba sam Ponimirski nie mógł przewidzieć, jak celnie trafi starego Włodzimierza...

Podczas gdy partyjne szczyty zebrały się wokół Kotliny Kłodzkiej lub w Wałbrzychu, a partyjne doły pracowały w pocie czoła na sukcesy swoich kandydatów, Bródno przeżywało niespodziewaną i niewyjaśnioną z biologicznego punktu widzenia inwazję mrówek.

W mediach specjaliści dowodzili, że to wynik drażenia metra, nie wyjaśniając, dlaczego i jaki miałyby to mieć wpływ na kolonie mrówek. Cóż, telewizyjni specjaliści powinni mieć miły dla ucha tembr głosu, dobrze wyglądać, choć tu zawsze pomoże charakteryzacja – i przede wszystkim figurować w kapownikach ludzi od współpracy ze specjalistami. Aha, i nie zapomnijmy: powinni być tani. Drogi specjalista to jakaś aberracja, zdaniem tych ludzi z notesami.

Lud warszawski uważał natomiast, co dało się usłyszeć i wyczytać w niejednym komentarzu, że to żadne kłopoty z metrem czy sto piątą kampanią remontową PKP, tylko po prostu warszawskie mrówki ze Śródmieścia są mądrzejsze od szczurów i zwiewają na prowincję, zanim rozpęta się piekło, jatka i zaczną wybierać z mrowiska ciemną senną nocą.

Wydarzenia z nieudanym podpaleniem mostu bardzo wpłynęły na statecznego przecież Jankisa. Co prawda po krótkim śledztwie aresztowano mocodawcę podpalacza, jednak wampir nie wierzył, że to prawdziwy zleceniodawca. Udało mu się obejrzeć tamtego,

wywąchać powietrze – nie, nie, nie: tego, który skończył w rzece, nie było czuć aresztantem. Jankis wiedział swoje...

Nawet kiedy miał wolne, większość czasu spędzał na pieszych i rowerowych wycieczkach wokół warszawskich mostów z remontowanym Łazienkowskim włącznie. W domu nie płakały dzieci, nie czekała żona z obiadem, mógł więc potraktować te patrole jako rekreację, co też czynił z silnym przekonaniem, że dzięki temu nie jest tylko szeregowym wampirem, lecz kimś, dzięki komu bezpieczeństwo warszawskich mostów jest większe...

Aż wreszcie któreś nocy wybuchł pożar! Nie, nie naprawdę, lecz w głowie śpiącego Jankisa. Tkwił w obłokach gorącej pary, jęzory ognia lizały przestrzeń wokół niego, znikąd pomocy, samemu też nie ugasi tego pożaru... Nie widział nic, wampirzy wzrok nie pomagał, stopami tkwił na jakiejś konstrukcji, w dole płonęła rzeka, jakby koryto wypełniły setki ton benzyny czy ropy. Machał rękoma, krzyczał, ale z emocji tylko poślinił sobie poduszkę.

Obudził się z silnym przekonaniem, że to proroczy sen i wkrótce któryś most znów stanie się celem ataku. Tym razem, jeśli wierzyć w sny, skutecznego!

Na patrolu był tak niespokojny, że Tchórzewski, ten sam, z którym unieszkodliwili pierwszego podpalacza, w końcu to zauważył i spytał, o co chodzi. Bo on już nie może wytrzymać, czując te feromony strachu, którymi Jankis sieje wokół jak myszka podana na śniadanie wężowi w terrarium.

Nieco zażenowany, ale równocześnie podkreślony, że może podzielić się swoimi obawami, opowiedział wszystko towarzyszowi.

– Za bardzo wczułeś się w rolę – skomentował ironicznie jego rewelacje Tchórzewski. – Tylko byś bronił mostów własną pierśią, a takie nudy na pudy jak leniwy spacer i rzucanie okiem to ci spowszedniały, przejadły się jak lody każdego dnia...

Rozczarowany Jankis wzruszył ramionami. Trudno, pozostaje mieć oczy dookoła głowy, a uszy jak radary.

Przeglądając gazetę, Radecki trafił na coś, co go zainteresowało: Grabble GmbH, firma przetwórstwa krwi i preparatów

krwiopochodnych z dużym akcjonariuszem z Niemiec, wycofuje się z warszawskiej giełdy. Akcje lecą w dół, panika.

– Czy ty coś o tym wiesz? – Zerknął na Szumilasa, który akurat zaparzał im kawę.

Sekretarz wzruszył ramionami.

– Bo to pierwsza firma, która rozczarowała się naszą giełdą? Toż tu niedźwiedzie grasują, notowania sięgają kolejnych den, jak Wisła w czasie suszy stulecia...

– A nie uważasz, że to ma związek z Ponimirskim? – myślał głośno Radecki. – Że się dowiedzieli o jego planach i po cichu zwijają interes?

– Prezesie, ja widziałem tę informację. – Szumilas oblizał łyżeczkę. Niewielu wiedziało, skąd ten nawyk, którego nie potrafił się pozbyć. – Sądzę, że raczej się wściekli, patrząc na sondáže. Nie będzie zmian, bo znów wygramy my z gulaszami. A szpitale nie płacą, NFZ to w ogóle jakaś twierdza w twierdzy, trzeba wreszcie nakłonić zombi, żeby zrobili tam porządek. Może więc to ma jakieś drugie dno, ale moim zdaniem to po prostu dno rzeki. Utopiona inwestycja, wycofują się, minimalizując straty.

Radecki poskubał się po rzadkiej brodzie. Może i Szumilas nie był taki głupi, na jakiego czasem wyglądał.

– A tak w ogóle, to mam pomysł – ciągnął Szumilas. – Skoro już tu jesteśmy, może by wesprzeć Jasińskiego na którymś ze spotkań wyborczych, zrobić ładną medialnie akcję?

Jasiński nie należał do zaufanego kręgu przyjaciół i współpracowników Radeckiego, nie był też przesadnie lotny, jednak wyróżniał się lojalnością. Starał się o mandat z zawsze trudnego terenu Wrocławia. Można w zasadzie połączyć politykę ze sprawdzeniem, czy ten przeklętnik Ponimirski nie ukrywa się w mieście.

– Działaj – zezwolił łaskawie marszałek.

Niespodziewanie hrabiemu wrócił dobry humor. Przywołał Wargasa i ku jego zdumieniu po posiłku zaczął mu dyktować coś, co nazwał pierwszym rozdziałem *Wspomnień młodego wampira*.

Wyjaśniał w nim, że był młodym pastuszkiem, który poszedł za piękną gęsiarką, a ta, zamiast nauczyć go miłości, nauczyła go łaknienia krwi. Skończyła się właśnie wielka wojna światowa, wampiry miały się dobrze, odkrycia Ottona von Gerlau były dopiero przed nimi, Elżunia mogła więc nauczyć młodego mężczyznę wszystkiego, co o ich nacji wiedziała. A także dużo o obyczajach ludzi, bo była wesoła, namiętna, skora do zabawy i odrobiny szaleństwa...

Ponimirski zamyślił się, jakby przywołując obrazy tamtych wydarzeń.

– Naprawdę tak było? – spytał Vargas, przytrzymując pióro. Z jakichś sobie tylko wiadomych powodów hrabia wolał, aby słowa notowane były na papierze. – Miała na imię Elżunia?

Hrabia pokiwał głową. Jego wzrok chyba sięgnął przeszłości, bo rozmarzył się jak na widok pierwszej butelki z krwią.

– A potem postanowiliśmy rozgryźć baronową Ponimirską primo voto Długopolską, bezdzietną świeżą wdowę po mężu, który chciał ulżyć wojsku, konstruuując sześciopłatowiec zdolny udźwignąć dwie tony bomb... Kiedy nas adoptowała, od razu wszystko się zmieniło – westchnął. – Piękną stanowiliśmy parę, póki Elka nie zakochała się w jednym z pruskich baronów...

Wiec wypadł znośnie, choć bez fajerwerków, bo wrocławianie byli już zmęczeni kampanią, a kandydatów mieli po kokardkę.

Śladu po Ponimirskim nie odkryli, co też nic nie oznaczało, poza jednym: mógł być tu, mógł być tam albo gdziekolwiek i póki go nie złapią, nie będą wiedzieć, gdzie jest naprawdę.

Późnym wieczorem biesiadowali w restauracji wystylizowanej na starą chatę.

Radecki, skoro już dotarł w te strony, postanowił upiec jeszcze jedną pieczeń. Mógł to załatwić przez premiera, ale ten był ciamajdą, więc skoro już miał Jasińskiego na widelcu, postanowił nie czekać ani nie wyręczać się Długoszewskim.

– Potrzebujemy więcej kasy. – Spojrzał na ministra. – I to najlepiej na już, żeby zaraz po wyborach udowodnić, że nie po to

wygraliśmy, aby się nachapać kosztem wyborców, tylko przeciwnie, zrealizujemy część obietnic z kampanii...

– Ale u mnie widać dno! – zaniepokoił się Jasiński. – Jakiś kredyt w MFW trzeba będzie wziąć? Będziemy rolować?

– Nie, nie, spokojnie, mam inny pomysł – uspokoił go Radecki. – Uderzymy w biznes, przykręcimy mu śrubę. Zwykły wyborca i tak go nie lubi, a przychylne nam media przeprowadzą małą akcję PR-ową, aby to jeszcze wzmocnić. Wydasz dyspozycję skarbowkom, że każda kontrola ma się kończyć karą. Każda, z wyjątkiem oczywiście niektórych firm prowadzonych przez wampiry – ale też nie wszystkich, zaznaczam, żeby nie można było powiedzieć, że wampiry są nietykalne. Więc kary. Niewysokie, takie, żeby nie opłacało się biznesmenom chodzić do sądu. A jeśli pójdą, to wygrają za rok czy dwa. A pieniądze będziemy mieć już.

– No zgoda, ale to spowoduje ruchawkę – zaproponował z poważną miną minister Jasiński, nerwowo splatając i rozplatając palce. – Firmy zaczną padać, bezrobocie skoczy... To się może skończyć nawet przyspieszonymi wyborami... – zatroskał się tą wizją.

– No co ty, Jasiński, życia nie znasz? Będą narzekać, że państwo opresyjne, ale na miejsce tych, co upadną, powstaną nowe firmy. Życie nie znosi próżni, a majątek kusi... A my będziemy sprytni i zastosujemy strategię wymiany zderzaka...

– Ale... – zaniepokoił się Jasiński. – To ja jestem ministrem finansów, na mnie spadnie odpowiedzialność...

Radecki nie skomentował oczywistego odkrycia ministra, pozwolił mu przez trzy sekundy się z tym oswajać.

– Dlatego teraz, jeszcze przed wyborami, wydasz dyspozycje, które wejdą w życie już po wyborach, z nowym ministrem. Ludzie na niego będą pyszczyć, my w tym trochę pomożemy, a potem, gest dobrej władzy, wypieprzymy go ze stanowiska przy okazji pierwszego przeglądu kadr przez premiera... czyli być może przeze mnie, bo mam dosyć Długoszewskiego, nie sprawdza się jako figurant – dokończył.

– A to jakiś wampir się zgodzi? – mruknął nieco uspokojony Jasiński. – Bardzo kogoś nie lubisz...

– Ghula albo nawet zombiaka. – Radecki spojrzał mu prosto w oczy. – Przeczekasz to, zrobimy ci dobry PR. A potem wrócisz, żeby posprzątać po złym ministrze. Chyba że nie będziesz chcieć. Złe rozwiązanie? – spytał, sięgając po kieliszek.

Minister w milczeniu sięgnął po swój, stuknęli się i wypili pod tę lepszą przyszłość.

Atmosfera robiła się coraz bardziej nerwowa. Mieszkańcy Kłodzka intuicyjnie wyczuwali, że coś się dzieje pod powierzchnią, czuli to, widzieli, komentowali. Miasto zrobiło się niespokojne, ludzie zaczęli mieć złe sny, zupełnie jak dziecko, które nie rozumie powodów, ale wyczuwa zły humor rodzica.

W lasach wokół Kłodzka zrobiło się jeszcze bardziej nerwowo. Dochodziło wciąż do spięć.

Jeden z ludzi Hedy, niski wampir o ksywce Dakota, i to wcale nie od miłości do Dakoty Johnson, tylko od uwielbienia tego indiańskiego plemienia, niemal doprowadził do wojny między przeczesującymi teren wampirami i ghulami, które pojawiły się tu nie wiadomo jakim cudem, zapewne ciągnąc za ludźmi Radeckiego. Chodził samotnie, mruczał pod nosem, że raz się jest nad wozem, raz pod wozem, a bywa, że i nawozem, kiedy niespodziewanie na drodze wyrosło dwóch ghuli.

– Uważaj, bo się w lesie zgubisz – warknął lekceważąco większy z nich.

Jak przystało na prawie Indianina, Dakota wyprostował się i – jednak nie jak porządny Indianin – ostrzegawczo odsłonił kły.

– Co, masz za dużo? Uważaj, bo ci je wybije – prychnął z pogardą ghul, preżąc mięśnie. Miał co pokazać, był znacznie roślejszy niż Dakota. – Zejdź mi z drogi, pijaku...

– A żebyś się przypalił, gulaszu!

Wampir zaciskał dłonie, w których pazury wbijały mu się w skórę.

Pamiętał jednak kategorię słów Włodzimierza: żadnych bójek, więc wszedł w las, pokazując ghulom tylną część ciała.

Hrabia Ponimirski być może wciąż czuł się bezpiecznie, ale sieć się zagęszczała, wszystkie stworzenia ludzkie i nieludzkie robiły wszystko, aby zwyciężyć, zająć w tym wyścigu pierwsze miejsce. Bo jak w procesie ewolucji, ci, którzy nie są wygranymi, zazwyczaj stają się przegranymi. Czyli mięsem do zjedzenia.

Rozdział 6

Hrabia znów wydawał się sekretarzowi mocno zaniepokojony. Wczoraj wieczorem ledwie coś bąkał w odpowiedzi na próbę rozmowy przy kolacji. Co więcej, nie wyszedł na śniadanie, choć wcześniej traktował to jako rytuał!

„Może jest chory? – zaniepokoił się Vargas. – Albo wpadł w depresję?”.

Patrząc na Ponimirskiego, zastanawiał się, czy nie ujawniła się w osobowości hrabiego choroba dwubiegunowa, bieg z jednej strony emocjonalnego pasma na drugą. Z pewnością za decyzją o *coming outie* nie stały przecież zdrowe, solidne argumenty, to był krok podjęty w przypływie jakiegoś emocjonalnego szaleństwa!

Przez całe przedpołudnie sekretarz bił się z myślami, co powinien zrobić. Był uwięziony we wnętrzu tego bunkra, nie miał pojęcia o jego obsłudze. Musiał znaleźć swego chlebodawcę! Wizja, którą miał, wchodząc do bunkra – ów rozsypujący się szkielet – nabierała coraz bardziej realnych kształtów!

Po kolei obchodził wszystkie pomieszczenia, docierając także do tych, które dotąd omijał, żeby ustrzec się niezadowolonego spojrzenia hrabiego Ponimirskiego. Wreszcie na końcu długiego korytarza zapukał do drzwi oznaczonych tabliczką „Ant.”.

Ze środka dobiegł stłumiony i przerywany przez popiskiwanie jakiegoś sygnalizatora głos hrabiego:

– Co?

– Wszystko w porządku, panie hrabio?

Sygnalizator ucichł, dla odmiany zapiszczały jakieś kółka („Może hrabia nabawił się kontuzji, którą ukrywa?”, przemknęła Vargasowi podejrzliwa myśl) i nagle drzwi otworzyły się na szerokość dwóch palców. Zobaczył w nich hrabiego. Stał odziany w szlafrok, jakby nocował w pomieszczeniu. Włos miał zwichrzony, oczy podkrążone, spojrzenie mętne i ponure.

– Wszystko w porządku. Porozmawiamy po południu. Obiad o szesnastej. Wybacz, jestem zajęty.

Trzask drzwi zakończył rozmowę. Ze środka znów zaczął dobiegać ów przenikliwy pisk, tym razem w dosyć chaotycznych odstępach, wreszcie rozległ się potężny huk, zła aura wypełniła nie tylko pomieszczenie, ale przedarła się jakimś cudem na korytarz, stawiając Vargasowi włosy dęba. Czym prędzej oddalił się, a właściwie uciekł do swojego pokoju, szukając ukojenia w lekturze geologicznej historii Sudetów.

Zgodnie z obietnicą hrabia pojawił się w kuchni o piętnastej trzydzieści i zaczął im przygotowywać jedzenie. Pod tym względem był prawdziwym artystą: kucharzenie sprawiało mu przyjemność i nawet stek potrafił tak przyrządzić, że w jednym kawałku mięsa można było doszukać się wielu smaków.

Jednak tym, co zrobił później, bardzo zdziwił i zaniepokoił sekretarza. Wyjął bowiem resztę mięsa z zamrażarki i zaczął smażyć steki jeden po drugim, zupełnie jakby chciał je przygotować na wielką ucztę.

Czyżby spodziewał się gości?

Ale przecież jedynymi gośćmi, wcale nie oczekiwanymi, chociaż z dużym prawdopodobieństwem mogącymi się tu pojawić, byli siepacze Hedy! Czyżby hrabia spodziewał się ich najścia? Wiedział coś, czym nie chciał się podzielić? Chciał osłabić ich mordercze zapędy dobrym mięsem?

Skóra ścierpła sekretarzowi ze strachu. Wpakował się w nieliczne kłopoty...

Deszcz działał na Drillera depresyjnie. Zmiana pogody nieodmiennie przyprawiała go o migrenę, a nadchodzący deszcz wywoływał falę złego humoru. Dlatego skoro już tu wpadł jak śliwka w kompot, postanowił trochę podszkolić dolnośląską komórkę. Zamiast zwyczajowej biesiady przy plebejskich kiełbaskach i piwie zafundował im darmowe szkolenie z realiów.

– Nie pracujecie na sondażu, nie umiecie odnaleźć Ponimirskiego, co by nam dało dobrą kartę negocjacyjną nawet przy słabym wyniku

– przemawiał z trochę tylko podkreślanym gniewem. Od czasu do czasu stukał zwiniętą pięścią w blat z surowych desek, bo spotkanie odbywało się w pubie stylizowanym na wiejski. – Patrzycie tylko, żeby warszawskie kierownictwo za was załatwiło wszystkie sprawy.

Fuknął przez nos. Igła bólu znów przeszła lewą skroń. Nie ma się co oszukiwać, migrena, czysta migrena... choroba władców.

– Ja potrafię załatwić wiele rzeczy – wycedził ze złością, patrząc na członków lokalnej organizacji. Wyglądali jak stado martwych kurczaków wieszonych do przetwórnicy, gdzie je obiorą z piór, oczyszczą z wnętrzości i nałożą zgrabne plastikowe ubranka na najlepsze tuszki. – Nie zginę. Ale wy? Kto po was będzie płakać? Myślicie, że pedeki albo ziemniaki tak ochoczo was przyjmą? Oni mają dosyć własnych, do zwycięzców ciśnie się szarańcza... – Nabrał tchu. – Jak nie będziecie zapierdalać na *nasz* sukces, to nie będzie żadnego, rozumiecie?

W zupełnym milczeniu dotknął palcem kufła piwa. Utworzyła się tam kropla wody i zaczęła spływać w dół, żłobiąc niewielką pionową rysę w oszronionej powierzchni. Mniej więcej to samo próbował zrobić Driller z lokalnymi działaczami – wyłobić w ich umysłach ścieżkę wiodącą do wyborczego sukcesu.

– No, pijmy, zanim wystygnie! – Niespodziewanie uniósł kufel. – *Prosit!*

Nie wyglądało na to, aby ktokolwiek zrozumiał jego ironię, a może i autoironię, bo przecież czuł się jak ten kapral, który opuścił wojsko, żeby w rezultacie wywołać większą wojnę...

W stolicy także padało. Zimny deszczyk opadł na miasto jak wielka chmura pszczoł żądających lodowymi igiełkami. Współ z wiatrem zrobił sobie igraszkę kosztem przechodniów i pasażerów czekających na przystankach.

Ziemek Hedo podniósł kołnierz kurtki, zaklął pod nosem i zrezygnowanym ruchem zsunął plecak z ramienia. W środku miał mały parasol. Wahał się, czy go rozkładać, porywiste uderzenia wiatru mogły go szybko zamienić w rzeźbę nowoczesną. Jednak autobus nie nadjeżdżał, a kolejny atak żądał zmusił go do reakcji.

Z trzaskiem otoczył się ochronną sferą, trzymając parasol nie za rączkę, tylko w połowie długości, ograniczając ewentualne szarpnięcia.

Nagle z podziemnego wyjścia wybiegła dziewczyna ociekająca wodą. Czujnym spojrzeniem powiodła w stronę, skąd miał nadjechać jej autobus, stanęła obok chłopca i prychnąwszy z niezadowolaniem, wyżeła włosy. Ziemek, nie zastanawiając się, przesunął parasol nad nią.

– Dzięki, nie rozpuszczę się, ale fajnie, bo szkoda włosów.

Uśmiechnęła się do niego. Przysunęła się jeszcze o krok, przyglądając się chłopakowi. Miała co podziwiać, Ziemek był dobrze zbudowany, wysoki, ciemna karnacja i kręcone włosy nadawały jego urodzie południowy rys, tylko niebieskie oczy po matce zakłócały czystość skojarzenia.

Ona także była ładna, choć nie w jego guście. Ziemek nie zamierzał łamać rodzinnej tradycji, w której wampir wiązał się z wampirem, mieli dzieci, które wampirami były od poczęcia, a nie od ugryzienia. Zresztą gryzienie przecież zostało zdelegalizowane... A gdzieś tam, w odległych planach, Ziemek planował założenie rodziny. Pora zacząć się rozglądać, ale na razie zbyt zajęty był swoimi pomysłami i wynalazkami. Na pewno jednak nie będzie szukać wśród ludzi. Wystarczy jedna Joanna...

Myśl o tym trochę skwasiała mu humor. Jednak dziewczyna nie dała mu czasu na wspominki.

– Wybierasz się na jakąś imprezę? – zagadnęła go.

– Nie potrzebuję imprez. – Odwzajemnił uśmiech. – Wystarczy mi życie, to wystarczający czad...

Tymczasem nadjechał jej autobus. Z zalem wsiadała do środka.

– Gdybyś się zastanowił... – Coś jeszcze chciała powiedzieć, jednak syk zamykanych pneumatycznych drzwi zagłuszył słowa.

Padło w całej Polsce, wszystkich traktując sprawiedliwie.

– Psiakrew! – zaklął Radecki, szczelniej nakrywając głowę kapturem. – Czy to musi tak być?

Hedo, który trochę wcześniej zadzwonił, że znaleźli kryjówkę i za chwilę będą ją otwierać, teraz wzruszył ramionami. Patrzył na niską skałę pokrytą mokrymi liśćmi, zastanawiając się, dlaczego drażnienie kryjówek w górach jest takie popularne. Przecież to mało praktyczne, o wiele łatwiej ukryć się w tłumie ludzi. A kiedy nie trzeba wydobywać z ofiary zeznań, unieszkodliwienie jej jest banalne, wystarczy trwale zniszczyć wszystkie wyloty.

– Siedziałbyś, panie Radecki, w aucie albo w hotelu gdzieś na przedmieściu, to nie mógłbyś jak szczur. Ale że chcesz uczestniczyć w wypędzaniu tego lisa z nory, toś sam sobie winien. I tak ci jeszcze powiem, że skoro paskudnie leje, a droga za nami zamieniła się w bajoro, to i szansa, że jakiś dziennikarzyna się przyplącze, jakby mniejsza, co łaskawie weź pod uwagę.

Pokręcił głową i krople odpadły od niej jak poderwany do lotu rój pszczoł. Podeszedł do swoich ludzi, którzy podczas rozmowy ich szefa z Radeckim zrobili, co trzeba. Przynajmniej ci. Zapewne wielu innych otoczyło teren, pilnując, aby nikt niepowołany nie wślizgnął się do środka ani też nikt z tego zaimprovizowanego saka nie uciekł. Korzystając z wcześniejszych doświadczeń, Radecki mógł być pewien, że i drogi w okolicy zostały na wszelki wypadek obstawione, bo przecież wylotów z bunkra mogło być więcej. Hedowie rzadko zdawali się na łut szczęścia, a pech dosięgał ich tylko wtedy, gdy trafiali na nieznanne – jak na tę pułapkę z luster w Galerii Katowickiej.

Wygodniej było siedzieć choćby w aucie niedaleko, jednak Radecki od wielu lat swój autorytet budował nie tylko, a nawet nie tyle piastowaniem jakichś tam stanowisk, ile bezwzględny działaniem i osobistą odwagą, które trudno było zlekceważyć. Wejście do bunkra, w którym siedział hrabia, mogło być zaminowane, mogli się dostać pod ostrzał ukrytej broni – jednak jeśli chciał mieć posłuch u swoich ludzi, Radecki czasem musiał stanąć na pierwszej linii frontu. Przynajmniej w takich sytuacjach. Dlatego zmienił decyzję i postanowił brać udział w poszukiwaniach Ponimirskiego nawet kosztem porażki czy niższych notowań w wyborach.

Ludzie Hedy dwoili się i troili, przypinali jakieś kable do skały. Nagle rozległ się syk i otworzył się wąski tunel. Radecki zrobił pierwszy krok, ale wtedy Hedo ciężką ręką osadził go w miejscu.

– Doceniam odwagę, panie Radecki, jednak to już moja działka. Trzeba sprawdzić, czy pan hrabia nie zastawił sideł albo nie rozsiał w powietrzu polonu.

I z dwójką swoich wampirów ostrożnie ruszył do środka, co krok badając tunel jakąś aparaturą.

Kiedy po dłuższej chwili pojawił się ponownie na powierzchni, minę miał ponurą.

– Ze starego lisa wywiało, to się pewno domyślasz, panie Radecki – zaczął. Odchrząknął i mówił dalej: – Sprawdziliśmy wszystko. Prędeż znów zmienił kryjówkę.

A więc hrabia znów ich przechytrył. Całe to moknięcie na deszczu – na nic. Gorzej, stracony czas na przyjazd, może poza rozmową z Jasińskim.

– Chciałbym wejść do środka. Można?

– Oczywiście. – Hedo zaprosił go szerokim gestem, zupełnie jakby namawiał do kolacji w swojej restauracji. – Wnętrze ciekawe, wydaje się bezpieczne. Nieźle tu sobie mieszkali, skurczybyki... – dodał z zazdrością.

Przebyli tunel, docierając do czegoś na kształt mieszkania. Radecki ze zdumieniem przyglądał się kryjówce, w której można się było chronić latami, zapewne jedynie raz na jakiś czas wychodząc, by uzupełnić zapasy lub... się najeść. Tylko po co? Czy hrabia dużo wcześniej zaplanował całą tę akcję, a kryjówka pod górą miała być takim przetrwalnikiem, gdy inni nieludzie będą uciekać, ścigani, tropieni i mordowani przez ludzi? Miał takie możliwości. Jeśli przyszykował sobie więcej takich schronów, nigdy go nie znajdą...

Później Hedo pokazał mu coś, co jeszcze bardziej zmroziło Radeckiego. Laboratorium.

– Eksperymentował tu? – powtórzył za tropicielem, schodząc z drogi jednemu z pracowników Włodzimierza, który za pomocą kamery robił dokumentację.

Hedo zrobił ręką ruch oznaczający „być może”.

– Dostrzegam pewne związki z czymś, co już widziałem, dlatego stwierdziłem, że niewykluczone, iż prowadził jakieś eksperymenty. Panie Radecki, dużo nam umknęło w sprawie hrabiego Ponimirskiego herbu Bezczelny Głupek, za dużo...

Podszedł do nich inny z ludzi Hedy, wręczył swemu szefowi jakąś książkę. Ten otworzył ją, zerknął i się uśmiechnął.

– Zostawił coś dla ciebie.

Podał ją Radeckiemu. Ten przyjął ją z wahaniem.

– Nie bój się, sprawdzona, czy nie ma trucizny albo granatu – zapewnił Włodzimierz. – Moje wampiry są profesjonalistami, zazwyczaj.

Marszałek wziął ją do ręki. Był to ciężki tom, oprawiony w skórę. Radecki otworzył go. *Ostatni rejs „Fevre Dream”*, brzmiał tytuł powieści jednego z najslawniejszych amerykańskich wampirów. Drżącą ręką, jakby w pośpiechu, jednak pismem doskonale znanym Radeckiemu, hrabia skreślił dedykację: „Abyś obudził w sobie bestię, Radecki. Inaczej przyszłość nam nie wybaczy”.

Ze wstrętem odrzucił książkę na podłogę.

– Niech ja go dorwę, naprawdę obudzi się we mnie bestia – warknął.

– To nas łączy. – Hedo pokiwał głową.

Siedzenie w korzeniach góry było nudne, ale bezpieczne, chyba że znaleźliby ich ludzie starego Hedy”, rozmyślał Vargas, poprawiając na ramieniu plecak. Hrabia jednak prawdopodobnie coś wyczuł albo dostał kolejne ostrzeżenie. Spakowali tyle standardowej żywności i wody w butelkach, ile dało się pomieścić w plecakach, hrabia dorzucił do tego steki, których tajemnica smażenia nagle się wyjaśniła. Zjedzą je w pierwszej kolejności.

Wciąż mieli nadzieję wywiniecia się prześladowcom. Hrabia wyprowadził ich w zupełnie innym miejscu, niż weszli, długim, zmuszającym do pokłonów korytarzykiem mającym kilka kilometrów. W pewnym momencie tunel ostro, pod kątem co najmniej trzydziestu stopni, opadał w dół. Sekretarz domyślił się, że mijają rzekę nad ich głowami. I rzeczywiście, tunel wychodził po

drugiej stronie Nysy, poza granicami miasteczka. Ktoś, kto to wszystko zaplanował, naprawdę miał głowę na karku, uwzględnił nawet, że tropiciele mogą ich szukać w Bardzie. Sekretarz wciąż jednak nie pojmował, jak hrabia mógł tak metodycznie zaplanować swoją kryjówkę, a z drugiej – ulegać fantazji, że wampiry wrócą do starych, niewygodnych obyczajów? Pomyślał, że nigdy nie zrozumie arystokratów, on, plebejusz, wykształcony prostaczek.

Hrabia najpierw uruchomił jakiś mechanizm, mówiąc:

– Tunel nie będzie już nam potrzebny, trzeba go zalać.

Potem poprowadził ich na północ. Wędrowali w ulewie, która jednak powoli słabła, gdy oddalali się od Barda. Hrabia, chociaż widać było po nim narastające zmęczenie, nie pozwolił na odpoczynek, póki nie oddalili się na dobrych piętnaście kilometrów i nie znaleźli małej polanki. Wtedy dopiero postawił plecak pod jednym z drzew, popatrzył na niebo, które się przejaśniało i zaproponował:

– Zjedzmy coś.

Stek na zimno okazał się zaskakująco smacznym doświadczeniem. Niestety, zaraz potem hrabia zmierzył Wargasa wzrokiem, który ten bardzo dobrze znał. Zadanie. Polecenie. Rozkaz.

– Tam dalej, za tym wzniesieniem, jest miasteczko. – Hrabia wskazał właściwy kierunek. – To jakieś sześć kilometrów w obie strony, obrócisz w godzinę.

– Po co? – przerwał mu zdziwiony sekretarz.

Wydawało mu się, że wędrują we dwójkę, pomijając fakt, że taki wielki arystokrata potrzebuje przecież szpery, to jest Wargasa, jako tragarza...

– Pójdiesz, znajdziesz budkę telefoniczną i zadzwonisz.

– Budkę? – Wargas nie krył zdumienia. Ponimirski zachowywał się coraz bardziej zaskakująco. – Hrabio, budki na prowincji dawno już wycofali. Teraz wszędzie są komórki, nawet telefony stacjonarne zaczynają być rzadkością poza biurem...

– Budkę. Była tam jeszcze parę miesięcy temu, w dodatku nowa – uparł się Ponimirski, piorunując go spojrzeniem. – Taka normalna, żółta.

– A jak mnie tam ktoś capnie? Na przykład ludzie Hedy?

Hrabia nie wydawał się zbyt przejęty. No tak, w końcu nie on miał ryzykować głowę...

– Ryzyko zawodu, mój sekretarzu. I tak nie mamy wyjścia, przecież na nas polują. Pójdiesz, zadzwonisz i powiesz kilka słów.

Wargas spojrział na niego pytająco.

– „Idziemy do Wrocławia, spotkamy się w Ogrodzie Botanicznym”, powiesz. Kazesz powtórzyć...

A więc hrabia chce uprzedzić, dokąd zmierzają. Bardzo dobrze, może ktoś będzie na nich czekać albo nawet podjedzie? Wargas co prawda był w dobrej kondycji, hrabia również – teraz się wyjaśniło, dlaczego od miesiąca intensywnie ćwiczył w domowej siłowni – jednak ileż można tak wędrować pieszo z wypchanym plecakiem? Mamy dwudziesty pierwszy wiek, mogliby chociaż używać samochodu!

– O której? – spytał.

Hrabia chyba zapomniał podać godzinę. I dzień!

– Tyle wystarczy. – Ponimirski uśmiechnął się przebiegle. – Naprawdę.

Widząc minę sekretarza, który nie wydawał się przekonany, roześmiał się lekko.

– Nie bój się, nie pozbywam się ciebie, odsyłając do diabła. Trzeba zadzwonić. To szara eminencja... On nam pomoże tu albo w ostateczności po cichu przerzuci nas na Zachód.

– Ale po co?! – krzyknął Wargas, aż echo poszło po koronach.

Hrabia spojrział na niego sceptycznie. Cóż za mało bystry ten sekretarz...

– Chcesz stracić głowę? Bez obaw, ja się nigdzie nie wybieram, liczę, że uda się wszystko załatwić tu, na miejscu. – Uśmiechnął się, odsłaniając kły. – No idź, tylko podam ci numer...

Bez bagażu Wargas poruszał się całkiem szybko.

Poprawka: prawie biegł. I to wcale nie dlatego, że spieszyło mu się unieść słuchawkę i wykreć numer. Nie, w rzadkim kapuśniaczku truchtał w stronę miasteczka pełen najgorszych przeczuć. Hrabia wciąż go zaskakiwał, więc niezastanie go po

powrocie było tylko jedną z możliwości, za to najbardziej prawdopodobną. I chociaż Vargas próbował sobie tłumaczyć, że gdyby hrabia naprawdę chciał go opuścić, to miał wiele lepszych, bardziej dyskretnych sposobów – nie mówiąc o unieszkodliwieniu w bunkrze, gdzie nikt by tego nie widział – jednak nogi same przyspieszały, traktując trawę jak przeszkodę, którą nie tylko trzeba minąć, ale wręcz unicestwić. Nabawił się tylko bąbli. Na szczęście przestało padać, zza chmur wyjrzało słońce, dziwnie niewyraźne, jakby za mgłą kropelek wody wciąż wiszących w powietrzu.

Wreszcie dotarł do miasteczka zaskakująco podobnego do Barda, które przecież mieli za plecami, i zgodnie z opisem ruszył w stronę kościelnej wieży wystającej ponad budynki jak strzelisty pomnik pośrodku pustego placu. Budka miała stać koło przystanku obok świątyni.

I stała.

Żółta, jak powiedział hrabia.

Oparty o nią leniwie rozglądał się po ulicy dziwnie niepasujący do tego miejsca mężczyzna w czarnej skórzanej kurtce i czapce bejsbolówce. Vargas cofnął się za węgiel najbliższej kamienicy, modląc się w duchu, żeby nie było za późno!

Ktoś od Włodzimierza Hedy? Wynajęty przez niego człowiek? Może tacy czuwają rozsiani po całej trasie albo przynajmniej tu, w promieniu kilkunastu kilometrów od bunkra? Może jednak hrabia nie docenił gęstości oczek siatki, w którą mieli zostać złowieni?

Mężczyzna podpierał budkę telefoniczną, tymczasem czas biegł, a w odczuciu sekretarza wręcz galopował! Jeszcze trochę i to hrabia uzna, że Vargas zwiął, opuścił go na dobre! Schowany asystent przyglądał się porysowanym, porozdzieranym plakatom wyborczym na frontonach budynków i w każdym miejscu, gdzie dało się je nalepić. Ludzi na ulicy było mało, prawie nikogo, tylko w głębi, po drugiej stronie kościoła, mignęło jakieś dziecko na rowerze i zaraz wjechało w poprzeczną uliczkę. Pustka jak na ulicy w westernach, gdy ukryci za firankami mieszkańcy czekają na pojedynk rewolwerowców.

Wreszcie nerwowo wyjrzał zza węgła...

Zniknął! Szpieg Hedy ulotnił się gdzieś, więc sekretarz szalonym pędem puścił się do budki, kręcąc głową na wszystkie strony, bo gdyby tamten się przyczaił... Chwycił za słuchawkę, z trudem uspokajając zdyszany oddech, wystukał zapamiętany numer. Kiedy odezwał się mężczyzna o chłodnym, wyważonym głosie, sekretarz na jednym oddechu wyrecytował tekst wiadomości.

– Dziękuję. Będę czekać.

Rozmówca przerwał połączenie.

– Daj dwa złote.

Wargas podskoczył nerwowo, słysząc zapijaczony głos sterany obaleniem tysięcy arizon czy innych deserowych. To był ten sam mężczyzna w skórze, ale teraz nie wyglądał na szpiega, chyba że się nieźle kamuflował.

– Nie mam!

Odsunął się na bok. Dobrze, że zdążył skończyć rozmowę, przynajmniej tamten nie podsłucha wiadomości.

– Jak kto pusty, to nie dzwoni. – Żulik wskazał spojrzeniem budkę.

No nie odczepi się kretyń jeden, za bardzo kac męczy. Wargas nabrał pewności, że to tutejszy menel, tylko w stroju gwarantującym większe powodzenie u normalnych ludzi, którzy zapijaczonych obszarpańców zwykle omijają szerokim łukiem. Na sekretarza jednak nie podziałałaby i toga sędziego czy ponury garnitur urzędnika na świeckim pogrzebie.

– A w dziób chcesz? – spytał krótko, odsłaniając zęby.

Tamten próbował właśnie zrobić krok do przodu, ale widząc odsłonięte kły, potknął się i przewrócił, przelatując obok Wargasa na chodnik. Sekretarz przestąpił go i pospiesznie ruszył w swoją drogę.

Nikt go nie ścigał. W obronie swego kolegi mogli stanąć tylko jego koledzy. Oni jednak sępiłi akurat pod spożywczakiem po drugiej stronie kościoła – ze znacznie lepszym skutkiem, bo zamiast propozycji dostania w dziób co najwyżej spotykali się z milczeniem, krótkim „Spadaj” albo rzuconym z pogardą bilonem.

A gdyby ktoś upierał się, że to western, to cóż – pojedynek się skończył, ale jeden z rewolwerowców wciąż żył i lepiej mu było nie wchodzić w paradę.

Drogę powrotną pokonał jeszcze szybciej niż w tamtą stronę, napędzany strachem, chociaż wpływ na to mogła też mieć poprawa pogody, bo wreszcie przestało padać, a nawet wyszło słońce. Hrabia polegiwał na polance, gryząc źdźbło trawy.

– Dodzwoniłeś się?

Sekretarz starał się złapać oddech, więc tylko skinął głową.

– Powiedział coś?

Zmaltretowane źdźbło trawy wylądowało na ziemi obok zdrowszych kolegów. Ponimirski wstał i sięgnął po pasek plecaka.

Wargas powtórzył mu zapewnienie rozmówcy, że będzie na nich czekać. Skądś nadpłynął kolorowy motyl i usiadł sekretarzowi na ramieniu, jakby chciał zacząć spijać nektar. Uśmiechnął się lekko. Cóż za pomysł, spijać nektar z wampira, to tylko leśne motyle mogą mieć takie pomysły...

– To idziemy. Widział cię ktoś?

Hrabia zarzucił sobie plecak na ramiona i zaczął lekko podskakiwać, żeby paski dobrze się ułożyły.

– Nikt – zapewnił go z kamienną twarzą Wargas.

Przecież nie przyzna się, że musiał postraszyć drobnego żulika.

Ludwik czasem przychodził podrzemać ukryty między pniami w pobliżu swojego cmentarzyka. Tego dnia też to zrobił.

Kiedy się ocknął, jego wzrok padł na polanę. I zdumiał się bardzo. Pośrodku, obok brzozowego krzyża, stał przyglądający mu się powstaniec. Postrzępiony mundur przywodził Ludwikowi zdjęcia z czasów drugiej wojny światowej.

Kiedy Ludwik zajrzał tu po raz pierwszy i odkrył sekret tego miejsca, w ziemi pozostała tylko ułamana resztką, jakieś przechodzące zwierzę dawno temu złamało krzyż albo zwyczajnie spróchniało. W każdym razie nie pozostał po nim żaden ślad. Ghul zastanawiał się nawet, czy nie wystrugać nowego krzyża, zrezygnował jednak: wtedy ktoś mógłby odkryć sekret, a on na razie chciał go zachować dla siebie.

Teraz jednak powstaniec stał obok brzozowego krzyża wyglądającego na nowy i wołał Ludwika!

– Wstawaj! – szeptał niecierpliwie, mierząc go surowym spojrzeniem. – Wstawaj, Ludwiku! Wstań i idź!

– Ale ja was pilnuję... – bronił się ghul.

– Idź, martwych nie ocalisz... – westchnął powstaniec i zniknął.

Nagle Ludwik poczuł ból, to jakiś chrząszcz go uszczypnął i obudził.

– Ale o co chodzi? – mruknął zaskoczony ghul.

Co to za sen? Proroczy? Po prostu koszmar bez związku z rzeczywistością? A może tam, w ziemi, żyją inne stworzenia, które czasem wspominało się pośród tradycyjnych nie ludzi, czyli wampirów, zombi i ghuli, i którymi matki straszyły niesforne dzieciaki?

Przetarł powieki. Krzyża nie było, wciąż na wietrze chwiały się tylko zeschnięte kity traw i gałązki brzozy.

– Nie rozumiem! – szepnął do siebie Ludwik.

Poszukiwania Ponimirskiego biegły jednym torem, a kampania drugim. I nagle chyba zwrotnice zostały poplątane, a kierunki odwrócone i nastąpiło czołowe zderzenie – tak się przynajmniej zaczęło wydawać Radeckiemu.

Kamil Deszczyca był bardzo dobrym posłem, rzetelnym, w swojej dziedzinie – budownictwie – naprawdę świetnie zorientowanym. Od trzech kadencji wspierał Partię Demokratyczną swoją wiedzą, pracowitością i lojalnością, odrzucając pokusy przejścia do innych formacji nawet w pierwszej kadencji, gdy rządziła jeszcze Nasza Ziemia. Mógł wtedy zostać wiceministrem, ale NZ nie chciała go w roli mianowanego przez pedeków wampira, chciała wyjąć Deszczycę jako członka swojego klubu, jako swoją szablę potrzebną do głosowania. I wtedy wykazał się zaskakującą wiernością...

– I komu to przeszkadzało? – warczał Radecki, machając płachtą tabloidu jak szmatą.

Mogło się wydawać, że próbuje przewietrzyć gabinet.

Szumilas stał obok, niewzruszony. On swój gniew zdążył ugasić, gdy czytał artykuł na jedyńce opisujący hipokryzję Deszczycy, który w trakcie kampanii namawia ludzi do bycia uczciwymi, rzetelnymi

i solidnymi, a tymczasem sam porzucił żonę, z którą łączy go tylko białe małżeństwo, i wolny czas spędza z kochanką!

– Przeklęte gulasze! – fuknął przez nos Radecki.

Spojrzał w okno, za którym jacyś dwaj kierowcy urządzili sobie konkurs, kto ma głośniejszy klakson. Pewno stłuczka. Nie ma to jak problem z parkowaniem, korkami, przegęszczeniem i brakiem kultury. Od dawna Radecki zastanawiał się nad przeniesieniem siedziby w jakieś spokojniejsze miejsce.

– To ich robota, to na miłą śmierdzi prowokacją!

Deszczycza niczym się nie różnił od co najmniej setki posłów i ministrów, którym Radecki bez trudu znalazłby kochanki, zresztą płci obojga, a ze dwóm wyciągnąłby nawet zoofilię – i wcale nie byli to nieludzie!

Wiadomo, o co chodziło w tym tekście: był to czytelny sygnał przesłany wszystkim nieludziom, że poseł nie jest lojalny. Bo tylko oni wiedzieli, na czym polega prawdziwa nielojalność Deszczycy, a jeśli nie wiedzą, to wyczytają. Tabloid podawał wszelkie dane pozwalające ustalić, że kochanka posła w przeciwieństwie do żony była *człowiekiem*. A więc to zdrada rasy, a nie zdrada w ogóle.

– Hipokryci! – klął marszałek. – Tylko u nas tak jest?

Nieludzie zwykle trzymali się razem, ale mieszane związki się zdarzały, chociaż zwykle wtedy jedna ze stron, człowiek, nie miała pojęcia, z kim obcuje. Było to możliwe, odkąd Otto von Gerlau wynalazł swoje pigułki, a w kolejnych dekadach jego następcy doprowadzili do perfekcji umiejętność symulowania ludzi.

– Cóż, kampania. – Szumilas wzruszył ramionami. – Trzeba to jakoś przetrwać...

Radecki prychnął. Ta, jasne, przetrwać. Chyba na politycznym cmentarzu... Z ukosa spojrzał na swojego sekretarza. Czy on w ogóle rozumiał, że wyjęcie jednego klocka z tej układanki może zachwiać całą konstrukcją, bo rozochoceni tamci mogą wybierać jednego po drugim co lepszych kandydatów?

– Nie, nie kampania – zaprzeczył głosem pełnym złości. – Idź, zajmij się pracą u podstaw. Ja z tym cholernym gulaszem sam to załatwię.

Gabor nie miał dla niego czasu, póki Radecki nie zagroził, że w takim razie pójdzie ze swoją sprawą do mediów. Zapewne Daniłowicz bez trudu się domyśli, do których i dlaczego.

Kiedy się spotkali w Łazienkach, Radecki od razu przystąpił do ataku. W tej chwili nie uważał, że Daniłowicz ma klasę.

– Dlaczego atakujecie naszych, a nie ludzi? Była umowa! – zaczął, nerwowym krokiem przemierzając alejkę.

Tym razem wziął ze sobą eskortę, dwóch BOR-owców, oczywiście wampirów, czuwało, by nikt nie przeszkodził w tej rozmowie na wysokim szczeblu. Zresztą mało kto miał odwagę, spacerowicze schodzili im z drogi, wiedząc, że w ogniu kampanii wyborczej łatwo wplątać się w kłopoty i niesłuszne oskarżenia, a co najmniej poszturchiwania ochrony.

– Ich też atakujemy. – Gabor rozciągnął zęby w uśmiechu, obserwując wiewiórkę, która chyba jako jedyna miała kampanię wyborczą pod ogonem, patrzyła na nich, oczekując datku, skoro podeszła i złożyła łapki w proszalnym geście. – Ale oni nie wygrają, my albo wy, więc ja wolę, żebyśmy to my wygrali...

– A co z Deszczycą?

– Aaaa! – Ghul udał, że dopiero teraz zrozumiał, o co właściwie marszałkowi chodzi. Zwolnił, zmuszając Radeckiego do tego samego. Banalna sztuczka, gra na przejęcie inicjatywy. – No tak. To proste: umowy dotrzynamy, ani słowa o Ponimirskim, atak będzie czytelny dla nieludzi, ale bezpieczny z punktu widzenia ochrony ich interesów. A poza tym ja jestem konserwatywny ghul i mnie się ta szopka Deszczycy zwyczajnie nie podoba – podsumował.

Marszałek przez chwilę kroczył w milczeniu, namyślając się. Gabor obserwował go ze spokojem, lekko znudzony, triumfujący. Wiewiórka podążała ich śladem.

– Deszczycy jest już spalony – podsumował wreszcie Radecki, starając się powstrzymać przekleństwa. – Przynajmniej na kilka miesięcy musi zniknąć z mediów. Ale ja ci, Gabor, mówię: to był ostatni raz. Bo jeśli nie, to ja puszcze do gazet taki smaczek, który z waszych kandydatów jest zoofilem.

– A jest? – zdumiał się Gabor, gwałtownie przystając. Omal nie nadepnął równie zaskoczonych wiewiórcę na ogon; ta z trudem odskoczyła na pierwsze z brzegu drzewo, wątłą jarzębinę. – Który?

Radecki pokręcił głową i uśmiechnął się okrutnie. Patrząc swemu konkurentowi prosto w oczy, wycedził:

– Jest czy nie jest, czy to ważne? Plotka pójdzie, śmierć cywilna. I nie na kilka miesięcy, Gabor, raczej na długie lata...

Mimo wszystko musiał dokonać egzekucji. Z niechęcią odszukał w spisie numer posta i nakazał mu jak najszybsze stawienie się w biurze. Szczęśliwie ten akurat załatwiał jakieś sprawy w Warszawie.

Deszczyca wiedział, po co go szef wzywa. Takie sprawy intuicyjnie się wyczuwa, kiedy się siedzi w polityce dekadę z okładem. Minę miał chmurną.

– Wszyscy wiedzieli i nikomu nie przeszkadzało – stwierdził z wyraźnym żalem, uprzedzając Radeckiego.

– Mnie nadal nie przeszkadza, ale jak media podchwycą, zaczną drażnić, polecą inni nasi. Musisz zrezygnować, Kamil, dla dobra ogółu.

Radecki nie owijał w bawelnę, czując ulgę, że nie musi tłumaczyć czegoś jak dziecku. Mimo wszystko trudno mu przychodziły te słowa, nadal był wściekły na tego przekłętą gulasza.

– Najlepsza będzie choroba rodziny. Żona ciężko się rozchorowała i rezygnujesz z kampanii. Trochę durniów pomyśli, że podupadła na zdrowiu przez ciebie, większość uzna, że jest jakaś sprawiedliwość albo że jednak tabloid kłamie, a ty się o nią troszczysz.

– Ale my nawet nie mieszkamy razem! – prychnął Deszczyca, kręcąc głową. – Ona ma swojego faceta w Londynie!

– No to teraz zamieszkacie – westchnął zrezygnowany Radecki. Same komplikacje... – Idź, ja to załatwię. Potem się rozliczymy, dostaniesz jakieś stanowisko w ministerstwie, za pół roku, może w wakacje, rozumiesz? Sprawa musi przycichnąć, zostać zakryta innymi...

– Rozumiem – przerwał mu Deszczyca. – Jestem lojalny.

Ciężkim krokiem ruszył do wyjścia.

Radecki siedział jeszcze przez chwilę przy stole, zastanawiając się, co dalej, kiedy niespodziewanie i bez uprzedzenia do środka zajrzał Biela.

– Wciąż w bojowym nastroju? – upewnił się.

– Jak cholera – przyznał Radecki, z irytacją mnąc porzucony egzemplarz gadzinówki. – Gryzłbym.

– No to jest okazja – stwierdził zadowolonym głosem spin doktor.

– Możemy uderzyć w gulaszy zza węgła. A możliwe, że uda się spreparować materiały tak, że sprawa będzie wcześniejsza niż ta dzisiejsza szmatława publikacja...

Radecki spojrział na niego z zainteresowaniem, a spin doktor ciągnął:

– Wyobraź sobie ghula. Kopie, kopie i potrafi wykopać. Ten konkretnie wykopał dzbanek monet, ale zamiast oddać państwu i w nagrodę otrzymać lizaka, sprzedawał na aukcjach pojedyncze sztuki, nie zawsze w Polsce, często przez podstawionych... Dorobił się trochę, nic spektakularnego, ale jednak ma niezalegalizowany majątek. Powiedzmy, że tydzień temu do urzędu skarbowego wpłynął donos od człowieka, całkowicie legalnego człowieka – tu Biela uśmiechnął się bezwzględnie i okrutnie – przypadkiem sąsiada tego ghula. I leci kontrola, a równocześnie ktoś publikuje ten donos... oczywiście bez nazwiska.

– Domyślą się – stwierdził bez przekonania Radecki.

– No mam nadzieję! – odparował Biela. – I niech potraktują to jako ostrzeżenie.

Radecki pomyślał o Deszczycy: lojalnym do bólu, niekonfliktowym, zaatakowanym za coś, co wcale nie było jego winą.

– Rzykowne, ale należy im się nauczka. Działaj, tylko bez fuszery.

Plecak ciążył sekretarzowi coraz bardziej, mimo że od czasu do czasu coś z niego ujmowali. Nic jednak nie mówił, hrabia też dźwigał swój, co prawda mniejszy, ale i tak narzekał, że

niebezpiecznie zbliża się do proletariackich obyczajów niegodnych prawdziwego arystokraty. Pewno dlatego, że jak się przyznał, w gruncie rzeczy nim nie był, tytuł zyskał poprzez adopcję. O ile i tego nie zmyślił.

Hrabia prowadził bez mapy, spoglądając na słońce i czasem zamyśliwszy się na chwilę. Pewnie zmierzał w stronę czegoś, co raz czy dwa nazwał skałą. Znów skała, a nie Wrocław? Nie udało się jednak wyciągnąć z niego żadnych szczegółów.

Zdarzył się też moment, w którym serce sekretarza mocno zabiło. Niespodziewanie wyszli na skraj lasu, na rozpościerające się pola. Na jednym z nich stało kilku ludzi. Wargas dostrzegł lśniący wzrok hrabiego i język drgający nerwowo...

A przecież chwilę wcześniej hrabia, by uprzyjemnić czas wędrówki, znów wrócił do idei, by wampir był wampirem, a nie metroseksualną wydmuszką.

– Hrabio, chyba nie zamierza pan...? – Zawiesił znacząco głos sekretarz.

– Nie zamierzam! – stwierdził ostro hrabia, najwyraźniej urażony takim podejrzeniem. – Nie pijam nielegalnej krwi. Ale... gdyby to było legalne, to myślisz, że zastanawiałbym się choć chwilę? Byłbym niby wicher, co pędzi po polu, by dopaść ofiarę, zakręcić nią... – Z rozmachem wbił łaskę w grubą kępę mchu. – Co to za wampir, który nie pija krwi, powiedz?

Rozdział 7

Trudno ustalić, czy to sam Włodzimierz wpadł na pomysł przeszukania starych, opuszczonych magazynów po zlikwidowanej firmie Ponimirskiego zajmującej się przetwórstwem paszy, czy też ktoś mu to zasugerował. Dość, że wydelegował dwóch mazurskich współpracowników, aby rozpoznali teren i sprawdzili, czy nie ma tam kryjówek Ponimirskiego. Po ostatnich doświadczeniach w Katowicach nakazał im zachowywać ostrożność, za wszelką cenę chciał uniknąć ofiar śmiertelnych. Jeśli hrabia się tam ukrywa, należy go osaczyć i wybrać jak kocię z koszyka, powoli, delikatnie, bez ryzyka. A jeśli to pułapka, ostrożność należy zachować tym bardziej.

Magazyny wciąż stały... o ile te szkielety utrzymujące fragmenty ścian można było nazwać magazynami, a nie ruiną w stanie upadłości. Widać, że Ponimirski albo nie odsprzedał ich nikomu, albo nowy właściciel także nie dbał o nie należycie.

„Chociaż może to i lepiej”, rozmyślał Makary Burycki, któremu Włodzimierz zlecił tę robotę. Jeszcze by spotkali jakichś pracowników i mógłby wyniknąć z tego pasztet, bo trudno przeszukiwać teren, mając ludzi na karku. A mając trupy, tym bardziej.

Zerknął na swego pomocnika.

– Czujesz kogoś, Igor?

Młody wampir, wciąż niezadowolony, bo Makary oderwał go od picowania się na randkę, z niezadowoleniem potarł tatuaż na ramieniu. Przedstawiał smoka zjadającego własny ogon i był powodem, dla którego Kaśka chciała się z nim umówić. W promieniu kilku wsi nikt takiego nie miał. Symboliki nie rozumiała, zresztą samo słowo „symbol” było dla niej zbyt trudne, Igor jednak uważał, że to całkiem dobry pomysł.

Tatuaż oczywiście nie pełnił również funkcji wykrywacza uciekinierów. Był po prostu świeży i swędział.

– Nikogo – mruknął.

Makary wybrał go na współpracownika, bo Igor miał najlepszy węch ze wszystkich wampirów. Oprawianego przez kłusownika zająca wykrywał z trzech kilometrów, a sarenkę z pięciu. Ryby wyciągane nielegalnie z jeziora nawet z dalszej odległości – jeśli żywe podbierakiem czy siecią, to miał zasięg sześć i pół kilometra, a jeśli rażone prądem, bił rekord i docierał do dziesięciu kilometrów!

Teraz nie czuł nikogo. To znaczy żadnego wampira. Poza Makarym, ale to oczywiste. Starego też by wyczuł z dziesiątaka, bo w nieszczotkowanej brodzie zawieruszyło się tyle śmiecia, że wytwarzały własny specyficzny mikroklimat, jak zapachowy odcisk palca.

Obeszli zabudowania... nic. Makary wzruszył ramionami, w sumie lepiej, że nie znaleźli hrabiego, mniej kłopotów, dłuższe życie.

Nagle Igor wskazał coś przed nimi. Tam, przesłonięty nieco badyłami, które jeszcze niedawno były dzikimi siewkami akacji, a teraz wyrosły na młodzieńców szeroko rozkładających ramiona, podupadał jeszcze jeden obiekt. I wystarczyło parę kroków, by chłopak zaklął, mamrocząc coś pod nosem.

Makary spojrzał na niego pytająco i wtedy Igor powtórzył cicho:

– Jest, coś jest...

Przewrócony silos na paszę wyglądał jak odrzucony na bok lekko sflaczały treningowy worek bokerski albo kopnięty klocek Lego. Ale kiedyś stał prosto. A Igor wyczuł tu podobny silos wkopany w ziemię i... wciąż pachnący wampirami! Wampirami – stare ślady. Człowiekiem – nowe!

– Wampir i człowiek!

– Skumał się z ludźmi? – zdziwił się Makary, przystając niespokojnie.

Jeśli hrabia wszedł w zdradziecką współpracę z ludźmi, należało się spodziewać kłopotów.

Młodziak wahał się, co zrobić. Wreszcie uznał, że nie będzie takim frajerem jak Makary, co to boi się własnego cienia,

i podkradnie się bliżej. Starając się nie nadziać na długie kolce, ruszył w stronę zabudowań.

Woń wampirów wciąż była nikła jak zestarzały pot. Towarzyszył jej zapach człowieka wydobywający się spod ziemi. Młody wampir miał wrażenie, że tam coś jest, jakby silos wkopany w ziemię. A w środku...

Noworodek?

– Może ktoś podrzucił? – szepnął do siebie.

Różnie bywało, jedni podrzucali dzieci do szpitali, inni w krzaki, jeszcze inni zakopywali. Pływające po jeziorze dziecko w łodzi też się zdarzyło.

Ale wtrącone do silosu wkopanego w ziemię?

Zaczął się uważnie przyglądać i zobaczył w jednym miejscu trochę świeższą ziemię, kwadrat wielkości może rozpostartego koca. Oczywiście była to świeżość dla wampira, ziemia wyglądała na tkniętą parę lat temu w przeciwieństwie do pozostałej, która nawet butami nie była deptana od co najmniej dwóch dekad.

Wbił palce w ziemię. Twarda.

– Kopiesz? – Dobiegł go szeleszczący głos Makarego.

– Idź po łopatę – odszepnął Igor, chociaż nie było powodów do zachowywania ciszy.

Oprócz nich chyba nikogo tu nie było. Przynajmniej na poziomie gruntu, bo pod ziemią jak najbardziej.

Makary po chwili wrócił z łopatą. Chłopak miał już odkopane chyba ze dwadzieścia centymetrów. Dalej pracował łopatą. Na głębokości pół metra zaszurała twarda płyta. Wejście z metalowym uchwytem do podźwignięcia. Wybrał ziemię na całej płaszczyźnie klapy, odwrócił się do Makarego i rzekł:

– Odejdź kawałek, ja się tym zajmę.

Komuś mogłoby się wydawać, że z Igora jest niepoprawny ryzykant i marnie skończy. No tak, to by była poprawna konstatacja, tylko że niepełna. Bo chłopak wiedział, że na tatuaż może poderwać laskę w dyskotecce w niedalekich Kociłapkach, ale jemu marzyła się kariera w dużym mieście... A do tego potrzebny był jakiś sukces. Więc raz może zaryzykować. Urwie łeb, trudno, nie będzie miał kłopotów z planowaniem ścieżki kariery. Nie urwie, za to uda się

coś osiągnąć, spróbuje pójść w górę, uciec z tego miejsca przeklętego przez wszystkich, z nieлюдźmi włącznie.

Wreszcie odwalił klapę ukrywającą schody wiodące w głąb, pod ziemię. Zapach człowieka, takiego całkiem nowego, nasilił się zdecydowanie. Zdumiony, trochę przestraszony, ale bardziej niż trochę zdesperowany, Igor zeskoczył do środka.

Kryło się tam niewielkie pomieszczenie. A w nim... pośród rozbitych na kawałki dziwnych lusterek leżała kobieta. Cała, niepokaleczona, jak natychmiast zauważył Igor. Było to dziwne, bo wyglądało tak, jakby ona w te lustro wpadła.

– Ona jest jakaś dziwna. – Makary, który zebrał się na odwagę i wskoczył do środka za chłopakiem, pociągnął nosem. – Pachnie człowiekiem, nie wampirem...

– No właśnie – mruknął Igor, obchodząc kobietę dookoła w bezpiecznej odległości. – Z wyglądu to bez wątpienia zaginiona w Katowicach Joanna, córka szefa, któż jej zresztą nie zna? Ale pachnie... zupełnie nie jak my, tylko jak ludzina. I to bardzo świeża, taki noworodek. To właśnie czułem nad ziemią!

– O kurde! – szepnął nagle, przypominając sobie relację z wydarzeń w Katowicach. Tam też były lustro! – Makary, lustro, rozumiesz? Tam wpadła w lustro, a tu...

Makary spojrzał na niego nagle rozumiejącym wzrokiem, otworzył usta...

Niespodziewanie kobieta poruszyła się i uprzedzając Makarego, szepnęła:

– Gdzie...?

Makary pomyślał, że najwyższa pora zadzwonić do osoby, która koniecznie powinna się tym zająć. Czyli do Włodzimierza Hedy.

Włodzimierz nienawidził latania. Z trudem potrafił przekonać swój strach, żeby pozwolił mu wyjść z domu, wsiąść do auta i pojechać na lotnisko. Odprawa była czymś strasznym – a dla wampira lista rzeczy, które go przerażają, nie jest tak długa jak u ludzi.

Wejście po trapie rejsowego samolotu przypominało mu wkraczanie w czeluście piekielne pełne ognia. Start był chwilą,

w której ręka sędziego podpisuje wyrok. Lot – czekaniem na egzekucję: chwilę katastrofy. Lądowanie – jej nadejściem.

Od bardzo dawna Włodzimierz nigdzie nie latał. Od tego miał rodzinę i swoich zaufanych współpracowników. Ale teraz sytuacja była kryzysowa, wyjątkowa, zagrażała istnieniu całej *familii* – Włodzimierz nie miał najmniejszych wątpliwości, że musi ruszyć własne cztery litery. O ile, rzecz jasna, słowa Makarego odpowiadały prawdzie. Ponieważ stary Hedo i Makary współpracowali od dawna, Włodzimierz umiał ocenić wiarygodność słów tamtego. Dlatego wsiadł do awionetki, chcąc dotrzeć na miejsce po godzinie czy dwóch, a nie po kilku godzinach jazdy. Czas miał pierwszorzędne znaczenie, strach musiał ustąpić pola.

Jednak w kwestii powietrznych przejazdów lądowanie w szczerym polu, z trudem nadającym się na polowe lądowisko, było postawieniem kropki nad „i”. Włodzimierz obiecał sobie, że drogę powrotną pokona pojazdem na co najmniej czterech kołach, w ostateczności autobusem, a potem nigdy już nie wsiądzie do czegoś, co ma skrzydła.

Zamyślony Makary czekał na niego, podczas kiedy Igor został z dziewczyną w podziemnej kryjówce, bo Joanna wciąż nie umiała chodzić.

Bardzo się starał nie narazić szefowi. Mało mówił, pozwalając Włodzimierzowi ochłonać, oswoić się z myślą o stanie... znaleziska. Podjechali pod stare magazyny.

Przed zejściem do podziemnej komory Włodzimierz po raz ostatni popatrzył na słońce. Zdążył już pochować córkę, nagłe jej odnalezienie było jak los na loterii, jak wyratowanie rozbitka po dwumiesięcznym błakaniu się po bezmiarze oceanu.

O ile to była jego córka. To właśnie przyjechał sprawdzić osobiście.

Zeskoczył do komory...

– Joanno! – szepnął, dostrzegając leżącą postać.

Podniosła wzrok i spojrzała na niego trochę mglistym, niepewnym wzrokiem... I wtedy serce Włodzimierza naprawdę na moment stanęło.

Pachniała człowiekiem. Była człowiekiem. Lecz to spojrzenie... to spojrzenie mówiło, że nadal jest Hedo. Jedną z nich. Z *familii*. Nie wiedział, jak sobie z tym oboje poradzą, ale otworzył szeroko ramiona i objął ją – utraconą, odzyskaną, inną, obcą, jednak wciąż swoją. Cokolwiek się stało, był gotów się z tym zmierzyć.

– Wracamy – nakazał przesadnie oschłym tonem, którym starał się pokryć nagłe wzruszenie. – Makary, zabezpiecz magazyn, przyśle tu swoich na oględziny.

Marszałek nerwowym krokiem przechadzał się po gabinecie w siedzibie partii na Wiejskiej. Klepki trzeszczały – prawie tak samo jak jego wiara w zdrowy rozsądek rozmówcy.

– Sam bym nie uwierzył – oznajmił szorstkim głosem Włodzimierz. – Sam bym nie uwierzył, przynajmniej na słowo, dlatego wsiałem do tej piekielnej maszyny i poleciałem na miejsce. Osobiście, żeby sprawdzić, czy relacja starego Makarego zgadza się z rzeczywistością. I zgadzała się, Radecki, zgadzała się co do joty. Nie rozumiem, jak to możliwe, ale ona już nie jest wampirem. Jest człowiekiem. Hedowie nigdy nie byli ludźmi, ba!, nie płodzili mieszkańców, chociaż współpracujemy z innymi nieлюдźmi. Ona po przeleceniu przez te lustra stała się człowiekiem. Chyba że w którymś z tych pomieszczeń, w Katowicach albo w Smardzewie, stało się coś, o czym nie wiemy... Cieszę się, że żyje, jednak... – Urwał.

Radecki w milczeniu słuchał Hedy. Ten mówił i mówił, jak na siebie zaskakująco dużo. Wciąż widać było wzburzenie.

– Cieszę się, że twoja córka żyje, ale to nas nie zbliża do pochwylenia Ponimirskiego – zauważył wreszcie. – Musisz mi wybaczyć, jednak...

Hedo splótł dłonie. W ciągu ostatnich kilkunastu godzin przybyło mu zmarszczek i siwych włosów, ale wydawał się wreszcie żyć, nie przypominał trupa pragnącego tylko zemsty.

– Te sprawy są ze sobą powiązane – stwierdził z naciskiem. – Cały czas szukamy Ponimirskiego, a ponieważ to on skonstruował te pułapki, jak go znajdziemy, wycisnę z jego bebechów sekret i sposób

na odwrócenie... – W głosie starego Hedy słychać było tętniący gniew, strach, upokorzenie... wszystko razem.

– Możesz zapytać zachodnich. Może oni wiedzą – mruknął bez przekonania Radecki.

Rozumiał, jaką krzywdą dla Hedy jest taki sposób zranienia jego córki.

Włodzimierz skrzywił się z niesmakiem. Pytanie wampirów z Zachodu o cokolwiek rodziło nie tylko frustrację z powodu bycia gorszym, utrzymywało także stereotyp funkcjonujący w zachodnich społecznościach wampirów, że do Polski trzeba słać transporty z żywnością, czasem z techniką, natomiast stamtąd niewiele da się zaimportować poza czołobitnością i owocami. Tyle tylko, że po osiemdziesiątym dziewiątym roku polscy nieludzie nabrali alergii na takie zachowanie. A szczególnie na sugestie, że gdyby nie oni, nieludzie z cywilizowanej części świata, polskie wampiry, ghule i zombi nadal kryliby się po lasach.

– To ostateczność. – Splótł palce, aż kostki chrupnęły. Ten gest wyłamania palców zawsze oznaczał jedno: był sfrustrowany. – Jak nie złapiemy Ponimirskiego, wtedy spróbuję coś wskórać prywatnymi kanałami. Oficjalnie... sam wiesz, panie Radecki.

Marszałek skinął głową. To ich łączyło ze starym Hedą: skrywana, ale oczywista niechęć do zachodniaków, jeszcze większa niż do gulaszy. Biela też przecież wolał ponieść porażkę niż skorzystać z rad tych „mądrzejszych”. Szczególnie odkąd się przekonali, że zwykle mądrzejsi bywają *post factum*.

– Działaj – poprosił. – Brakuje nam tylko tego, żeby akurat teraz Ponimirski wtrącił się do gry.

Tymczasem wieść rozniosła się szybko jak pożar po moście Łazienkowskim. Nie minęły dwie godziny od rozmowy Włodzimierza z Radeckim, a już w świecie wampirów zaczęło huczeć od plotek i komentarzy. Plotki nie mogły przebić prawdy, bo zamiana Joanny wampira w Joannę człowieka było wystarczająco szokujące, zmierzały więc w inną stronę.

Od dawna rodzina Hedów miała przeciwników. To oczywiste, każdy, kto próbuje coś zrobić, ma wrogów, a im jest skuteczniejszy, tym więcej nieprzyjaciół sobie robi.

Teraz sporo wampirów, i nie tylko, zaczęło szemrać, że może wcale Joanna nie została zamieniona, tylko od początku była szpiegiem. Może cała rodzina tylko udaje wampiry?

Kłopot polegał na tym, że intencje hrabiego Ponimirskiego i jego plany znało niewielu wampirów poza ścisłym kierownictwem partii oraz tropicielami w różnych miejscach. Oczywiście, nie było tajemnicą, że wszyscy nieładzie szukają arystokraty – jednak mało kto wiedział coś więcej ponad to, że arystokrata naraził się wierchuszce. Gdyby stary Hedo mógł za pozwoleniem Radeckiego wywalić prawdę na stół, uciszyłby większość plotek. Jednak z oczywistych powodów lepiej było tego nie robić. A plotki rosły...

Podobno Machacz próbował w tej sprawie zwołać naradę obu nieludzkich partii – zapewne z myślą, że postawi Radeckiego w trudnej sytuacji – jednak Gabor rozsądnie wymówił się brakiem czasu i obowiązkami w kampanii. Słuchając tego, Radecki pokiwał głową, doceniając gest. Przecież głupi zombi doskonale wiedział, jaka jest prawda.

– Powinniśmy go wezwać na dywanik – skomentował, patrząc na Szumilasa. – Długoszewski mógłby go oficjalnie skarcić...

– Nic to nie da. Każdy orze, jak może, a ten to orzeł, co nie może... – odparł sekretarz, nie przestając podkreślać kluczowych słów w brudnopisie przemówienia. – To gnida, nie cofnie się przed niczym, będzie ciął punkciki w sondażach wszystkimi możliwymi sposobami, a kiedy się da, podkładał pinezki na krzesłach i wbijał noże w plecy. Jeszcze niejedno nas z jego strony spotka...

Szumilas nie wiedział, jak bardzo prorocze były to słowa...

Tymczasem hrabia z Wargasem, mimo że nieźle już odsadzili się od Kłodzka, nadal nie opuszczali lasów.

To znaczy hrabia Ponimirski nie chciał ich opuścić, pomimo że – delikatnie mówiąc – jego ubranie przesiąkło potem, mokrą ziemią, straciło zwykłą elegancję, stało się raczej odzieniem zdatnym

jakiemuś włóczędze, nie zaś wampirowi z klasy wyższej. Byłemu wicepremierowi, ministrowi, posłowi... – właściwie każdemu, skoro hrabia musiał udawać, że długie na pięć centymetrów rozdarcie lewego rękawa marynarki wzdłuż szwu to artystowska nonszalancja, nie zaś efekt szarpania się z jeżynowymi pnączami.

Jak nietrudno się domyślić, od kilkudziesięciu godzin sekretarz tego byłego wicepremiera, posła, a obecnie włóczęgi nie marzył o niczym innym niż prysznic, suche, ciepłe łóżko i odrobina spokoju. Wystarczyło mu już atrakcji w życiu obecnym i następnym. Odkrył, że lepszy jest pracodawca nudny, ale przewidywalny od takiego, który nie daje spokoju, próbując zaszczerpić swe idee w młodym mózgowiu.

– Spójrz!

Hrabia niespodziewanie pochylił się nad kępą mchu.

Sekretarz podszedł i posłusznie skierował spojrzenie we wskazane miejsce. Tymczasowo był skazany na towarzystwo hrabiego, postanowił więc uprawiać obstrukcję delikatnie, w taki sposób, aby Ponimirski nie powziął podejrzeń. Narastało bowiem w głowie Wargasa przekonanie, że hrabia zwariował. A szaleńcy potrafią być niebezpieczni.

Arystokrata swoim kijem wskazywał jakiś... grzybek.

– Mamy go zjeść? – zdziwił się sekretarz.

– Nie. Mamy za jego pomocą zmienić zapach. Jeśli nas tropią, a bez wątplenia tak właśnie sprawy się mają, to zapach jest najsłabszym naszym punktem. Ten grzybek nam pomoże – wyjaśnił hrabia. – Teraz ruszemy w bok, jakbyśmy szli na Wrocław, przejdziemy tak parę kilometrów, a potem natrzemy nim buty i płaszcz, i... znikniemy, a pojawią się tu dwie sarenki. Bo ten grzyb pachnie jak piżmo sarny – zakończył.

Tak też zrobili. Niech tropiący ruszą na zachód, w stronę Wrocławia, podczas gdy oni powędrują dalej na północ.

Hrabia wydawał się tym mocno podekscytowany. Wargas mniej, ale nie miał nic do powiedzenia. Zastanowiły go słowa hrabiego, z których wynikało, że *nie idą* na Wrocław, bał się jednak o cokolwiek zapytać.

Zaprotestował dopiero wtedy, gdy wieczorem, zamiast poszukać zacisznego miejsca do snu – o ile wykrot czy jar z okapem mchu nad głową można uznać za coś takiego – hrabia z kamienną miną oświadczył, że prawdziwe wampiry nie boją się nocy i dziś zapolują na wilki.

– Na wilki? – przeraził się sekretarz, pocierając bolący mięsień uda. Coraz częściej pojawiały się skurcze. – To one tu...?

Odruchowo mocniej ścisnął swój kij.

– Nie wiem, czy są, spróbujemy ich poszukać. – Ponimirski błysnął uśmiechem. – Nie mów, że się boisz... – A widząc minę swego sekretarza, z niesmakiem pokręcił głową. – Dawniej to wilk bał się wampira, nie odwrotnie. Cóż za upadek obyczajów... – mruzczał pod nosem. – Cóż za hańba dla naszego plemienia...

Wargas pomyślał, że jakoś tej odwagi nie było widać, gdy w Wiśle opadły ich brytany strzegące owiec. Sekretarz zaczął się obawiać, że hrabia teoretyk z bezpiecznej odległości dokona obserwacji, jak wilki pożerają sekretarza. Bo że sam stanie do walki i poradzi sobie z choćby trzynogim basiosem, Wargas jakoś nie wierzył.

Na szczęście wilków nocą nie udało się odnaleźć. A zziębnięty hrabia w przypływie dobrego humoru – skoro chociaż próbowali nawiązać do prawdziwej wampirzej natury – zgodził się teraz rozpaść ognisko, przy którym się ogrzeją. Może to nierozsądne, ale cóż, czasem wygrywa chęć iluzorycznego poczucia bezpieczeństwa, jakie budzą płomienie pełzające po patykach i trzask drewnianych szczapek.

Gdy zjedli swoje witaminy i koktajle, hrabiemu zebrało się na refleksje. Wargas najchętniej już by zasnął, ale hrabia w takich chwilach potrzebował słuchacza.

– Bo widzisz – zaczął. – To nie jest stan całkiem beznadziejny, że jak już mamy do czynienia z wampirami nowoczesnymi, to sprawa jest przegrana, nie da się zawrócić rzeki kijem. Otóż da się. My radzimy sobie w lesie któryś kolejny dzień. Można by stworzyć szkoły kadetów, wampirów, w których uczyłyby się prawdziwych wartości, od praktycznych po patriotyczne.

– Wypuszczalibyś ich, hrabio, na miasto? – zdziwił się sennie sekretarz.

– Ależ skąd! – zachnął się Ponimirski, machnął ręką, po czym szybko złapał mankiet koszuli, który odrywał się coraz bardziej. – Hodowałoby się inwentarz stosowny do praktyk albo pobierało z więzień i innych placówek.

Nie rozwijał tej myśli, ale Vargas tylko pokręcił głową. Niemożliwe... Tylko dać hrabiemu władzę, to tak namiesza, że już nikt tego nie odkręci. Potwierdzał starą prawdę, że najgroźniejsi są ci, którzy próbują uszczęśliwić innych.

Jankis awansował. Zamiast kręcić się w kółko, patrolując drogi i czuwając nad bezpieczeństwem mostów, wieżowców i stacji kolejowych, został przesunięty na stanowisko, na którym miał pracować wśród ludzi. Przydzielony do jednego z lokalnych sztabów wyborczych ochraniał wiec wyborczy kandydata Partii Demokratycznej na Grochowie niedaleko ronda Wiatraczna. Miał za zadanie wyłuskać z tłumu ewentualnych prowokatorów i jeszcze bardziej hipotetycznych zamachowców – któż bowiem miałby się zamachnąć na kandydata, który każdemu obiecywał wszystko, co ten sobie zamarzy, a ostatnio gazety pisały o nim, że jak urządził wiec przed więzieniem, to każdemu z osadzonych obiecywał ułaskawienie? Prawda czy nie, opinia się przykleiła i cześć, taka uroda wyborów.

Mimo awansu Jankis wcale nie czuł się komfortowo. Przedtem nie zwracał na to uwagi, teraz jednak odkrył, że tłum go męczy, rozprasza. Kiedy tak wielkie zbiorowisko ludzi falowało, napierając na kandydata, a ten dureń pchał się z łapami, ścisnął ręce, odbierał kwiaty – przekazując je od razu ochroniarzom, jakby nie powinni mieć wolnych rąk na wypadek afery – dawał się całować w rękę albo policzek starszym paniom, Jankisa trafiał szlag! Jego głowa chodziła dookoła jak na nagwintowanej szyi, wszędzie widział zagrożenie...

I nagle dostrzegł starego wampira odzianego tak, że śmiało można by go wziąć za bezdomnego. Wskazał go pozostałym ochroniarzom.

Zrobili pytające miny.

– Bezdomny wampir? – szepnął tak cicho, żeby usłyszeli go tylko dwaj najbliżsi. – To podejrzane...

Co prawda mógł to być jeszcze wściekły na komunikacyjne perypetie pasażer, na przykład pobity w tunelach metra, jednak nie zmieniało to faktu, że wyglądał mocno podejrzanie.

Wzruszyli ramionami, bagatelizując jego obawy. Jankis ruszył do przodu, żeby zdążyć z interwencją, zanim... Powstrzymali go, chwytając za ramiona, widać wiedza o piątej kolumnie nie była im obca, przeszli stosowne przeszkolenie na tę okoliczność.

– Spieprzaj, dziadu! – krzyknął nagle Jankis, wyrywając się ochroniarzom.

Czy oni nie widzieli, że podejrzany prawie już dosięga ramienia kandydata, a z czubków palców wyrastają pazury?!

Rozgorączkowany tłum momentalnie zafalował, rozległy się pomruki złości, skonsternowany kandydat cofnął się, nie wiedząc, o co chodzi. Tymczasem ochroniarze dopadli Jankisa, klnąc, że mają zdrajcę albo wariata we własnych szeregach, wynieśli na zaplecze, gdzie zamknęli go w pokoju bez okien. Nie certolili się przy tym, nabijając mu sporo siniaków, skoro nie zrozumiał pierwszego ostrzeżenia.

Po wiecu szef sztabu, Bartek Macieja, ponurym spojrzeniem zmierzył swego ochroniarza, przecesał rzednące włosy i zaczął:

– Dobrze, że jesteś czujny. Jednak musimy dopuszczać wyborców do kandydatów... nawet za cenę pewnego ryzyka. Cóż, to prawo dżungli: kandydat zbyt mocno obciążony pechem wcale nie jest nam potrzebny...

– Czyli wypadam? – Jankis upewnił się, czy dobrze go rozumie. Macieja tylko bezradnie rozłożył ręce. – No i dobrze! – warknął, wstając i podchodząc do drzwi. – Mosty są najważniejsze, zapamiętaj to sobie, pacanie!

Tym razem Gabor przyniósł sobie krzeselko. Zanim je postawił, sprawdził, czy ani jedno ziarenko piasku nie przylega do niego i czy nie ma żadnej ścieżki wiodącej ze skrzyni Al-Ghazaniego. Być może

to był przejaw paranoicznej nieufności, jednak zbliżający się finał kampanii wyborczej wprawił Gabora w nerwowe oczekiwanie i stany lękowe. Chciał to już mieć za sobą.

Piaskowy spał albo udawał, że go nie ma. Niewielka wydma piasku wystawała ponad powierzchnię, jednak nie nabrała rozpoznawalnie ludzkich kształtów, była równie anonimowa jak wszystkie wydmy na pustyni. To dopiero wiatr je kształtował.

Daniłowicz dumiał nad tym, że chociaż plan sprowadzenia egipskiego dżinna był świetny i powiódł się w całości – bogom błogosławić, że wśród archeologów, którzy grzebali w ziemi, a właściwie w skałach, znalazło się dwóch ghuli, którzy zorientowali się, kogo wydobyli – to jednak druga część, spolszczenie go, uczynienie z niego Jana Gazanowicza, wciąż napotykała przeszkody.

Najgorsze i najbardziej rozczarowujące było to, stwierdził z namysłem, przyglądając się skrzyni, że plan był dobry, przyniesie efekt – tylko nie tak szybko. Gabor zaczął się więc zastanawiać nad porzuceniem nadziei już teraz i wymyśleniem jakiegoś dozownika, który każdego dnia zabierałby tylko parę ziarenek kwarcu egipskiego, a dorzucałby polskiego, nadwiślańskiego. Potrwa to dłużej, ale zniweluje konieczność doglądania Piaskowego i wpadania na jego widok w depresję.

Nagle wzdrygnął się lekko. Ktoś pukał w drzwi. Było to tak niezwykłe, że aż wyjrzał przez judasz. Za sobą poczuł lekki wiew powietrza, jakby wydma się poruszyła.

Strażnik. Widząc błysk światła w judaszu, zawołał:

– Gaborze, wicepremier Machacz czeka na górze!

Daniłowicz zaklął. Co ten dupek robi w jego domu? Nie miał jednak wyboru. Wstał, odkopnął krzesło na bok i wyszedł z komory, znów ją kodując.

– A po co go wpuściliście? – strofował strażnika, gdy zmierzali na powierzchnię. – Przecież to nasza twierdza, nie zombi.

– Nalegał, powiedział, że rozwali bramę, jak go nie wpuścimy – usprawiedliwiał się strażnik.

Machacz nerwowym krokiem przechadzał się po gabinecie Gabora pod czujnym okiem towarzyszącego mu strażnika. Daniłowicz nie podejrzewał go o chęć przeszukania pomieszczenia

podczas jego nieobecności, bo zombi nie mógł wiedzieć, że ghul zjedzie na dół, ale mógł wykorzystać sposobność. Strażnicy zasłużyli na pochwałę, zapisał to sobie w pamięci.

– O co chodzi? – zaczął dosyć obcesowo, podchodząc i wyciągając rękę.

Zombi uściśnął ją mocno. Popatrzył na strażnika, który natychmiast ruszył do wyjścia.

– Dlaczego mam wrażenie, że jestem ostatni w kolejce do informacji? – poskarżył się Machacz, gdy za ghulem zamknęły się drzwi. – Dzieją się różne rzeczy, zupełnie jakby karty zostały już rozdane, a moja rasa pominięta...

– To znaczy? – Głos Gabora zabrzmiał sucho.

Gdyby zombi nie był tak zapatrzony w siebie i własne lamente, miałyby szansę zrozumieć, że właśnie przekroczył granicę przyzwoitości. On jednak nie zwracał uwagi na takie drobnostki. Przyzwoitość nie była tą cechą, którą uważał za najważniejszą. Wolał skuteczność, chociaż w tym też był marny – może właśnie dlatego, że nie zwracał uwagi na przyzwoitość?

– Mam wrażenie, że ty i Radecki już wszystko uzgodniliście – wyznał teraz z rozbrajającą szczerością. – A przecież jestem wicepremierem...

Daniłowicz popatrzył na niego tak, jak się ocenia świnie już zabita, ale jeszcze niesparzoną wrzątkiem.

– Byłeś – poprawił. – Byłeś wicepremierem rządu, który właściwie już nie istnieje, udaje, że administruje. I mylisz się, nic nie zostało uzgodnione. Nachodzisz mnie w domu, żeby co: wyżebrać jakieś stanowisko, przytulić je sobie zawczasu?

Podniósł głos. Wiedział, że za ścianą strażnicy stanęli w pogotowiu, tak na wszelki wypadek.

– Trwa kampania. Idź, zajmij się doprowadzeniem do tego, żeby Nasza Ziemia wygrała te wybory, wtedy będziesz mieć szansę nawet na premiera, chętnie ci ustąpię miejsce. Jak je przegramy, to Radecki zawrze sojusz z Unią, a nie z nami, żeby rządzić.

– Nie strasz – zaprotestował z ponurą miną Machacz.

– Wysyłasz pretensje pod niewłaściwy adres. – Daniłowicz starał się zachować równowagę, chociaż coraz więcej go to kosztowało.

Problemy z Al-Ghazanim i kampanią coraz wyraźniej odbijały się na jego stanie psychicznym. – A teraz do widzenia. – Spojrzał w okno, uważając rozmowę za zakończoną. – Działaj, zamiast gadać.

 Nie ma to jak słowa wypowiedziane w złą godzinę...

Rozdział 8

W tym samym czasie w innym punkcie Warszawy, miasta doświadczonego rozlicznymi klęskami i sukcesami, z których nikt się nie cieszył, Radecki ze zdumieniem wpatrywał się w telewizor. Właściwie – już się nie wpatrywał. Wpadł w stupor. Na szczęście nie śmiertelny, trwający może z dziesięć sekund. Ale jak na tego wampira było to o co najmniej dziewięć sekund za długo!

No bo nie po to mieli własną telewizję publiczną, żeby go tak denerwowała! Kto tam robił sondaże?! To niemożliwe, żeby nagle poparcie im spadło o sześć punktów procentowych! Nie bez żadnego widocznego powodu.

Sięgnął po telefon.

– Biela, widziałeś najnowszy sondaż?

– Tak, szefie. – Głos spin doktora tchnął profesjonalnym optymizmem, co tylko jeszcze bardziej zirytowało Radeckiego. – Tego należało się spodziewać, CBOS jest kontrolowany przez ludzi Daniłowicza.

– A jeśli... jeśli naprawdę nam spadło? – zasepił się Radecki, obserwując komara, który przysiadł na ścianie.

To było ciekawe: ci mali krwiopijcy nigdy nie próbowali tankować u dużych, omijali ich szerokim łukiem. Ten biedak musiał zabłądzić, pewno przyciągnęło go ciepło wnętrza.

– Może – przyznał po chwili Biela. Radeckiego dobiegł damski głos szepczący niezrozumiałe słowa. No tak, Hanka, żona. Pewno im przerwał konsultacje anatomiczne, jak to kiedyś żartem nazwał spin doktor. – Za mało jesteśmy obecni w mediach i wśród ludzi, sprawa z Ponimirskim zabiera nam czas i siły. Ale nie mamy wyjścia, szefie. Przecież jeśli on rzuci bombę w, damy na to, ostatnim tygodniu kampanii, to nas nie ma, możemy zwiewać do Zimbabwe.

– Mamy coś? – zapytał Radecki, w myślach przeklinając nieudolność Bieli. Przecież powinien sam na to wpaść w pierwszych

sekundach rozmowy. Poprzednie zwycięstwa ich uśpiły. A przecież leniwy tygrys może się szybko zamienić w obgryziony szkielet tygrysa. – Cokolwiek, co to przykryje? Jakąś aferę?

Jego rozmówca zapewne pokręcił przecząco głową, a może nawet się uśmiechnął, bo jego głos dalej tchnął zadowoleniem, gdy mówił:

– Szefie, na taką okoliczność jesteśmy przygotowani. Mamy kontrsondaż, w którym nam idzie w górę, a ziemniakom spada. Dla równowagi, idzie też w górę ludziom Drillera, ale oni i tak się nie liczą w rozgrywce...

– To działaj! – pogonił go Radecki.

– Zawsze możemy wezwać na pomoc zachodnich fachowców, bo to sprawa wszystkich niełudek... – zasugerował z wahaniem jego spin doktor.

Radecki zaklął. Hanka.

– Dosyć, że korzystamy z patentów na żarcie i inne piguły. Poradzimy sobie sami. A ty kończ, co zacząłeś, i przestań się objać, rozumiesz?!

Fabryka preparatów krwiopochodnych stała w szczerym polu, z dala od miast, niedaleko wsi Lepiszczce, ale też niezbyt blisko. Stała tak daleko od wszelkich ludzkich skupisk, aby ktoś nie trafił tu przypadkiem. Droga była co prawda porządna, asfaltowa, zdolna unieść samochody ciężarowe, a nawet osiemnastokółowe tiry, jednak co sto metrów pstrzyły ją brzydkie tablice z napisem „OLDAiS. Droga prywatna”.

Nocna zmiana nie była potrzebna, a przynajmniej tak uznali właściciele, więc po zapadnięciu zmroku czuwali jedynie strażnicy i magazynier, bo czasem podjeżdżały samochody, by odebrać towar.

Dniówka biegła spokojnie, aż niespodziewanie ogrodzenie od zachodu, gdzie parę kilometrów dalej rósł las, zaczęły obgryzać sarny. Zdziwiło to strażników, ponieważ te miłe ssaki miały zasłużoną opinię leśnych szkodników potrafiących okorować drzewa nie gorzej od niejednego bobra, jednak żadne kompendium nie sugerowało gustowania w kablach pod napięciem. Nieśmiało można by zaryzykować twierdzenie, że dobór naturalny nie preferował

stworzeń nadmiernie zafascynowanych elektrycznością. Poza jednym przypadkiem elektryka, który zrobił karierę, większość pozostałych przypadków wsadzania palców lub zębów w kable pod napięciem kończyła się tragicznie.

– Będzie pieczeń – mruknął jeden ze strażników, widząc kolejną sarnę wbiegającą na druty.

Monitory zamigotały... i cały system przełączył się na zasilanie awaryjne. Minie chwila, nim znów się przełączy na normalne zasilanie.

Kiedy odzyskali wizję, jeden ze strażników wskazał nie sektor, w którym pojawiły się sarny samobójcy, lecz inny, po przeciwnej stronie, bliżej drogi.

Tam, pod drutami, dwa cienie prześlizgiwały się pod siatką. Udało im się przeciąć drut w tej krótkiej chwili, gdy zasilanie padło. Ciekawe...

– No chyba sobie żartują – burknął z niezadowoleniem jeden ze strażników, porywając broń leżącą na biurku.

Dwaj intruzi bez większego kłopotu pokonali ogrodzenie, na jednym z odcinków wyłączając prąd i wycinając sobie przejście. Dotarli nawet do centralnej hali, chociaż oczywiście nie chcieli używać głównej bramy, lecz skupili się przy jednym z bocznych wejść. Stała tam zaparkowana ciężarówka, którą rano ktoś zapewne zamierzał odjechać. Jeden z intruzów podszedł do niej i sprawdził, czy działa.

I nagle uniósł rękę, wskazując towarzyszowi ciemność przed sobą.

A potem nagle cofnęli się do miejsca, gdzie biegły przecięte druty. Skoczyli tam i zaczęli uciekać.

Strażnik, którego dostrzegli, wzruszył ramionami, widząc ich paniczną ucieczkę. I tak miał zakaz strzelania albo brania jeńców, w gruncie rzeczy poza odstraszeniem mógł niewiele. Zresztą prawdziwe pułapki kryły się nie na zewnątrz, lecz w środku budynków. Tam kończyły się żarty, kto wszedł do środka i zobaczył, co tam się naprawdę dzieje i wyrabia, mógł opuścić firmę tylko za zgodą najwyższych władz. Dlatego strażnik nie tylko się nie

ukrywał, nie skradał tak cicho, że dostrzegliby go dopiero, gdyby zatopił kły w ich karkach, tylko pozwolił się usłyszeć z paru metrów, licząc, że spłoszeni zrezygnują. Zawsze mogli wyciągnąć broń, ale cóż, wtedy zapewne fabryka osocza miałaby trochę więcej surowca do przerobienia...

Patrząc na nich, pomyślał, że ci jednak nie zdobyliby się na wyciągnięcie broni – o ile w ogóle ją przy sobie mieli. Robili stanowczo zbyt wiele hałasu jak na zawodowców...

Hrabio? – rzucił półgłosem w przestrzeń Vargas.

Było już jasno. A nawet bardzo jasno, słońce zdążyło wstać, przeciągnąć się parę razy i przemierzyć po nieboskłonie spory kawałek, nim sekretarz Ponimirskiego odkrył, że jego pryncypał gdzieś się zapodział.

Być może nie było w tym nic dziwnego. W końcu wczoraj hrabia tak samo zniknął rankiem i po chwili sekretarz odkrył go w piaskowym dole, gdzie arystokrata, jak wyjaśnił, brał kwarcową kąpiel, żeby oczyścić ciało. Nawet uprzejmym gestem zaproponował mu miejsce obok.

Wtedy jednak jego rzeczy pozostały w prowizorycznym obozowisku. A dziś zniknęły razem z częścią rzeczy sekretarza. Całe zapasy jedzenia, wody, odzieży, większy plecak. Właściwie zostało tylko to, czego hrabia nie dał rady unieść – przynajmniej tak to wyglądało.

No i przedwczoraj hrabia nie wyrażał tak głośno niezadowolenia z postawy swojego sekretarza, nie nazwał go „babą ze szklanymi zębami” (gdy Vargas odmówił wgrzyzenia się w skamieniałą kość jakiegoś padłego zwierzęcia), nie poszedł przez las samotnie, krzycząc, że dawniej takie słabiaki zabijano w kołysce albo porzucano na cmentarzu...

Wczorajsze nocne ćwiczenia były jednym wielkim koszmarem – i nie wiadomo dla kogo gorszym. Hrabia wymyślił sobie, że zrobią parę kilometrów nocą, w nikłym blasku gwiazd, bo księżyc w nowiu akurat prawie wcale nie było widać.

– Poćwiczmy wzrok, węch, słuch i wampirzą elastyczność – zapowiedział.

I kiedy zapadły ciemności, skierował ich prosto w gęstwą lasu.

Cóż, hrabia Ponimirski też odczuł trudy marszu, ale nie zniechęciło go nawet podrapanie twarzy. Kiedy potknął się o coś i poleciał na twarz, zaklął tak szpetnie, że aż Vargas zdziwił się, że arystokrata może mieć coś tak rynsztokowego w słowniku. Gdy jednak okazało się, że to szkielet jakiegoś zwierzęcia, które spokojnie sobie zdechło w tej gęstwinie, Ponimirski niespodziewanie się ucieszył. Wyciągnął grubą kość, obejrzał i podał sekretarzowi ze słowami:

– Sprawdź, czy jest tam szpik. Szpik jest zdrowy.

I chyba właśnie to przesądziło, że hrabia odszedł. Sekretarz w trosce o swoje plomby odmówił rozłupania kości, w ogóle mu się to nie podobało, nie wiedział, czy zwierzę padło ze starości, było chore, czy zostało zagryzione, i wolał nie ryzykować. Hrabia zaś jakoś samemu nie zamierzał niczego łupać, tylko zgrzytał kłami z wściekłości, że Vargas go nie słucha, i wyśmiał jego obawy o plomby, sycząc, że dawniej wampiry zębów nie cerowały, a jakoś sobie radziły...

Teraz, w słońcu, sekretarz mógł tylko wzruszyć ramionami i pożegnać w myślach hrabiego.

– Łaski bez – mruknął.

Miał to, co na grzbiecie, plus solidny kij. W wykazie braków należało uwzględnić mapę, większe zapasy jedzenia i dobry humor. Pozytywy sprowadzały się do ograniczenia kontaktów z toksycznym zwierchnikiem. „Ograniczenia”, bo znając podły charakter hrabiego, wcale nie był pewien, czy to koniec. Może Ponimirski obserwuje go z ukrycia, sprawdzając, jak Vargas sobie radzi – i nagle a niespodziewanie zastąpi mu drogę. To by wcale nie kłóciło się z dotychczasowym zachowaniem arystokraty, w którym duch nauczyciela wciąż szukał sobie ujścia.

Sekretarz w każdym razie postanowił ruszyć na poszukiwanie drogi. Jeśli jakąś znajdzie, będzie w domu. Nawet jeśli nie dosłownie, to na pewno bliżej cywilizacji oznaczającej samochody, jedzenie i spokój. Przeżyje nawet spotkanie z prezesem Radeckim,

w końcu to nie on pragnął efektownego *coming outu*, tylko stał się ofiarą szaleństwa hrabiego, czyż nie?

Każdy kierunek był dobry, ale postanowił podążać dalej marszrutą wytyczoną przez hrabiego. Jeśli wiodła na Wrocław, to prędzej pojawią się otaczające je miasta i miasteczka, schludne, uregulowane, nudne, ale za to z pewnością mające komunikację, sklepy, a także gromady lokalnych wampirów czy innych nie ludzi.

W południe, kiedy już powoli rozglądał się za miejscem na krótki odpoczynek, nagle usłyszał brzęczenie. Pszczoły. I to nie jedna, nie dziesięć, tylko setki, tysiące pszczół.

Barć! Gdzieś tu był leśny ul! A to oznaczało pyszny, zdrowy miód!

Nic nie mogło zastąpić krwi – oczywiście poza preparatami produkowanymi specjalnie na potrzeby wampirów. Jednak cukier zawarty w miodzie także dawał się trawić bez kłopotów, a nawet z przyjemnością. No i w ten sposób sekretarz oszczędzał zapasy. Nie rozwiązywało to co prawda problemu małego zapasu pigułek, dzięki którym mógł się mierzyć z efektami działalności słońca, ale czasem lepiej postawić jeden krok niż stać w miejscu.

Pszczoły brzęczały jak szalone. Podążał spojrzeniem za nimi i wkrótce dostrzegł dziuplę w dębie na wysokości może trzech metrów. Rzucił plecak na ziemię i szybko wspiął się tam, ignorując owady. Wyrwał sporą grudę miodu przemieszaną z woskiem, zeskoczył na dół i zjadł go, nie patrząc, że pszczoły go kęsa, bezczelnie odwracając rolę – bo to on powinien kęsać, a nie być kęsanym. Miód, prawdziwy miód bez żadnych wspomagaczy, dodatków, sztucznych kolorów, był po prostu pyszny.

W przeciwieństwie do pszczół. Szybko wypluł tych kilka, które zaplętały się pod językiem.

Dopiero kiedy opadł poziom adrenaliny, poczuł ból w lewej ręce, którą oganiał się przed rozeźlonymi owadami. Kilkadziesiąt żądeł trafiło celu.

– Aaaa!

Pomachał ręką, próbując ją ochłodzić, bo wydawała mu się coraz bardziej rozpalona. Puchła jak oszalała. W takim tempie za chwilę zrobi się gruba jak dąb Bartek. Czyżby miał alergię na pszczeli jad?

Ale przecież nigdy nie słyszał, żeby jakiś wampir doznał wstrząsu anafilaktycznego, o śmiertelnych wypadkach nie wspominając.

– No to mamy problem – mruknął.

Zawsze musi być ten pierwszy raz. Chociaż jeśli nie dotrze do cywilizacji, raczej prędko nikt się nie dowie, a jeśli padnie tu i zwierzęta ogryzą jego kości jak tego nieszczęśnika, którym hrabia próbował sekretarza nakarmić w nocy, to w ogóle nikt nie pozna prawdy. Może tylko za milion lat jakiś archeolog stwierdzi, że równolegle występowało kilka gatunków człowieka, a nie jeden...

Żywszym krokiem ruszył w drogę. A ręka puchła coraz bardziej...

Następnych kilka godzin przedzierania się przez las, który zdawał się rzednąć, ale w tempie niewystarczającym dla głodnego i obolałego wampira, było koszmarem. W pewnej chwili nawet stanął, oparł głowę o pień jakiegoś młodniaka i pomyślał, że jak umierać, to tylko pod polskim dębem.

Niespodziewanie w nozdrzach zakręcił mu dym. Wiatr niósł zapach spalanego w piecu węgla! A zatem gdzieś tu byli ludzie! Z nowymi siłami ruszył w stronę, skąd wiatr przyniósł tę rozkoszną woń... i po chwili zobaczył łąkę, a za nią rysowały się sylwetki dwóch niskich chałup oddalonych od siebie może o sto metrów. Gdzieś w dali terkotał traktor. Wieś! Prawdziwa polska sielska wieś!

Tu trzeba wyjawic straszną prawdę: to, co nie udało się hrabiemu, który – jak widać – używał złych, przestarzałych metod pedagogicznych – udało się pszczołom. Zły, obolały Vargas łaknął jedzenia. Krwi. Nie był – jeszcze – gotów na zaatakowanie człowieka, jednak owca, krowa czy koza nie mogły się w tej chwili czuć bezpieczne. A nawet i wiejski kundel powinien się ukryć w budzie i za nic nie pokazywać.

Wyszedł z lasu i ruszył w stronę chałupy, z której komina wciąż buchał dym, jakby palili tam węglem najgorszego sortu.

Był już w połowie drogi, kiedy naprzeciw wyszedł mu jakiś mężczyzna z siekierą. Wampir podązał ze słońcem za plecami, więc mężczyzna z pewnością nie widział go wyraźnie. Przystanął, osłonił oczy ręką i... przeżegnał się nagle. Nie żeby to jakoś przstraszyło Wargasa: to tylko literacka projekcja, że wampiry boją się krzyża. W rzeczywistości ten ruch tylko im pomógł, zabierał ofierze kilka

sekund, podczas których prawdziwy krwiopijca miał szansę ją dopaść.

Bardziej go to zdziwiło. Widać ci spece z Hollywood muszą jeszcze popracować nad mentalnością polskiej wsi.

– Komornik! – wrzasnął nagle mężczyzna. – Matka, komornik przyjechali!

I na chwiejnych nogach popędził w stronę zabudowań.

Przeglądając jak co dzień raport na temat polskich wampirów przygotowany przez Bergamutka, Radecki nagle zmarszczył czoło. Nie miał dzisiaj głowy do codziennych spraw.

Atak na fabrykę preparatów krwiopochodnych? Co to w ogóle jest?

– Jakież konkrety?

– Napastnicy zostali odpędzeni – wyjaśnił Bergamutek, z namysłem pocierając brodę. – Zgodnie z dyrektywą niedopuszczania do sytuacji grożących zainteresowaniem mediów. Nie ma sprawców, nie ma policji, nie ma sprawy – westchnął.

Widać nie był przekonany, że pozwolenie sprawcom na ucieczkę było najlepszym pomysłem.

– Lepiej było ich przesłuchać. – Radecki z niezadowoleniem pokręcił głową.

Może i lepiej, ale przecież sam podpisał tę dyrektywę. Przyjdą tacy sprawcy ponownie, znów dostaną łomot, przecież nikt nie wygra z wampirem. Ale gdyby się, nie daj Boże, pojawiły trupy albo chociaż zaszła konieczność hospitalizacji, to zawsze ktoś może się zainteresować samą fabryką. I dojść do sedna: że co prawda produkuje różne preparaty, ale ich dystrybucja, cóż... wygląda dosyć niezwykle. Zasada ta obowiązywała we wszystkich przybytkach prowadzonych przez i dla wampirów.

Odprawił Bergamutka, zajął się swoimi sprawami, jednak nie dawało to spokoju marszałkowi. Kiedy pojawił się Szumilas, marszałek opowiedział mu o tym.

Sekretarz wzruszył ramionami.

– Czasy ciężkie, może ktoś chciał coś ukraść, normalka.

– Ale oni byli zorganizowani. – Radecki stuknął palcem w dokument. – To właśnie nie daje mi spokoju. Może to nie przypadek, tylko celnie wymierzone uderzenie? Próba odcięcia nas od jedzenia, zakłócenia dostaw? Pamiętasz tę informację o wycofaniu się niemieckiej firmy z giełdy? Może to się jakoś łączy?

– To bez sensu, bo przecież dla zombiaków i ghuli też tam mamy linie produkcyjne – zaprzeczył Szumilas, łapiąc wreszcie myśl Radeckiego, bo dotąd nie wiedział, dlaczego to ma być jego sprawa, a nie tego przeklętnika Bergamutka.

– Niby racja, ale może oni, wiedząc, że coś takiego nastąpi, zrobili zapasy i nie boją się chwilowego przerwania dostaw? – myślał głośno Radecki. – No bo tak na chłodno, zastanów się, jeśli przyjął zasadę *cui bono*, czyli kto ma odnieść korzyść, to kto najbardziej może skorzystać, co? Odetnij wampiry od krwi i przetworów, zmusz do ssania, bo głodny wampir to zły wampir, nie? Doprowadź do debaty z takim złym, wygłodzonym wampirem... Jak to będzie wyglądać w telewizji? Zły, nerwowy, agresywny – wyborcy nie będą wiedzieć, że na głodzie. Ale ty wiesz, bo sam nie jesteś człowiekiem, więc znasz to dobrze.

– Ma to sens – przyznał z wahaniem Szumilas. – Zajmę się tym.

Stary Hedo również nie wierzył w przypadki. Wierzył w sznurki, które prowadzą do czyjejs ręki. Mogła być brudna albo czysta, polska, obca, ludzka lub nie, ale z reguły za takimi czynami stały jakieś intencje. Nie ma takich przypadków, że jedzie sobie grupa odzianych w kominiarki złodziei, wjeżdża na prywatny teren, nie zauważając oznakowań, a kiedy dociera pod zamkniętą bramę, to sobie uzgadnia: „Fajnie, to jak już tu jesteśmy, to sobie napadniemy tę fabrykę”. To nie Monty Python. Zlecenie Radeckiego nie zdziwiło go więc wcale, choć gorzkie rozmyślenia prowadził ostatnio z innego powodu: Joanny. Kiedy oglądał zdjęcia z Galerii Katowickiej, sprawa wydawała się prosta, choć bolesna: Ponimirski przygotował pułapkę, w którą jego córka wpadła i zginęła. Hedo, prowadząc podziemne sprawy polskich wampirów i będąc w istocie

wielowymiarową służbą specjalną, rozumiał, że czasem ktoś zginie albo zostanie inwalidą i że jego rodziny to nie oszczędzi.

Jednak sensu wypadku, w którym Joanna nie zginęła, tylko w niezrozumiały sposób zmieniła przynależność rasową, nie umiał pojąć. A przecież musiało coś za tym stać, jakaś ręka pociągała sznurki i miała w tym cel...

I jeszcze ten Radecki... Zlecając mu zajęcie się sprawą fabryki, spytał niespodziewanie:

– A myślałeś, Włodzimierzu, że hrabia może przestał być wampirem? Też przeszedł przez te lustra, tylko... bezpieczniej?

– Mamy ślad, wciąż go tropimy – zaprzeczył Włodzimierz. – A poza tym to by się kłóciło z jego poglądami, byłby hipokrytą.

– Hrabia Ponimirski *jest* hipokrytą – odparł cierpkim głosem Radecki. – Dlatego właśnie pytam... Myśl, że czując zagrożenie, gotów byłby uciec nam w ten sposób, wcale nie wydaje mi się niemożliwa...

Zasiał jeszcze jedno ziarno wątpliwości w umyśle starego Hedy. Jakby miał mało zmartwień!

Patrząc na Piaskowego, Gabor znów złapał się na tym, że nie umie go wykorzystać. A to wpędzało go w depresję.

Bo przecież jeśli nawet nie jako Jana Gazanowicza, może mógłby go wykorzystać jako likwidatora idiotów ściągających ghulom i wampirem kłopoty na głowę? Podkarmił egipskiego dzinna więźniami, a ściślej, podkarmił zdrajcą, który spiskował z Ponimirskim. Ale Machacz też powinien skończyć tu, w tej skrzyni.

Gabor zgrzytał zębami z wściekłości. Patrząc na piach, myślał, że Machacz w ogóle nie nadaje się na szefa zombi, na wiceprezesa Naszej Ziemi z prawami równymi Daniłowiczowi. Trzeba coś z tym zrobić, może ghule powinny zacząć chodzić własnymi ścieżkami? A zombi do piachu?

Hrabia ani przez chwilę nie zawracał sobie głowy rozmyśleniami, co tam w Warszawie. Parł naprzód jak bardzo zmęczony czołg.

Brakowało mu kogoś, do kogo mógłby się odezwać, a właściwie – słuchacza. Mijane brzozy i świerki miały go w korzeniach, ptaki śpiewały swoje melodie, a wilki się nie pojawiały, jakby skutecznie ostrzeżone. Miał rozmawiać z żabami?

Wargasa brakowało mu także z powodu plecaka. Ciężkie bywały zakupy w Warszawie, a cóż dopiero plecak napchany jedzeniem i innymi niezbędnymi elementami wyposażenia, którego nie miał kto nieść...

Myśl o sekretarzu wywołała jednak na twarzy starego wampira uśmiech. Wciąż pamiętał rozmowę o Elżuni. Cóż... nie wszystko wyglądało tak, jak to zrelacjonował sekretarzowi... Nie kłamał, że zostali oboje adoptowani przez hrabinę Ponimirską, zapomniał tylko wspomnieć, że w gruncie rzeczy Elżunia była nieślubną córką hrabiego. Ponimirski, aby wkraść się w łaski arystokratki, musiał najpierw zamienić w wampira jej córkę, a dopiero przez nią zyskać dostęp do wielkiej damy... I dalej już potoczyło się jak w opowieści. Też nie całej, bo nie dopowiedział sekretarzowi, że próbował Elżunię odnaleźć po tym, jak odeszła z tym przeklętym Prusakiem. Odnalazł jej ślady w Niemczech, potem w ZSRR, a wreszcie w USA... i dopiero tam trop urwał się ostatecznie, a Ponimirski uznał, że nie ma co dalej sobie zawracać Elżunią głowy, trzeba tu żyć i czerpać z tego korzyści oraz przyjemności.

Cóż, ta myśl zrodziła kolejną. Historię piszą zwycięzcy. Jeśli hrabia wygra, to on napisze historię nowych wampirów. Jeśli przegra, opowiedzą jego dzieje tak jak on swemu sekretarzowi... Czyli wyjdzie na szalonego rajfura i nieudacznika, nie zaś na Jerzego Odnowiciela.

Przyspieszył kroku. Czerwona Forteca czekała.

Turczyński palił papierosa i obserwował ludzi przed sklepem rzeźnickim. Zjadłby coś, ale za darmo nie dają, a pieniądze z ostatniej udanej nocki rozeszły się już wczoraj. Na razie dymek musi wystarczyć, póki nie wyhaczy delikwenta, od którego pożyczycy sobie portfel.

Ludzie wchodzili i wychodzili, jak to w mięsnym – tu ruch rzadko zamiera, bo jeść każdy Polak musi, choćby i nie chciał. Ale nie pojawiła się ofiara odpowiednio słaba i zarazem zasobna. Babin wracających ze środka ze zdobyczą w postaci dwóch frankfurtek i dziesięć deka najtańszego pasztetu z tektury przemielonej z pazurami nie brał pod uwagę. Emeryckie emerytury to śmiech, a tylko krzyku toto potrafi narobić...

Nagle ktoś go trącił w ramię. Obrócił się, zaciskając pięść... i w ostatniej chwili rozprostował palce. Koleś, który stał za nim i bezceremonialnie go tykał, miał ze dwa metry wzrostu, kupę mięśni i widać było, że szuka zaczepki.

Patrząc mu w oczy, człowiek góra znów go trącił.

– Co jest? – zaniepokoił się Turczyński. – Masz coś do mnie? – Nagle przyszło mu coś do głowy. – Podeszwa cię przysłał?

Podeszwa rządził, rozdawał robotę, choć w żadnej akcji nie brał udziału. Nawet w podwózce. Dlatego nigdy nie siedział, był sprytny, a jego papuga jeszcze lepszy.

– Sam się wysłałem – odparł z ponurym uśmiechem kolos. Mówił niskim barytonem, jakby wydobywając go z wnętrza góry. – Posłuchaj, kolego – jego dłoń spoczęła na chudym ramieniu Turczyńskiego – dlaczego próbowaliście okraść tę fabrykę w poniedziałek?

Turczyński nagle poczuł, że się zapada. To nie był strażnik, ale ktoś, kto wiedział... i ich odnalazł. Psiakrew!

– Nic nie wiem. Ja w poniedziałek piłem!

– To może później – ugodowo stwierdził olbrzym. – Ale wiemy, co wcześniej robiłeś...

Popatrzył na Turczyńskiego, a jego ręka zaczęła wciskać człowieka w ziemię.

– Mnie nie interesuje zgłoszenie na policję, chcę wiedzieć, kto i dlaczego wam tę robotę nadał. Jasne?

Widząc zerowe szanse oporu, Turczyński wyśpiewał wszystko.

Miałeś rację: to nie przypadek.

Hedo usiadł na fotelu i z ponurą miną zaczął się bawić długopisem. Ten kręcił się między jego palcami jak giętki wąż, który może ukąsić – ostrą końcówką. Długopisem można by zabić, porównanie wcale nie było niedorzeczne. Hedo jednak w tej chwili po prostu zajmował czymś palce. Wszelkie próby zmienienia Joanny nie dawały żadnego wyniku. Dziewczyna nie opuszczała siedziby rodziny, a najchętniej zamknęłaby się w pokoju i umarła, tym razem naprawdę.

– Czyli...? – W głosie Radeckiego pojawiło się zaniepokojenie.

– Taki jeden koleś ubzdurał sobie, że jak tak stoi w szczerym polu fabryka, i to raczej strzeżona, to tu produkuje się narkotyki, a krew jest tylko pretekstem. Taki zabawny Podeszwa, wiesz, domorośły *capo di tutti frutti*. – Hedo uśmiechnął się okrutnie. – No cóż, nasi go trochę zdeptali...

– No to problem z głowy.

– Raczej tak – stwierdził dziwnym tonem Hedo. – Przynajmniej ten jeden... Bo widzisz, koleś sobie to ubzdurał podpuszczony przez ludzi z Naszej Ziemi. Gabora albo Machacza.

Spotkali się w restauracji Włodzimierza, chociaż Daniłowicz długo narzekał. Atmosfera była nerwowa, bo poszukiwania Ponimirskiego utknęły, kampania biegła jak szalona naprzód, każda rozmowa niosła ze sobą ryzyko oddania punktów przeciwnikowi. Radecki trzy razy zapewnił go, że *ta* rozmowa nie będzie nagrywana ani podsłuchiwana i że nikt się o niej nie dowie. Własnymi zapewnieniami uwiarygodnił to gospodarz.

Marszałek miał do ghula jedno proste pytanie. O fabrykę. Nie krył, że Włodzimierz dotarł do sprawców, a ci wskazali rękę, która...

– To nie moi... – mruknął oschle Gabor. – Nie zniżyłbym się do takich metod.

Radecki uniósł brew. Jak na ghula, było to bardzo oszczędne przyznanie, że wie albo przynajmniej domyśla się, kto może stać za zamachem. Choć z drugiej strony, jeśli nie ghule...

– Machacz?

– Za rękę go nie złapałem – ostrożnie stwierdził Daniłowicz. – Ale poszlaki są...

Zrelacjonował Radeckiemu ostatnią rozmowę z wiceprezesem zombi.

– Myślę, że fabryka miała być ostrzeżeniem – podsumował. – Mogli zniszczyć, ale nie chcieli. Coś się stało, może jego neurotyczna natura dała o sobie znać?

Radecki tylko kiwał głową. Myślał podobnie. Co za idiota z tego Machacza. Źle mu patrzyło z pyska i wszystkie uprzedzenia do niego się akurat sprawdziły...

Pojechał od razu, tylko z kierowcą. Przebili się przez Wisłę i skierowali na Grochów.

Machacz mieszkał przy ulicy ks. Jerzego Strupa, co Radeckiemu dotąd wydawało się zabawne. Teraz jednak stwierdził, że zbyt wąskie uliczki, kompletnie pozbawione latarni, powinny raczej nosić miano Stłuczka czy Urwista (od urwanego błotnika).

Dopiero potem przyszło mu do głowy, że może brak oświetlenia nie jest sprawą przypadku. A jeszcze później, że może powinien się tu pojawić z obstawą uzbrojoną po zęby, żeby żadnemu zombi nie przyszło do głowy wcielić komiksowych historii w życie.

Na jego widok Machacz bardzo się zdziwił. Nie był sam, Radecki nie zamierzał jednak sprawdzać, jakiej rasy czy płci stworzenie ukrywa się w łazience. Od razu przeszedł do rzeczy. Przechylając się w przód, bo kanapa, na której posadził ich zombi, wydawała się stanowczo zbyt miękka, wycedził:

– Spróbuj jeszcze wyciąć mi jakiś numer, a odwołam się do zachodnich, rozumiesz?

Machacz próbował utrzymać na twarzy spokój, ale mu nie szło. Powieka zaczęła mu drgać nerwowo. W ogóle wydawał się zażenowany sytuacją, siedział przed Radeckim w szlafroku, jakby w drzwiach spodziewał się ujrzeć kogoś zupełnie innego – dobiórkę do trójkąta, a nie szefa wampirów?

– Ale o co chodzi? – wybąkał.

– Fabryka osocza. – Radecki wbił w niego wściekłe spojrzenie. – Ty wiesz, ja wiem, inni też wiedzą. Tylko ludzie nie wiedzą, ale jeśli trzeba będzie...

– Chyba nie powiesz ludziom? – zaniepokoił się zombi, nerwowo poprawiając szlafrok.

– Nie wszystkim – warknął Radecki, zaciskając pięści. – Tylko kilku!

Wstał. Czuł, że jeśli ta rozmowa będzie się przedłużać, wyniosą stąd czyjegoś trupa.

– Ja ci niewiele mam do powiedzenia, Machacz. Jeśli chciałeś mnie postraszyć, to ci się nie udało. Więc lojalnie i prosto w oczy ostrzegam: jak wytniesz mi kolejny numer, wyczyszczę cię bez skrupułów, mimo żeś mi brat po stronie mroku. Możesz sobie odreagować w jakimś komiksie, stripie albo czymś, ale jeśli dowiem się o czymś podobnym w realu, to cię ciemną nocą odwiedzą złe sny – zakończył.

Mina Machacza mówiła, że gorączkowo się nad czymś zastanawia. I tu Radecki się nie mylił: szef polskich zombi gorączkowo kombinował, jak odwołać pewne zaplanowane już wydarzenie, opłaconego zleceniobiorcę... i uciszyć aferę, która niechybnie go pograży...

Tej nocy mało spali. Radecki leżał zamyślony, a jego bezsenność udzieliła się Mariannie. W końcu przekreśliła się w jego stronę, wzięła go za rękę.

– Powiesz mi, o co chodzi?

– Nie ma sensu. Śpij, Mari.

– Jak się wierzisz, nie mogę.

– Przepraszam, pójdę do gabinetu.

Zebrał swoje rzeczy i ruszył w stronę pokoju, gdzie będzie mógł spędzić resztę nocy albo przysnąć na fotelu.

Nienawidził takich chwil bardziej, niż był się gotów przyznać komukolwiek, także Mariannie. A może szczególnie jej. „Starzeję się”, pomyślał z goryczą.

Prawdziwy socjaldemokrata powinien czuć tłumy jak własną nerwę: zawsze wiedzieć, kiedy coś boli.

Driller nerwowo przestępował z nogi na nogę przed mównicą. Nie posiłkował się kartką, potrafił mówić z głowy, ale albo głowa nie ta, albo wyborcy nie ci – tłum na rynku w Płocku wykazywał niewielki entuzjazm, choć pięć minut wcześniej polityk obiecał w przemówieniu specjalne dofinansowanie dla miast, które niesprawiedliwie, w wyniku nieudanej reformy administracyjnej, straciły status miast wojewódzkich.

– I musimy się zjednoczyć – kończył swoje przemówienie. – Musimy ograniczyć niszczący wpływ Partii Demokratycznej i Naszej Ziemi na nasze życie, a jeśli się da, nawet wypchnąć ich z parlamentu. Pamiętajcie: tylko socjaldemokracja jest z wami, rozumie wasze problemy! Liczę na was, kochani, liczę, że wesprzecie nas swoimi głosami i pozwolicie osiągnąć przynajmniej dziesięć procent w wyborach...

Tłum nadal był chłodny. Za to dziennikarze gorący. Driller popatrzył na nich. Pora wyciągnąć asa. No, może waleta, ale za to z pretensjami do bycia co najmniej królikiem.

– Jeśli się nie uda, cóż, będzie to oznaczać, że socjaldemokracja jest niepotrzebna, że nie chcecie, aby ktoś bronił waszej pracy przed kapitalistycznymi pracodawcami. Bronił tolerancyjnego społeczeństwa... Jeśli tak, przyjdzie mi odejść ze świata polityki, bo nie widzę w nim dla siebie miejsca, jeśli miałbym przestać być socjaldemokrata!

Żegnany lichymi oklaskami zszedł z trybuny i ukrył się w namiocie.

– Ale to tak naprawdę? – zaniepokoił się jeden z działaczy, popijając pospiesznie kawę z plastikowego kubka. – Towarzysz prezes nas opuszcza po wyborach?

Driller pokręcił głową.

– Nic z tych rzeczy, nie wybieram się na razie na emeryturę, ale jakoś musimy mobilizować ten nasz wąty elektorat. Chłodni są, słabo się staracie. – Spojrzał z pretensją na działacza.

Ten opuścił głowę. Bał się powiedzieć, że elektorat, widząc luksusowe limuzyny, a tu w Płocku ustawki z miejscami pracy i przetargami dla swoich, zastanawiał się, czy zamiast głosować, lepiej nie wyjechać do Irlandii. Na Wyspach były już całe miasta niebudzi...

Nagle zobaczył światła... Światła? Czyżby już Wrocław? Uff, wreszcie! Ręka bolała coraz bardziej, czuł się słabo, więc te przedmieścia to będzie jak dotarcie do oazy... Puścił się biegiem, starając się nie poddać ciężarowi plecaka.

– Aaaaa! – krzyknął nagle, kiedy poczuł pod nogami pustkę, powietrze.

Na szczęście lot był krótki, wylądował na dnie wykrotu i to go otrzeźwiło. Zaklął.

Nie było żadnego Wrocławia, wciąż był w lesie, metaforycznie i dosłownie. Przekłete pszczoły...

Cóż, jak ktoś chce się dostać do miodu, musi mieć grube futro. Albo skazać się na cierpienie. Małe wredne pszczołki mają jeszcze bardziej wredne żądła i czy wampir, czy człowiek, czy zwierzę, nikomu nie podarują.

Joanno?

Milczenie. Najstraszniejsze milczenie na świecie, cisza, która zabija: milczenie córki, która stała się żywym trupem. Może to paradoksalne, gdy mowa o wampirzycy, która nagle stała się człowiekiem, jednak Włodzimierz Hedo nie dostrzegał w tym niczego zabawnego, milczenie córki napełniało go strachem, a nawet przerażeniem. W ostateczności poradziłby sobie ze świadomością, że stała się inna – kobiety zawsze, bez względu na rasę, są odmienne od mężczyzn. Jednak to, że po przemianie zapadła się w siebie, zamknęła w swoim bólu, nie chciała z nikim rozmawiać, patrzyła w okno albo wbijała martwy wzrok w jakiś przedmiot, z punktu widzenia jej ojca wybrany całkiem dowolnie – budziło w nim taki strach, jakiego nie potrafiłby zapewne wzbudzić największy wróg. Ten co najwyżej by go zabił: krótsza czy dłuższa chwila bólu, cóż to ma za znaczenie? Teraz zaś musiał patrzeć na córkę, która była martwa, żyjąc. Jej pokój przypominał katakumby pełne szkieletów.

– Joanno, musisz jeść i... żyć – przekonywał.

Podszedł do fotela, w którym siedziała, i łagodnym gestem położył jej ręce na ramionach. Potrafiły być ciężkie niby ołowiane słupy, dociskać wroga do ziemi, ale teraz... zdawały się ważyć tyle co garść waty. Mimo to Joanna wzdrygnęła się jak pod nieznośnie wielkim ciężarem. Cofnął ręce, czując, jak znów przeszywa go straszliwy ból.

Nie odezwała się, nie spojrzała na niego. Stał jeszcze chwilę, doświadczając własnej niemocy, wreszcie ruszył do wyjścia. Przypomniawszy sobie, jak wychodziła w „celach wywiadowczych” na spotkania z Sebkiem. Ileż by dał, żeby teraz znów mu to powiedziała, wisząc na szyi i pocałunkami wyprasząc zgodę...

Dopiero za drzwiami, w swoim gabinecie, pozwolił sobie na wybuch wściekłości. Gwałtownym gestem zmiótł z biurka papiery, pióra i inne przybory.

– Ponimirski, ja cię w końcu dostanę w swoje łapy. I przysięgam, wtedy posmakujesz tego co ja...

Schylił się z ciężkim sapnięciem i podniósł grubą sosnową deszczułkę, która zwykle służyła jako wskazówka na mapie Polski na jednej ze ścian, po czym złamał jednym ruchem, jak zamierzał złamać kręgosłup temu draniowi, gdy tylko wpadnie mu w ręce. W niczym mu to jednak nie pomogło, substytut nie spełnił swojej funkcji. Był bezradny – i ta bezradność sekunda po sekundzie go zabijała.

Marach prowadził, dwaj pozostali tropiciele podążali za nim, rozstawieni w trójkąt o podstawie długości może dwudziestu metrów. Czuli, że zbliżają się do hrabiego, że jeśli nie dziś, to dopadną go jutro, pojutrze... kiedyś, ale za to na pewno. Nie wymknie się.

Pocieszające też było, że w lesie hrabia ma niewielkie szanse na swój *coming out*, zatem kwestia, czy będą go tropić dzień lub dwa dłużej, nie miała tak wielkiego znaczenia. Marach był zdecydowany nie przerywać marszu, póki nie upolują arystokraty. Raz już zawiódł Włodzimierza, pozwolił się wymknąć ofierze do RPA i rozpląnąć pośród piasków pustyni. Nie da plamy po raz kolejny, prędzej padnie trupem ze zmęczenia.

Nagle zamykający lewą flankę Danaj skrzywił się i przystanął. Dwaj pozostali jeszcze przez chwilę szli dalej, ale wreszcie zatrzymali się, słysząc odgłosy, jakby jakieś dzikie zwierzę zwietrzyło samicę i zaczęło wydawać godowe nawoływania. Tylko że było raczej pewne, iż Danaj nikogo takiego nie zauważył – doprawdy, było to jedno z ostatnich miejsc, w których można by się spodziewać nowoczesnej wampirzycy. No i kiedy podeszli, a on wyszedł zza drzewa, krzywił się boleśnie. Po godach wyglądałby chyba inaczej?

– Opóźniasz! – syknął niezadowolony Marach.

Jeśli nie złapią hrabiego, to na nim swoją złość wyładowuje Włodzimierz.

– Brzuch mnie boli – odparł z niewyraźną miną Danaj. – Musiałem się...

Zrezygnowany machnął ręką. Wiadomo.

– Trzeci raz w ciągu kilku godzin? – Marach spojrzał na niego z pogardą, bo nawet kłamstwo trzeba umieć wymyślić wiarygodne, a nie sprzedawać taki tani kit z nadzieją, że ktoś weźmie go za sushi. – Żresz co popadnie, to masz za swoje. O wszystkim zamelduję Włodzimierzowi, rozumiesz?

– To te preparaty witaminowe, krew się widać zepsuła... Może ktoś już nosił, potem oddał do magazynu... i dlatego nieświeże..

– Akurat! – warknął Marach. – Nosimy je tydzień, a mają miesięczny termin ważności w polowych warunkach! Nie masz prawa się zatruć, jakby co, to my też byśmy zdychali! Lepiej powiedz, kto wczoraj wieczorem zniknął niespodziewanie? Co to było, sarenka, zajaczek czy jakiś gryzoń? – Z ironią spojrzał na towarzysza. – No, nie poszedł ci na zdrowie...

– A gdzie tam! – skrzywił się boleściwie Danaj.

– Może zajaczek był chory, a ty go zezarłeś! – syknął Marach, kończąc dyskusję. Spojrzał z ukosa na towarzysza. – Chyba że to była żaba?

– Wypraszam sobie żabę! – jęknął z oburzeniem tamten. – To był...

Marach pokiwał tylko głową nad upadkiem swego towarzysza.

– Idziemy dalej. Nie chcę wiedzieć, co ci zepsuło żołądek. Sam widzisz, my już jesteśmy miejskie, cywilizowane wampiry, jedzenie naturalne nam szkodzi.

I żeby zademonstrować w praktyce, na czym polega różnica między cywilizowanym wampirem a dzikusem kryjącym się w ruinach i w niedostępnych człowiekowi miejscach, wyjął z plecaka butelkę krwi najwyższego gatunku i zdrowo łyknął.

– Dalej. – Starannie zakręcił butelkę. – Hrabia nie czeka, aż odpoczniemy!

Driller spieszył się na wieczorną debatę telewizyjną, wracał z kolejnego wiecu. Krótka odprawa w siedzibie Unii, przygotowanie w gabinecie – „i trzeba ruszać, rozwalić to towarzystwo, jego samozadowolenie”, myślał podniecony wiecową atmosferą.

Wysiadł na wewnętrznym parkingu, sięgnął po teczkę do auta, kiedy doszło do incydentu. Niespodziewanie zaatakował go nieznany osobnik, próbując z rozmachem wbić w polityka nóż. Towarzyszący mu kierowca zdołał zareagować, przyjął cios na siebie, a właściwie na trzymany w ręku gruby płaszcz. Driller w tym czasie uciekł do samochodu i zatrzasnął drzwi. Napastnik natychmiast zbiegł pomimo zamkniętej bramy. Nie udało się go pochwycić, rozplynął się na ulicach.

Godzinę później na tym samym podwórku, w otoczeniu tłumu dziennikarzy i telewizyjnych reporterów, w transmisji na żywo, blady, roztrzęsiony Driller mówił:

– Może nie wygramy, ale jedno jest pewne: niech nasi przeciwnicy nie liczą, że bez walki oddamy im Polskę, żeby nadal ją rozkradali, niszczyli, wysysali z niej wszystkie żywotne soki. Jeśli chcecie zmian, Polacy, chcecie oderwać od władzy te pasożyty, te pijawki: głosujcie na Unię Społeczną.

– Idiota! – szeptał wzburzony Gabor w swoim domu oglądający tę relację na żywo, bo kiedy TVN24 zapowiedział relację live z konferencji prasowej Drillera, jego telefon niemal się zagotował od powiadomień. – Czysty idiota!

Ze smutkiem stwierdził, że uprawianie polityki w Polsce staje się coraz bardziej bezwzględne i krwawe...

Równie gorąca linia od kilkunastu minut prowadziła do domu Radeckiego. Ten zacisnął zęby, bo musiał przeprosić Mariannę, mimo że dosłownie godzinę wcześniej obiecał jej wieczór bez logowania się do polityki. W zaciętym milczeniu oglądał relację, a kiedy się skończyła, wybrał numer Machacza. Nie zamierzał fatygować się osobiście, nie było po co. No i ta ciemna ulica...

– Słuchaj, gnoju – zaczął, kiedy zombi odebrał telefon. – Zlekceważyłeś moje ostrzeżenie, więc mam do powiedzenia tyle: wicepremierem już nie będziesz, chyba że sobie te wybory wygrasz.

U mnie masz krechę do końca życia, mojego albo twojego. I jeszcze jedno: do wyborów nie zamierzam wzywać nikogo z Federacji, więc usiądź na dupie i nic nie rób. Policzymy się po fakcie, rozumiesz?

Wziął głęboki oddech.

– I módl się, dupku, żeby mu sondaże nie skoczyły tak, że jego Unia wygra wybory albo wskoczy na wasze miejsce.

Nie należało tracić z oczu właściwej perspektywy: większości nieludzi wcale nie obchodziły wybory, kampania, media i cała reszta tej zawieruchy podnoszącej się co kilka lat. Nie, większość nieludzi, podobnie jak ludzi, żyła sobie spokojnie, starając się bogacić i unikać kłopotów. Nieludzi sprawy polityki rozumianej trochę szerzej niż kwestia, kto będzie rządzić lub zajmie stołki w sali sejmowej, a kto wypadnie z obiegu przynajmniej do czasu następnej kampanii, zapewne zaczęłyby żywo obchodzić dopiero w chwili, gdyby ktoś z sejmu lub rządowej mównicy wysłał na nich szeregi ludzi z widłami, pistoletami i resztą arsenału.

Oznaczało to tyle: pomimo trwającej kampanii Radecki musiał każdego dnia znaleźć sporo czasu na sprawy bieżące. W tym – sąd. Bergamutek, który się tym zajmował, czasem wchodził też w rolę sędziego w zastępstwie marszałka, gdy ten nie znajdował czasu.

Bywały jednak kwestie, których Radecki nie mógł przekazać komuś innemu. Patrząc na podetknięte kartki, gryzł teraz wargę w skupieniu, podczas gdy sekretarz stał obok. Może i dobrze, po nieudanym zabójstwie Drillera, a przed telewizyjną debatą potrzebował czegoś na przetarcie i uspokojenie.

– Co to jest? Dlaczego ona to zrobiła? – prychnął wreszcie, stukając zagiętym palcem w kartkę.

Raport opisywał starszą kobietę z gdańskiej stacji krwiodawstwa, która – korzystając z nieobecności koleżanki i samotnego pełnienia dyżuru – pobrała od honorowego dawcy dwa razy więcej krwi, niż powinna. Ten zemdlał po wyjściu ze stacji, na szczęście nie wpadł na pomysł, że maczały w tym zęby jakieś wampiry, tylko uznał, że jest w kiepskiej formie i stąd osłabienie. Ale odpowiednie służby doniosły o zdarzeniu, dodając w raporcie, że prawdopodobnie nie

był to pierwszy taki incydent z Gołaszewską, chociaż pierwszy zgłoszony...

– Słaby materiał na nowoczesnego wampira – westchnął sekretarz.

Radecki pokiwał głową. Nic nie powiedział, zamyślił się. Pomyślał o wołowinie z Kobe. A potem o tym, że niektórzy zamiast wołowiny widzieliby... taką czerwoną górkę na deseczce z palisandrowego drewna...

Z trudem odsunął od siebie tę myśl. Co z tego, że bycie nowoczesnym wampirem wymagało wyrzeczeń? Za to nie musieli unikać wideł, czosnku, sypiać w jakichś dziurach, mogli chodzić w świetle słońca, a nawet rządzić całymi krajami! Jeszcze parę pokoleń i to ludzie zostaną zepchnięci do stajni jako druga kategoria obywateli!

– Cóż, nie możemy ryzykować – stwierdził z niechęcią, kreśląc dyspozycję i podpis na raporcie. Wymierzanie kary, bycie sędzią nie sprawiało mu przyjemności, choć rozumiał, że to konieczne, jeśli ma panować porządek. – Z robotą się musi pożegnać, złoży wypowiedzenie jutro, dopilnujesz tego. A potem areszt domowy, co najmniej miesiąc, ścisła dieta. Jak to odbębni, pošlemy ją na jakąś misję do Afryki, tam nikomu nie zaszkodzi.

Sny. Ludwik zaczął się ich bać. Dotąd trafiały mu się rzadko, bo cóż leśny ghul może mieć za sny? Że stał się sarną i rączo pomyka przez niewysokie trawy? Jednak od niedawna działy się dziwne rzeczy, a ostatni sen bardzo go zaniepokoił. Zburzył spokój budowany przez lata, odkąd opuścił korporację, gabinet z tabliczką „Key Account Manager”, mieszkanie na Saskiej Kępie, by poszukać spokoju na przedmieściach, a wreszcie Warszawę, by osiąść w lasach między Wrocławiem a Poznaniem.

Obudził się o świcie z poczuciem, że coś jest nie tak. Nie był to sen – noc nie przyniosła niczego takiego, raczej niespokojną drzemkę z trudem pozwalającą odpocząć – jednak przeciągając się w swojej kryjówce, miał narastające przekonanie, że to nie będzie

dobry dzień. Od razu wyskoczył spod korzeni i ruszył cicho, acz dziarsko w stronę polany.

Noc już odeszła, wciąż jednak pozostał po niej chłód i krople rosy tak zimne, jakby się dotykało gałki lodów. Ludwik po cichu sunął swoją zwykłą trasą, nasłuchując. Las dopiero budził się do życia, nie było nic niezwykłego.

Miał takie miejsce, z którego lubił obserwować swój cmentarzyk, swoją polanę, okno w czasie – jak nazywał to miejsce. Dwa drzewa niemal zrosnięte pniami, rozchodzące się na wysokości barków człowieka, dawały oparcie komuś, kto wtulił się między nie, wykorzystując grube splątane korzenie jako siedzisko.

Przez jakiś czas obserwował grę promieni słonecznych igrających na źdźbłach trawy i gałązkach kilku małych brzoź. Potem... chyba po tej niespokojnej nocy na chwilę przysnął.

Zbudziło go delikatne drżenie ziemi, jakby jakieś zwierzę stąpało ostrożnie. Nie ruszał się, ciekaw, co to za stworzenie. Ale kiedy wciągnął nosem powietrze – od razu wyczuł wampira!

W istocie, jakieś trzy metry dalej po prawej dostrzegł nieczłowieka, ubranego w spodnie i kurtkę w barwach ochronnych, który przystanął na skraju polany, czujnie rozglądając się wokół.

Ghul, ubrany tak, że naprawdę trzeba by wiedzieć, gdzie się skrył, aby wyłowić go z otoczenia, wtopił się w pnie, wtulił mocno. Może go zdradzić tylko zapach, ale bliskość cmentarza, kości partyzantów z pewnością utrudnią zadanie krwiopijcy.

Tak też się stało. Wampir ostrożnie wkroczył na polanę, a potem przeciął ją, wędrując dalej na północ. Ghul odprowadzał go wzrokiem, gorączkowo próbując się domyślić, co też tu przywiodło stworzenie, które z natury swojej nie gustowało w lesie. Z pewnością nie grzyby. Może wampir kłusował z dala od swoich pobratymców?

Dla porządku odprowadził go potem kawałek, sprawdzając, czy wyjdzie poza jego teren, czy też zawróci, ale kiedy wampir uparcie zmierzał na północ, Ludwik z westchnieniem ulgi wrócił do siebie.

Ulga była jednak krótkotrwała. Myśl, że ktoś naruszył jego strefę komfortu, wypracowaną z takim trudem, nie dawała mu spokoju...

Całe szczęście, że Radecki mógł uczestniczyć w tej debacie wyborczej, bo sztabowi udało się tak rozszerzyć formułę dyskusji przedstawicieli partii, aby obok naturalnego kandydata ze strony Partii Demokratycznej, czyli premiera, mógł jeszcze uczestniczyć drugi polityk. Jako marszałek i zarazem szef partii Radecki miał co najmniej równą pozycję, więc mógł pilnować, żeby Długoszewski nie nagadał głupot. A w chwili gdy rozmowa zeszła na tematy współpracy międzynarodowej, o której ten dureń nie miał pojęcia, przechwycić rozmowę.

– Ależ pozwólmY przemówić panu premierowi! – przerwał mu po minucie z szyderczym uśmiechem Daniłowicz, wychylając się ze swego siedzenia, żeby być bardziej widocznym dla prezydentki.

Ta zwyczajnie przestała ogarniać dyskusję. Wciąż razem z pomocnikami kontrolowała czas, aby nie narazić telewizji na skargi, ale zapanować nad odpowiedziami nie była zdolna. Zresztą nie miała szans.

– To także moje kompetencje – powtórzył Radecki, patrząc w kamerę.

Na szczęście kamerzysta był wampirem, wiedział, co zrobić. Od razu złapał Radeckiego, filmując go w korzystnej pozie. Prawie tak, jakby przemawiał do narodu. Cóż, jeśli wyleci, szef znajdzie mu posadę zdolną zrekompensować kłopoty.

– Pan premier pozwoli, prawda? – Radecki spojrzał pytająco w stronę Długoszewskiego. Ten skinął głową, więc już spokojnie kontynuował: – Obojętnie, co sądzi na temat porozumień międzynarodowych nasz koalicjant – zerknął z ukosa na Daniłowicza, a potem przeniósł wzrok na Machacza i jego spojrzenie nabrało niedobrego blasku – czy też co podejrzewa i sugeruje opozycja w rodzaju Unii Społecznej, nie jest naszym celem prowokowanie konfliktów, chociaż powinniśmy pamiętać o naszych interesach. Jednak zasada „im gorzej, tym lepiej”, którą w swojej wypowiedzi zdawał się sugerować przedstawiciel Unii, to w dłuższym czasie odcięcie się od korzystnej współpracy, od finansowania projektów, na które sami nigdy nie zdobędziemy środków...

Driller wydawał się wściekły. Podniósł rękę, sygnalizując dziennikarce, że chce się odnieść do słów Radeckiego. W pierwszej turze zamiast odpowiedzi wciąż wracał do nieudanego zamachu, powtarzając kwestie z konferencji na żywo. Chciał grać tą kartą do końca, tymczasem dziennikarka mu nie pozwalała.

Teraz zawahała się: oczywiste prawo do repliki stało przeciwko timerowi i kolejności wypowiedzi.

Wreszcie podjęła jedynie słuszną decyzję. Była człowiekiem, ale miała swoich zwierzchników. Prędzej wyleci za „brak profesjonalizmu” ściśle powiązany z brakiem faworyzowania właściwych kandydatów niż za prawdziwe czy urojone błędy.

– Kolej na przedstawiciela Polski Razem. Czy uważa pan...

Radecki z triumfalnym uśmiechem obserwował skwaszone miny Daniłowicza i Drillera. Uff, jakoś przebrną przez tę dyskusję wyborczą, o ile w ostatnim kwadransie Długoszewski nie palnie idiotyzmu, do czego zawsze był zdolny...

A z Machaczem rozliczy się na czysto, niech tylko wyborcy wrzucą głosy do urn...

Przez cały dzień Ludwika wprost nosiło. Co robił wampir – i to samotny! – pośrodku gęstego lasu? Szukał kogoś?

Legandy głosiły, że zanim wampiry się ucywilizowały, część z nich miała w takich właśnie leśnych ostępach swoje miasta, kryjówki, gdzie ranne mogły się regenerować, a nawet zasypiać na lata. Kryjówki, do których nigdy nie trafił człowiek... Jednak z pewnością nie było czegoś takiego w tej okolicy. Ludwik znał każdą piędź ziemi w promieniu przynajmniej kilkunastu kilometrów od swego schronienia. A w ogóle uważał, że to tylko podanie podtrzymywane przez wampiry z powodów sentymentalnych, jak ludzkie legendy o miejscach w rodzaju El Dorado.

Nerwowo krążył po swoim terytorium, inaczej niż zwykle, rozwijającą się mandalą poszerzając jego zasięg, ciężąc w stronę, z której przyszedł ten zagadkowy wampir. Dotarł nawet do miejsca, gdzie kryło się niewielkie i mocno zagadkowe bagno, zbyt regularne, jakby usytuowane w tym miejscu, aby coś przykryć.

Jednak w środku nie było nic, sprawdził to – jedynie kształt i charakter bagniska powstałego w skalnej dziurze o regularnym kolistym kształcie rodził pytania. Może meteoryt uderzył w to miejsce w zamierzchłych czasach?

Wreszcie, gdy zaczęło już prawie zmierzchać, ruszył z powrotem do swojej samotni.

I wtedy, już prawie na progu swego domu, wyczuł kolejnego wampira!!!

Ten jednak bardziej się snuł, niż szedł. Lewą rękę trzymał opuszczoną, wyraźnie było z nią coś nie tak. Ludwikowi przemknęła myśl, że gdyby wyskoczył i natarł na intruza, zadusiłby go, zanim tamten zdążyłby się zasłonić. Zresztą, jedna ręka, cóż by to była za obrona...?

Prowadził go spojrzeniem z nadzieją, że tamten przetnie jego ziemie i pójdzie sobie precz. I będzie ostatnim przedstawicielem tej rasy na długie lata albo i na zawsze. Chociaż dziadek Ludwika, prosty ghul, mawiał, że jak zaczynają się wojenne przemarsze, to najpierw leżą szperacze, których należy traktować jak sygnał ostrzegawczy, potem główna masa, a potem jeszcze maruderzy. Tak przynajmniej było od Napoleona. Dziadek dołączał do tego instrukcję obsługi takiego przemarszu, ale Ludwik szczęśliwie wyparł ją z pamięci. Niemniej jednak zapamiętał, że takie wędrówki zwiastują wojnę albo coś gorszego.

Niby cień podążał więc za chorym wampirem, od czasu do czasu rzucając czujne spojrzenie w tył.

Tak dotarli do polany – tamten, jęcząc, Ludwik, klnąc pod nosem, że intruz nie mógł obrać innej trasy, choćby przekraczając niewielki strumień obiegający polanę od zachodu w odległości może stu kroków.

Kiedy włączęga dotarł na polankę, usiadł w trawie, jakby nabierając sił. Ludwik pomyślał, zaskakując sam siebie, że widać ta ziemia, nasycona krwią powstańców, ma w sobie przyciągającą siłę. Schowany za pnem obserwował intruza, leniwie zastanawiając się, czy ruszy śladem poprzednika. Może go tropi? Chociaż wyglądał na tak chorego, że prędzej się zgubił, był takim maruderem... Tylko gdzie w takim razie są główne siły?

Odpowiedź przyszła prędzej, niż się spodziewał i tego sobie życzył. Zdążył poczuć zapach kolejnych wampirów i usunąć się z ich drogi, ale zaraz wbiegły na polanę, rozbiegając się na boki, aby uniemożliwić, a przynajmniej utrudnić ucieczkę siedzącemu wciąż tamtemu. Doszło do krótkiej, za to bardzo intensywnej szarpaniny. Samotny wampir szamotał się w uścisku trójki, krzycząc, próbując orać pazurami twarze i torsy swoich prześladowców, ale zdusili go szybko, rozciągnęli na polance i zaczęli wiązać linką.

Obserwujący ich z ukrycia Ludwik gotował się z wściekłości. To niewiarygodne, jak bezczęścili jego polanę, jego cmentarz! Spokój partyzantów! W Ludwiku rósł gniew, który za chwilę wybuchnie – i wtedy niech się wampir lęka, bo spojrzeć w oczy wściekłego ghula i przeżyć to się nie każdemu krwiopijcy udawało.

Oburzony profanacją tego miejsca, najściem go przez wampiry, zakłóceniem jego spokoju – a przecież po to tu przyjechał! – wreszcie ordynarną bójką na cmentarzyku, jakby sobie wampiry nie mogły znaleźć innego miejsca, choćby w jakichś ruinach na Pradze albo w opuszczonej fabryce czy innym miejscu w dowolnej części Polski – Ludwik gryzł wargę, zastanawiając się, co powinien uczynić.

Był rozdarty: jeśli wyskoczy z ukrycia i pogoni całe towarzystwo, może się skończyć odkryciem cmentarza pod polaną, bo a nuż nie wytrzyma i wywarczy im to prosto w te zakazane pyski? Ludwik znał siebie dobrze, a lata leniwych rozmyślań nad własną naturą doprowadziły go do konstatacji, że siła spokoju w nim jest tylko wtedy, gdy nie ma żadnego zagrożenia. A kiedy pojawia się jakiś impuls, okazuje się słabym, kruchym ghulem, który gotów skoczyć do gardła przeciwnikowi, nie patrząc na skutki.

Niemniej jednak był przecież inteligentnym, wykształconym stworzeniem, wiedział, że taka seria wydarzeń coś oznacza – i to niewątpliwie coś złego. Zdawał sobie sprawę, że nie powinien tego ignorować, licząc, że nikt i nic nie zakłóci już jego spokoju. Tak mógłby postąpić młody, niedoświadczony ghul. Ludwik wiedział, że musi zareagować. Stąd właśnie rozdarcie, które teraz szarpało jego duszę jak orkan podobny do tego sprzed paru lat koronami drzew, kładąc wiele z nich na wieczny sen.

Wreszcie tropiciele popatrzyli w niebo, wymienili spojrzenia i powlekli swego jeńca w stronę, gdzie po kilku kilometrach las cieniał i zaczynały się pola.

Ludwik postanowił ich obserwować.

Zmierzali rzeczywiście w stronę skraju lasu. Tam jeden z wampirów wyjął telefon satelitarny i podczas gdy dwaj pozostali trzymali opierającego się jeńca, zaczął rozmowę. Ludwik nadstawił ucha...

Mina Radeckiego mówiła wszystko: „Wreszcie...”. Kiedy zerknął na wyświetlacz i zobaczył numer Maracha przewodzącego tropicielom, miał przecucie, że jest dobrze. Wreszcie coś musiało się udać! Może to wysiadywanie jaja w biurze partii i nocne konferencje w domu, całe to przedwyborcze poświęcenie, które wychodziło mu już uszami i sprawiło, że niemal stracił Mariannę, nie będzie na darmo...

– *Yes, yes, yes!* – krzyknął, ledwie usłyszawszy pierwsze słowa tropiciela.

A widząc miny sekretarza i spin doktora, z którymi omawiał sytuację, od razu wyjaśnił:

– Złapali Wargasa! Samego, ale hrabia pewno płacze się gdzieś niedaleko! – Gdyby nie telefon trzymany w dłoni, pewnie by zatarł ręce z radości. – No, dawaj dalej – wrócił do przerwanej rozmowy, a jego oczy zaczęły błyszczeć podekscytowaniem. – Dobra, jednego pošlij z sekretarzem, a ty i drugi idźcie za Ponimirskim. No, nagroda cię nie ominie. Oddzwonię, gdzie i o której odbierzemy sekretarzyka. – Przerwał połączenie. Popatrzył na zgromadzonych. – Wargas chory, lepiej go tu w Warszawie obejrzyć i przesłuchać. A hrabiego znajdą wkrótce. Już ja mu dam *coming out*...

Jego mściwa mina mówiła, że może sobie być słynącym z ogłady i dobrych manier marszałkiem na pokaz, ale czasem wyłazi z niego szef wszystkich szefów, któremu po prostu nie warto się narażać...

– Już ja mu dam... – powtórzył groźnie.

A zatem tak się sprawy miały! Słuchając rozmowy wampirów, Ludwik pozbył się złudzeń, że to przypadek, że sobie pójda. Pójda, ale wróca, albo pójda i gdzieś jeszcze bardziej narozrabiają. Ten hrabia! Przecież to niesamowite, groźne dla wszystkich nie ludzi! Tu nawet żaden las nie pomoże, przecież w pobliżu są wsie, a jak ludzie się dowiedzą, to zaczną i po lasach chodzić, ba, sidła może zakładać...

Ludwik – choć obecnie leśny i eremicki z wyboru – był ghulem nowoczesnym, a może nawet i postnowoczesnym, skoro tę nowoczesność odrzucił. Jednak jego przyjaciel, Stanisław, dbał o to, aby miał co jeść, a w razie potrzeby mógł się skontaktować.

Na chwilę zatem ghul porzucił wampiry, wiedząc zresztą, że w razie potrzeby szybko je odnajdzie, i popędził w stronę kryjówek, gdzie nie tylko lądowały zawsze zapasy od Staśka, lecz także czekał sprawny telefon.

Odwalił kamień tak ciężki, że ludzie musieliby go chyba traktorem wyszarpywać spomiędzy drzew (ale po co, chyba żeby karczowali dalej las pod pole), wyciągnął telefon i ruszył w pole. Tu znalazł miejsce, w którym mógł usiąść na płaskim kamieniu, a zarazem nikt nie był w stanie podejść go, korzystając z kęp wysokich traw czy krzewów. Wybrał numer.

– To ja – mruknął, kiedy odezwał się jego przyjaciel. – Ludwik – dodał, żeby rozwiać wątpliwości, bo w ostatnich latach mówił tak mało, że nawet własny głos wydał mu się zgrzytliwy i całkiem jak nie jego.

Po czym szeptem, czujnie obserwując, czy jakiś wampir nie wychodzi z lasu, zrelacjonował przyjacielowi przebieg zdarzeń.

– Miałeś rację, to naprawdę ważne. Poczekaj tam, gdzie jesteś, ja zaraz dzwonię do Daniłowicza, musimy postanowić, co dalej – stwierdził Stasiak głosem pełnym powagi.

Tak, on też był właściwym ghulem na właściwym miejscu.

Czekając na oddzwonienie, Ludwik obserwował, jak zmierzchnie pole i skraj lasu we władanie. Było w tym coś urzekającego: płaszczyzna pola po horyzont jeszcze się broniła, jakieś światło tam

pozwalalo cokolwiek dojrzeć, podczas gdy las padł, ogarnięty mrokiem jak siecią rzuconą przez wprawno rybaka.

Ta myśl natychmiast pociągnęła za sobą drugą: że on tu sobie siedzi na kamieniu, a tam może te cholerne wampiry bezczeszczą jego cmentarz?!

Żeby nie siedzieć, wstał. Zrobił dwa kroki – oczywiście, w stronę pierwszego rzędu drzew. Ba, zrobił i krok trzeci, a właściwie uniósł stopę...

I wtedy zadzwonił telefon. Ludwik, ciesząc się, że za chwilę będzie wolny, szybko odebrał.

– Dzień dobry, tu Anna Nasiłowicz z Centrum Kredytowego „Arka”. Chciałabym panu zaproponować niezwykle korzystnie oprocentowany...

Opuścił rękę, z trudem opanowując chęć rzucenia telefonem o kamień. Anna tymczasem trajkotała nadal, jakby od tego zależało jej życie.

Tak, odebrał to połączenie, a mógł przecież postawić trzeci krok we właściwą stronę...

Zmobilizował się, przerwał połączenie. Poczeka. Na świętego ghula, poczeka, bo przecież to szef szefów miał zadzwonić.

Po chwili telefon znów wydał z siebie jęk. Tym razem sprawdził numer – jego przyjaciela.

Ale po drugiej stronie był ktoś inny. Gabor Daniłowicz!

Prezes mówił niskim, chropawym głosem. Ku swojemu zdziwieniu Ludwik odkrył, że niemal tak samo zardzewiałym jak jego głos. Tym łatwiej było przyjąć jego polecenia, choć sformułowane w tonie prośby:

– Twój przyjaciel powiadomił mnie o wszystkim i przy okazji wyjaśnił, kim jesteś. Doceniam fakt, że dla naszego bezpieczeństwa wyszedłeś ze swojej pustelni, zostanie ci to wynagrodzone w odpowiednim czasie. Na razie muszę cię prosić, abyś ruszył śladem tropicieli tego pierwszego wampira, czyli hrabiego Ponimirskiego. Chodzi o niego. Jest zagrożeniem dla wszystkich nieludzi, większym, niż myślisz, trzeba go złapać. Gdybyś zdołał... Będziemy na linii, wystarczy, że zadzwonisz. Podesłemy też ekipę, która będzie ci towarzyszyć, jeśli cię odnajdzie. Powinni być

w okolicy za pół godziny, może trzy kwadranse. Gdzie wtedy będziesz? Jak myślisz, w którą stronę ruszą wampiry?

– Na północ – stwierdził z przekonaniem Ludwik.

Wszystkie drogi wiodą na północ, przynajmniej tym razem.

Podał nazwę nieodległego miasteczka, które znał jako ciche i spokojne, wyjął ze skrytki zapasy jedzenia i już zamierzał ruszyć do lasu, aby zabrać resztę zapasów i pożegnać się z cmentarzykiem, kiedy dostrzegł tuman kurzu na horyzoncie! Podjechał wóz, w który wampiry zapakowały swojego jeńca! Tropiciele wrócili do lasu, aby ścigać hrabiego, a furgonetka z jeńcem ruszyła w niewiadomym kierunku.

Ludwik ruszył do swojej kryjówki, stukając SMS-a z relacją...

Mogło się wydawać, że tamci tylko czekają na pojawienie się zielonej furgonetki. Stojący dotąd spokojnie przed zajazdem ludzie nagle wyciągnęli broń i zaczęli strzelać w powietrze, a ich samochód, duży dostawczy wóz, wyjechał z parkingu i zablokował drogę tuż przed furgonetką.

Być może są takie miejsca w Polsce i na świecie, gdzie wszyscy gapie schowaliby się, a wyleźli godzinę później. Lecz to były Janki, które niejeden napad już widziały, a ludziska, chociaż nie wybiegły przed domy i restauracje, żeby to obejrzeć, to jednak przykleiły się do okien. Bo to lepsze niż telewizja!

Gangsterzy – bo to musieli być gangsterzy, ewentualnie filmowcy, ale w to jednak świadkowie wątpili, bo wcześniej teren zostałby ogrodzony – no więc gangsterzy próbowali podbiec do furgonetki. Ledwie jednak dotknęli jej ścian, od razu odskoczyli. I wtedy zresztą jedne drzwi odsunęły się, wypadło stamtąd trzech takich, co to mogli być Rambo i Supermanem w jednym, zaczęli kłaść gangsterów jednego po drugim, jak patyki rzucać na ziemię. Coś krzyczeli, ale ludzie niewiele z tego zrozumieli, bo raz, że daleko i za szybą, a dwa, tamci chyba bełkotali jak Rusczy. Co innego gangsterzy: ci, którzy nie dostali ręką, nogą albo kolbą, padali na ziemię, sygnalizując, że już nie chcą się bawić w napad. A ten jedyny, który siedział w samochodzie blokującym drogę, uznał widać, że musi

pilnie odebrać dziecko ze szkoły, bo jakimś cudem zakreślił na ciasnej drodze i pomknął w stronę Warszawy, jakby go diabeł gonił albo musiał pilnie przewieźć do szpitala po drugiej stronie miasta nerkę do transplantacji, być może nawet własną.

Zapewne niejeden ze świadków zadawał sobie pytanie, co takiego było w furgonetce, że aż zdecydowano się ją napadać. Złoto? Jubilerskie precjoza? A może to narkotyki? Wydawała się taka banalna: zwykłe zielonkawe auto bez żadnych oznaczeń.

A potem, ku rozczarowaniu gapiów oczekujących, że ci, co wygrali, postrzelają do leżących jak do tarcz, może urzędzą jakąś efektowną egzekucję, taką jak na filmie albo i fajniejszą, bo na żywo (na żywo oczywiście wyłącznie dla tych, którzy obserwowali to z oddalenia, ukryci w domach, reszta mogła być na martwo), ci z furgonetki wskoczyli do niej pospiesznie, ta ruszyła, drzwi zasunęły się już w biegu. I film skończył się nijak... Nie będzie za bardzo co opowiadać. Nie w mieście, gdzie gangi urządzały sobie ustawki, podmiejskie forty pełne były kości nie tylko żołnierzy, chyba że za takich uznamy zwykłych gangsterów, gdzie świr próbował wysadzić sejm w kosmos, a kosmiczna agencja miała przyziemne problemy z wywłaszczeniem... Nie, zwykła strzelanina bez ofiar. Nuda.

Kiedy na miejsce przyjechała policja, najpierw odczekawszy stosowny kwadrans czy dwa, żeby wszyscy mogący chodzić lub mający dobrych kolegów uczestnicy zajścia mieli szansę uciec, nadal na miejscu zdarzenia czekało kilku świadków podekscytowanych tym, że będą mogli opowiedzieć, co widzieli. Bo przynajmniej się pochwalą, że bez ich zeznań sprawa w ogóle by nie ruszyła z miejsca...

A widzieli naprawdę dużo. Jeden z nich, starszy mężczyzna w kaszkiecie w kratkę, wyciągniętym podkoszulku z dziurami, na który miał narzuconą dżinsową kurtkę z kołnierzem z baranka, widział nawet nie jeden furgon, tylko dwa. Ten czerwony miał nawet lufę, więc może to czołg był?

Policjanci szybko go skreślili, tym bardziej że chuch miał mocno miętowy, a krok idący halsem to prawym, to lewym. Nawet kiedy stał, to zdawał się wędrować. Niestety, inni świadkowie nie byli lepsi. Widzieli ofiary, słyszeli strzały – ale chociaż patrol oglądał to miejsce dokładnie, poza śladami bieżników i jedną mocno zardzewiałą łuską w krzakach nie znaleźli nic, co potwierdzałoby tę masę trupów i rannych.

– A zgłoszenie o napadzie mamy? – spytał wreszcie z niesmakiem dowódca patrolu, pocierając nerwowo łysinę.

– Świadkowie dzwonili – mruknął w odpowiedzi jego kolega, oglądając łuskę.

Była tak banalna, że wątpił, aby coś udało się wycisnąć. Żadnych śladów krwi, łuska z walthera P38, dosyć wiekowa, raczej nie świeża... Porażka.

– Nie o to pytam! – Dowódca patrolu patrzył na podwładnego jak na idiotę dokładnie takiego, jakiego opisują media elektroniczne, w szczególności fora i portale społecznościowe. – Zgłoszenie przez napadniętych mamy?

– Nie mamy – burknął jego rozmówca. – Ale strzelanina była, napad przecież!

– Ja bym ci powiedział, co było, tylko jak to powiem, to mi awans odbiorą – zdenerwował się dowódca. – Dobra, piszemy raport, ale po mojemu, jak nie ma zgłoszenia, to albo świadkowie mają bujną fantazję, albo gangi się panoszą; coś się działo, tylko nawet łuski po sobie wyzbierali. A z gangami, proszę ja ciebie, zadzierać nie będę, rozumiesz?

Słowo „gangi” podziałało. Wkrótce ustalili właściwą wersję wydarzeń. Taką, która skończy się na jednym nudnym raporcie.

Włodzimierz pofatygował się do Radeckiego osobiście. To nie była rozmowa na telefon. Tym bardziej że do siedziby partii, gdzie aktualnie urzędował szef szefów, miał niedaleko.

Kiedy jego potężna sylwetka przesłoniła drzwi gabinetu, marszałek ciężko westchnął. Już wiedział o napadzie, przynajmniej zdawkowe informacje zdążyły do niego dotrzeć.

– Chcesz mi powiedzieć, kto za tym stał? – uprzedził relację Włodzimierza.

Stary zaprzeczył ruchem głowy.

– Przyszedłem się poskarżyć, panie Radecki. Nie stali za tym wynajęci gangsterzy trzeciego sortu, którzy napadli na furgonetkę. Widać organizowani w pośpiechu, bo ci lepsi mogliby sekretarza odbić albo przynajmniej narobić nam kłopotów. Wiadomo, że stoi za tym Daniłowicz. Nie wiem, jakim cudem się dowiedział, ale zdołał tę akcję zorganizować, a to oznacza kilka spraw. Musimy przyspieszyć odnalezienie hrabiego, to jasne, i to jest moja działka. Jednak trzeba tego durnia osadzić, bo gotów nas wszystkich pociągnąć na dno: zaryzykował odbicie Wargasa, ale co by było, gdyby się wtrąciły jakieś przypadkowo przejeżdżające siły specjalne złożone z ludzi? Pech chodzi po ludziach i nieludziach, nie wiadomo, na kogo trafi... Więc przyszedłem się poskarżyć na Daniłowicza – powtórzył szorstko.

Zawsze był szorstki, a po wypadku z Joanną stał się pod tym względem jeszcze gorszy.

– Przepadkowo? Wątpliwe. Ale masz rację, nie taka była umowa.

– Radecki wskazał mu fotel. Sam wziął do ręki telefon.

– Daniłowicz? Tak, ja, a kto, jak myślisz? Przecież wiesz, dlaczego dzwonię o tak bandyckiej porze, w nocy. Nie, nie dlatego, że jestem... sam wiesz. Dzwonię, bo twoi ludzie próbowali odebrać nam Wargasa. I ja cię, Gabor, lojalnie ostrzegam: nie wchodź nam w paradę. Miałeś pomagać, nie szkodzić. – Chwilę słuchał wyjaśnień ghula. – Ja już skończyłem. Potraktuj to jako *ostatnie* ostrzeżenie. Nie chciałbym koalicji z ludźmi, ale jeśli mnie zmusisz, jeśli stracę zaufanie, to sam rozumiesz...

Rozłączył się, nie dając dojść Daniłowiczowi do głosu.

Hedo z uznaniem pokiwał głową.

– Potrafisz grać ostro, panie Radecki.

– Będzie tylko ostrożniejszy. Ale to też wystarczy, ważne, żeby ludzie w niczym się nie zorientowali. Chociaż nie rozumiem, dlaczego nagle tak mu zaczęło zależeć na hrabim, przecież najpierw sam go nam wystawił na talerzu...

Zamyślił się.

– Twój nadal na tropie, ale hrabia umyka?

Włodzimierz popatrzył w okno. Za grubą, dźwiękoszczelną szybą z trzech warstw, powodującą, że obraz był leciutko zamazany, aby jakiś spec z budynków naprzeciwko nie odczytał ich rozmowy z ruchu warg, trwała noc. Miasto rzadko naprawdę spało, najczęściej wtedy, gdy następowała awaria elektrowni czy padał jakiś transformator dla całej dzielnicy.

– Jesteśmy już blisko.

Gabor prychnął z pogardą, odkładając telefon. No i co z tego, że Radecki się domyślił, kto stał za próbą przejęcia sekretarza hrabiego? Ghula obchodziło tylko to, że akcja się nie udała. Mieli informację, kilka godzin czasu, a ci ludzie okazali się diabła warci. Może należało zaryzykować i posłać ghule albo zombi?

Cóż, teraz za późno, mógł sobie pluć w brodę. Na szczęście to nie koniec. Wciąż miał w ręku dzokera, o którym Radecki nic nie wiedział. Ten Ludwik to pełne zaskoczenie, ale jednak właściwy ghul na właściwym miejscu. Jeśli pociągnie tropicieli, to kto wie, może zdążą przechwycić hrabiego... a wtedy...

Jak każdy, Daniłowicz miał marzenia. Dotąd trudno je było zrealizować. Umiał sobie poradzić z zombi, zmarginalizował Machacza, jednak wampiry tak zawsze ustawiały sytuację i rozdawały karty, że jemu trafiały się blotki. Mógł liczyć na posadę wicepremiera, jeśli Nasza Ziemia będzie druga – a będzie. Jednak Gabor Daniłowicz po latach bycia drugim, trzecim, przedostatnim, zawsze którymś tam, marzył, by raz zostać pierwszym, *primus inter pares*. Stanąc na mównicy przed całym sejmem jako premier rządu... a potem pojechać z roboczą wizytą do Stanów i choćby miał podpisać niezbyt korzystną umowę o dozbrojeniu kraju, wygłosić przemówienie przed Senatem, zrobić briefing przed Białym Domem z prezydentem... Zrobić coś, co stanie się fundamentem, inspiracją dla kilku pokoleń Daniłowiczów, uchodźców z Rusi wieki temu. Sporo już osiągnął, ale mierzył wyżej, wciąż wyżej...

Zrobi wszystko, żeby zdobyć to stanowisko. I nie, nie musi wcale wygrać wyborów. Jeśli będzie mieć hrabiego, może się dopuścić

szantażu. Druga opcja była zresztą równie interesująca...

Druga opcja leżała przed nim. W pewnym sensie wiązała się z hrabią Ponimirskim, ale niekoniecznie z pochwyleniem go. Otóż wywiad Daniłowicza dotarł do zdjęć z afery katowickiej i kryjówki hrabiego pod Wałbrzychem. Pomijając wnętrza, uwagę ghula zwróciły różnego rodzaju aparaty. Gabor doznał wstrząsu, kiedy uświadomił sobie, że hrabia prowadzi prace nieco podobne do tych, którymi zajmował się on, gdyż miał Al-Ghazaniego.

I nagle wszystko ułożyło się w jeden logiczny ciąg. Opowieści, że hrabia planuje *coming out*, były tylko przykrywką – także wtedy, gdy próbował uzyskać ochronę ghuli i zwrócił się do nich. Nie, nie i jeszcze raz nie. Hrabia pracował nad jakimiś możliwościami, których reszta wampirów musiała się wystraszyć – albo przerażała je perspektywa, że to Ponimirski będzie z tych możliwości korzystać. To dlatego próbowały go utracić, a teraz złapać i – tego Daniłowicz był pewien – w ostateczności gotowe nawet pozbawić życia. Ta gra toczyła się na serio.

Był tak podekscytowany odkryciem, że postanowił odwiedzić swoją wunderwaffe ukrytą w podziemnych komorach.

Al-Ghazani wciąż był piaskowym dzinnem i gdy przybrał postać człowieka, wyglądał jak Egipcjanin. Domieszka polskiej ziemi, polskiego nadwiślańskiego piasku, nie wywoływała pożądanego efektu.

Gabor stał i patrzył, jak tamten powoli usypuje się w postać człowieka.

– Rozumiesz mnie? – spytał, podchodząc do skrzyni.

Ostatnio dzinn znów miał kłopoty z porozumiewaniem się, co bardzo zaniepokoiło Gabora.

W odpowiedzi stwór wybełkotał coś niezrozumiale. Może po egipsku, może po aramejsku, a może w języku, który dziś już był równie wymarły jak ghule na Antarktydzie.

– Psiakrew! – warknął Daniłowicz. – Tyle zachodu na nic!

W odpowiedzi Al-Ghazani warknął. Nie lubił, jak ktoś w jego obecności wyraża negatywne emocje, to było widać. No tak, to on

miał je rozsiewać – i zapewne, póki nie skończył zagoniony do tamtej skalnej pułapki, niejeden człowiek zaznał strachu, patrząc na niego. Co ciekawe, wynikało z tego, że pomimo iż (miejmy nadzieję) czasowo zapomniał polskiego języka...

Zaraz! Przecież nadal rozumiał, co Daniłowicz do niego mówi! Może po prostu oszukiwał?!

Ghul westchnął ciężko i podszedł do skrzyni, gdzie w jednym z końców leżały ze dwa wiadra piasku, a w drugim trochę ziemi ogrodowej z sadu otaczającego dom Daniłowicza. Zaczepnął w garście czarne grudy i wrzucił do skrzyni Al-Ghazaniego.

Piaskowy wybełkotał coś jeszcze, jednak Daniłowicz już go nie słuchał. Wyszedł z więzienia, starannie zamykając drzwi. Słyszał jeszcze jakieś chrząkanie, ale prychnął tylko z pogardą. Widać trzeba bardziej zmieszać piasek i ziemię polską z egipskimi pozostałościami.

A taki to był dobry plan... Wszystkie papiery, cały życiorys, ba, nawet historia kredytów nowego obywatela Jana Gazanowicza tylko czekały na uruchomienie, na chwilę, gdy dzinn zacznie rozumieć polską mowę i wyjdzie bezpiecznie ze skrzyni jako istota twardsza niż piaskowy tuman.

Wybory były bliskie rozstrzygnięcia i Daniłowicz zamierzał mieć swojego kandydata na któreś z wysokich ministerialnych stanowisk. Kogoś z jednej strony silnego i niezależnego, ale z drugiej – w ręku Daniłowicza. Polskie ghule były dosyć trudno sterowalne, a Piaskowy nie będzie mieć wyjścia. Razem stworzą tandem braci w mroku, który zmieni politykę – przynajmniej w odniesieniu do nieludzi.

Lecz tymczasem mógł sobie co najwyżej pomarzyć, podobnie jak o wizycie w USA.

Zaklął po raz ostatni i wcisnął guzik windy. Pora ruszać na górę, gdzie toczyła się kampania i pościg za hrabią. W końcu karty się odwróca. Los przyniesie mu parę asów albo przynajmniej króli...

Radecki popatrzył na skulonego w kącie sekretarza. Nadal podtrzymywał obandażowaną rękę, która teraz była gruba jak

słoniowa noga. Kajdany na nogach nie były zapewne potrzebne, jednak Włodzimierz – przyglądający się temu zza pleców marszałka – widać chciał upokorzyć Wargasa.

I słusznie! Radecki wręcz wysłałby go na tortury, gdyby te prymitywne metody były skuteczne.

Przysunął sobie krzesło, usiadł na nim okrakiem. Sekretarz patrzył teraz na swego przywódcę, a w jego wzroku widać było znużenie. Jakoś się trzymał, póki wędrował lasem. Najpierw szedł za hrabią, licząc, że gdy go dogoni, ten będzie musiał zadbać także o los sekretarza. Później, gdy ręka zaczęła puchnąć, szedł bardziej siłą rozpędu, licząc, że trafi na ludzi, którzy go opatrzą. Może namówiłby ich na przerzut na Zachód, w końcu granice były otwarte. A potem do Argentyny albo gdzieś równie daleko...

Wszystko to były fantazje. Siły go opuściły, gdy tropiciele zaczęli go wiązać jak baleron. Na chwilę jeszcze adrenalina skoczyła podczas napadu na furgonetkę – przemknęła mu wtedy szalona myśl, że hrabia jednak poczuł się winny i zdołał zorganizować próbę odbicia – lecz gdy ruszyli dalej, w stronę centrum, wszystko w nim umarło. Będzie, co będzie. Najpewniej grobowiec obsadzony różami.

– Twierdzisz, że nie masz pojęcia, dokąd podąża hrabia?

Sekretarz skinął powoli głową.

– Wiem, że chciał do Wrocławia, ale miasto nie leży na północy, a myśmy, póki wędrowaliśmy razem, zmierzali w tym kierunku. Może nawet na północny wschód. Tyle wiem...

– I nigdy się nie zająknął, dokąd, do kogo albo gdzie? – ciągnął Radecki, badawczo świdrując twarz sekretarza.

Ten wzruszył ramionami.

– Zawsze był tajemniczy. Ostatnio kilka razy mnie zaskoczył...

– Na przykład porzucając? – Radecki skorzystał z informacji wydobytej wcześniej przez Włodzimierza i jego ludzi.

Milczenie.

– Coś ci powiem. – Radecki wstał i zaczął się przechadzać po celi.

– Moim zdaniem jest jeszcze gorzej, niż myślisz. Twoją rolą od samego początku było zostać ofiarą naszych tropicieli, błędnym tropem, za którym pociągną. Sprytnie. Hrabia pewno nawet o tej północy nie mówił ci prawdy...

Paradoksalnie, Radecki też jej nie mówił, wiedział przecież, że tropiciele znajdowali ślady Ponimirskiego właśnie wiodące na północ. Jednak Vargas z pewnością o tym nie wiedział...

– Nie wiem. Ja go w ogóle ostatnio nie rozumiałem...

– To po co zgodziłeś się uciekać? – Głos Radeckiego stwardniał.

Sekretarz skulił się w swoim kącie, jakby marszałek go uderzył.

– Był moim pracodawcą, nie mogłem...

– Mogłeś. – Głos Radeckiego ciął chłodem jak wichur zimą. – Mogłeś i powinieneś, wtedy o wszystkim dowiedziałbym się od ciebie, a nie po fakcie od jakiegoś cholernego gulasza! – Wcale nie pozorował złości, wypływała z niego naturalnie. Hrabia wszystkim grał na nosie. – A wiesz chociaż, co chce zrobić hrabia? – warknął.

Sekretarz popatrzył na niego pytająco.

– Odnowić nas. Sprawić, żebyśmy znów byli tymi wampirami, których ludzie się boją. Proste wartości, jasne reguły. Wciąż o tym mówił...

– Odnowić? – zdumiał się Radecki. – Naprawdę tak mówił? Przecież on chce całemu światu obwieścić, że żyjemy pośród ludzi! A ty go chronisz... Pomyśl, jaka hekatomba spotka wszystkich nieludzi, jeśli ten wariat zdoła zrealizować swój plan. – Marszałek mocno zacisnął dłonie. – Zajmijcie się nim. – Spojrzał wreszcie na strażników.

Razem z Włodzimierzem wyszli z celi.

– A co z Joanną? – spytał Radecki, kiedy zamknęły się za nimi drzwi. – Pomógł ci w czymś ten... sekretarzyk? Przecież musiał być świadkiem działań hrabiego.

– Joanna... Z ducha wampir, z ciała człowiek – stwierdził ponuro Włodzimierz. – Pracujemy nad tym, ale na razie... – Bezradnie rozłożył ręce. Jego twarz stała się jeszcze bardziej chmurna. – Ponimirski to wyjątkowo cwany skurczybyk. Nie zajmował się tymi rzeczami przy świadkach. Tak przynajmniej wynika z zeznań sekretarza, a wyjątkowo mu wierzę. Bardzo był zszokowany, gdy mu powiedziałem, co się wydarzyło w Katowicach i co obciąża jego sumienie. To w gruncie rzeczy plastelina, co też hrabiulek wykorzystywał... Sam widzisz, jeśli nawet nie łyknął tych wszystkich

bzdur, to przynajmniej nie odstraszyło go to od zerwania z tym idiotą... Ponimirski naprawdę ma dar opętywania innych, charyzmę.

– No nic, szukajmy dalej – westchnął Radecki. – Pora wracać do gabinetu. Wykończy mnie ta kampania...

– Uwierz, zamieniłbym się z tobą – ponuro stwierdził Hedo.

Radecki nie odpowiedział. Niechęć Włodzimierza i całej jego rodziny do polityki była powszechnie znana.

– Aha, jeszcze jedna ważna rzecz – przypomniało się restauratorowi. – Znasz może taki numer? – Wyrecytował z pamięci szereg cyfr. – Bo na polecenie hrabiego Wargas dzwonił pod ten numer zaraz po opuszczeniu kryjówki w Bardzie.

Radecki przez chwilę próbował sobie przypomnieć, wreszcie pokręcił głową.

– Sprawdź, ale nic mi nie mówi.

Wziął do ręki telefon, przeszukał książkę. Nie, też nic.

– Na razie też mam zerowy wynik – przyznał Włodzimierz. – Ktoś odebrał, więc to nie ślepy numer, nie żaden *fake*, tylko na razie nie potrafimy ustalić, co to oznacza...

– A co miał przekazać?

– Że idą na Wrocław, spotkają się w Ogrodzie Botanicznym. I to właśnie mnie zastanawia najbardziej, bo kupy się nijak nie trzyma...

Pokręcił głową.

– Zagmatwane to wszystko. Ale dorwiemy się do kłębka i rozplączemy...

Rozdział 10

Katowice pozazdrościły Warszawie pretensji, a może na chwilę miasto postanowiło rozbłysnąć na wyborczej mapie? Dosyć, że aktywiści Polski Razem albo – co bardziej prawdopodobne – wynajęci za grosze studenci próbowali wyskoczyć z Altusa, najwyższego wieżowca w ścisłym centrum miasta, z wielką flagą pełniącą zarazem funkcję latającego banneru... Według zeznań mieli wylądować na Rondzie, na dachu kawiarni. Byłoby sporo szumu, nazwa partii padałaby co chwila, darmowa reklama we wszystkich mediach. Starzy by może ponarzekali na głupotę wykonawców, młodszym by się spodobało i jakieś głosy zostałyby zdobyte.

Jednak wiatr, który tego dnia niespodziewanymi podmuchami omiatał fasady budynków i zbierał kurz z chodników, wprowadził do kampanii wyborczej poprawkę. Śmiertelną...

Tak, tego dnia dużo się mówiło o wyborach. Wyborach za wszelką cenę, cynicznych, wbrew rozsądkowi...

Ziemek stanął w korytarzu i się zawahał. Chłodny mur obudowany deskami równie starymi jak cegły tchnął lekką wilgocią, jednak dębina nadawała powietrzu charakterystyczny mikroklimat. Zupełnie jakby ojciec urzędował w piwnicach winnicy, gdzie trunek dojrzewa w beczkach lub leżakuje w butelkach. Cóż, Włodzimierz to lubił...

Chłopak znów się zawahał. To będzie trudna rozmowa, mimo to postanowił przeprowadzić ją jak najszybciej, przed rozpoczęciem kolejnego roku na studiach. Czyli w zasadzie już był w niedoczasy, ale że nie pofatygował się na inaugurację ani pierwsze zajęcia, wciąż mógł się uznawać za studenta, który dopiero rozpocznie kolejny rok.

Zapukał w drzwi, a słysząc głos, pociągnął za klamkę i od razu wsunął się do środka.

I wtedy dopiero zorientował się, że głos, który słyszał, owszem, należał do ojca, jednak ten rozmawiał z kimś przez telefon. Przy czym słowo „rozmawiał” było tym właśnie nadużyciem, które zdeorientowało chłopaka. Stary Włodzimierz co jakiś czas rzucał: „No” albo „Zgoda”. Najwyraźniej ktoś zdawał mu relację z jakichś wydarzeń.

Spojrzał na syna i gestem nakazał mu wyjście, ale Ziemek postanowił to zignorować. Poczeka. Jeśli wyjdzie, może nigdy nie odważy się wrócić...

Żeby nie drażnić ojca, odsunął się w drugą część pokoju, gdzie na stołach leżały rozłożone jakieś zdjęcia. Zaczął im się przyglądać i... zmartwia!

To były zdjęcia z dwóch miejsc, gdzie Joannę spotkało nieszczęście. Podziemia Galerii Katowickiej i tej kryjówki na Mazurach, gdzie ją odnaleziono. Trzeci komplet zdjęć przedstawiał kryjówkę hrabiego pod Bardzką Górą. Wyeksponowane zostały różne przedmioty: lustra, pryzmaty, jakieś urządzenia wyglądające jak lichterze...

Właśnie, urządzenia! Był to chyba wynik działania intuicji, bo od razu rzuciło się w oczy Ziemkowi, że obrazy na zdjęciach raczej przypominały mu jakąś aparaturę, a nie sprzęt do magicznych praktyk! Przyglądał się im zafascynowany i przerażony zarazem, świadom, że te przyrządy zamieniły jego siostrę w człowieka.

A co aparatura zrobiła w jedną stronę, może czasem zrobić i w drugą...

– No? – zabrzmiał szorstko głos Włodzimierza, przywołując chłopaka do porządku.

Jeszcze dziesięć minut temu Ziemek chciał mu powiedzieć, że albo ojciec go tu zatrudni do prowadzenia spraw rodziny i klanu wampirów, albo on emigruje natychmiast i zakłada filię rodu Hedów w Stanach. Oczywiście pod płaszczykiem podjęcia nauki na którymś z tamtejszych uniwersytetów.

Teraz jednak, patrząc na zdjęcia, zmienił plany.

– Ta aparatura wydaje mi się znajoma. Jakbym widział jakieś starocie na politechnice...

Stary Hedo wzruszył ramionami. Doprawdy, rozmowa o muzeach i magazynach rupieci była czymś najmniej ważnym w obecnej sytuacji, czy jego syn tego nie rozumiał?

– Nie przyszedłeś tu rozmawiać o tym, co zmieniło twoją siostrę. A zatem?

Ziemek nerwowo skubnął wargę.

– I tak, i nie. Włącz mnie do poszukiwań hrabiego. Daj szansę się wykazać, tato.

– Świat się zmienia i ktoś musi być gotów na to nowe, lepsze. Ja już jestem za stary. – Włodzimierz posmutniał. – Widzisz, gdybym był mądrzejszy, ona nie siedziałaby teraz w swoim pokoju zamieniona w człowieka.

Dopiero po wyjściu syna stary Hedo uświadomił sobie, że przecież Ziemek nie mógł widzieć tych aparatów na politechnice, to zupełnie wykluczone. Ale miał na głowie polowanie na hrabiego, później się tym zajmie...

Las, las, las. Coraz dalej w las... Hrabia miał wrażenie, że po tej całej eskapadzie, gdy już dobrnie do końca, najpierw do kryjówki, a potem do końca tej historii – będzie lasu nienawidził tak serdecznie, jak potrafią się nienawidzić rywalizujący politycy, którzy by siebie zagryźli, gdyby tylko ich wyborcy zaakceptowali taki wynik pojedynku.

Tymczasem jednak brnął na północ, w stronę fortecy. Często mijał zwierzęta, zdziwione, że jakieś stworzenie wkracza na ich tereny. Minał wilka, który popatrzył na niego z daleka i zawył krótko, jakby ostrzegając swoich braci.

„Jeszcze trochę – myślał – jeszcze parę kilometrów i odpoczynek”.

Zmęczenie nie niwelowało jednak zadowolenia Ponimirskiego. Był przewidującym, starym doświadczonym wampirem, który wie, kiedy złamać prawo, i dlatego teraz nie siedział, *excusez le mot*, w ciemnej dupie. Dzięki Arkadiuszowi miał gdzie się schronić...

No, właściwie to dzięki jego ojcu. Dobrych piętnaście lat temu człowiek i wampir spotkali się na jednym z przyjęć dla elity biznesu. Skąd Florycki, *doktor* Florycki, jak sam podkreślał, wiedział,

rozpoznał, że hrabia jest wampirem – tego Ponimirski wciąż nie mógł pojąć. Ale najpierw mężczyzna opowiedział hrabiemu o rodzinnej tragedii: synu umierającym na nieuleczalną chorobę, a później prosto z mostu spytał, czy arystokrata nie mógłby pomóc.

– Nie jestem lekarzem – zdziwił się wtedy Ponimirski, czując przebiegający przez plecy nieprzyjemny dreszcz.

Rozmowa toczyła się w jednym z saloników przylegających do głównej sali, wampir nie mógł mieć pewności, że rozmowa nie zostanie podsłuchana i nagrana, ważył więc każde słowo.

Florycki niecierpliwie machnął ręką, omal nie wywracając kieliszka z winem.

– Przecież wiem! Chodzi mi o pańską, by tak rzec, naturę i... – brnął – możliwość zamiany...

Wtedy hrabia mu odmówił, obrócił sprawę w niezbyt zręczny żart. Widać jednak biznesmen uznał, że nie było to ostateczne „nie”, skoro powrócił wkrótce. A w tym czasie Ponimirski sprawdził Floryckiego, dostrzegł w nim biznesmena rosnącego w siłę, już bogatego, chociaż dopiero budującego siatkę wpływów w nowej kapitalistycznej rzeczywistości, i... uległ. Wtedy jeszcze nie było pewne, czy nieludzie zdołają się zakorzenić w III Rzeczypospolitej, wpływowy sojusznik mógł się kiedyś przydać.

Kłopotem był restrykcyjny zakaz kłusowania ludzi i zamieniania ich w nowe wampiry. Dawno skończyły się czasy kłusownictwa – dziś historia o Elżuni, którą opowiedział swemu sekretarzowi, mogła się wydarzyć jedynie na kartach kiczowatej literatury, nie zaś w rzeczywistym świecie. Teraz mieli swoje preparaty, a jeśli chcieli mięsa z krwią, trzeba było iść do pierwszego z brzegu rzeźnika. Słabo wysmażony befszyk z dobrej jakości wołowiny oferował zresztą więcej wrażeń kulinarnych niż byle bezdomny z Pragi upity denaturatem, chory, z cukrzycą i Bóg jeden raczy wiedzieć jakimi zarazami jeszcze.

Ponimirski zgodził się zatrzymać chorobę dziecka, zamieniając je w wampira. Pod określonymi warunkami – nowy wampir w Polsce zdradziłby go natychmiast. Jednak Florycki wyjaśnił mu, że będzie trzymał syna w swojej fortecy, a jeśli kiedyś zechce go pokazać światu, to ten wyjedzie daleko, za ocean albo i dalej.

– Mam środki, aby nikt nie odkrył naszego sekretu – zarzekał się i ręczył słowem honoru.

I gardłem, bo mu Ponimirski wyjaśnił, że dobierze się do niego, nim da siepaczom Hedy własne gardło.

Florycki przez dwie dekady dotrzymywał słowa. Nikt nigdy nie odnalazł Arkadiusza, a zaopatrzenie w potrzebne preparaty i pożywienie zapewniał hrabia, przekazując je w bezpieczny sposób umówionym ludziom lub w bezpieczne miejsce do specjalnej skrytki.

Teraz miał odebrać zapłatę. Zmierzał do fortecy, w której jest oczekiwany i gdzie będzie bezpieczny.

Daniłowicz pracował w swoim gabinecie, studiując dokumenty. Próbował się przygotować do ostatniego etapu kampanii. Szukał jakiejś bomby, która sprawi, że notowania Naszej Ziemi pójdą w kosmos, a nie padną na glebę. Na razie wyglądało to tak, że znów będą musieli się zadowolić rolą „naturalnego koalicjanta”, czytając piątego koła u wozu.

Nagle ktoś zapukał nieśmiało do drzwi.

– Kto? – warknął Daniłowicz. Była noc i miał prawo do odpoczynku, a jeśli chciał pracować, to tym bardziej miał prawo, żeby nikt mu nie przeszkadzał! Chyba że coś tak strasznie ważnego, że zadusiłby gołymi rękoma, gdyby ktoś go nie powiadomił. – Wejść!

Do środka wsunął się pobladły strażnik.

– Mamy informację z dołu, że Piaskowy szaleje w swoim kojcu – wyszeptał.

Daniłowicz natychmiast wstał, starając się opanować nagłe drżenie łydek.

– Uciekł? – starał się nadać swojemu głosowi rzeczowe brzmienie.

– Nie, chyba nie. Za to... – Strażnik zawahał się, nie wiedząc, jak ująć w słowa nieco paniczną i chaotyczną relację, której wysłuchał. – Podobno znów zaczął mówić coś po polsku...

Gabor na chwilę przymknął oczy. Czekał na tę chwilę... chociaż miał nadzieję, że obejdzie się bez dramatycznych scen. Widać

jednak każde monstrum musi zademonstrować swoje możliwości, zanim da się wykorzystać...

– Zjadę tam. Zawiadam wszystkich na dole. Mają czekać pod windą – mruknął.

Zatrzymał się jeszcze na chwilę w gabinecie. Musiał zebrać myśli. A może po raz ostatni spojrzeć na miejsce, gdzie spędził tyle w sumie dobrych lat? Piaskowy wciąż był ryzykiem, Gabor miał nadzieję opanować go i wykorzystać do własnych celów (z którymi nie zdradzał się przed resztą ludzi, nawet ze swojej partii), ale przecież istniało niewielkie ryzyko, że coś pójdzie nie tak i skończy w zębach Egipcjanina.

Zjechał na dół i w asyście kilku uzbrojonych strażników powędrował do komory z Al-Ghazanim. Dochodząc tam, słyszał hałasy.

– Wejdę sam – oznajmił, zatrzymując się kilka metrów przed wejściem. – Jeśli nie wyjdę za godzinę, sprawdźcie sytuację przez wizjer. W żadnym wypadku nie otwierać, jeśli ja nie dam sygnału. Gdyby coś poszło całkiem źle... za tydzień zawiadomcie naszych towarzyszy z Zachodu. Oni będą wiedzieć, co zrobić.

Kiedy wszedł, piaskowy dzinn trząsł akurat swoją skrzynią. Drgania przenosiły się na powierzchnię komory, nawet metalowe drzwi zaczęły nieprzyjemnie brzęczeć.

Nagle zaczął wycić przeciągle jak wiatr sunący po wydmach.

– Przestań – rzucił sucho Gabor.

Co też temu opętańcowi przyszło do głowy.

– Boli! – wyjęczał Al-Ghazani na najlepszej drodze do zostania Janem Gazanowiczem.

Przestał wycić, przestał rzucać się w swojej skrzyni i patrzył teraz wyczekująco na Daniłowicza.

Wtedy dotarło do Gabora, że to nie żadne egipskie przypadłości, o których nie wiedział. Nie, zapewne nic z tych rzeczy. Po prostu wczoraj zadał mu za dużo polskiej paszy, co najmniej o garść piasku i ziemi za dużo – i Al Ghazani nie zdołał jej strawić i wchłonąć, przebudowując się we wskazanym polskim kierunku. Przekarmiony, prosta sprawa...

Tak to jest, jak się człowiek miota i raz zadaje ścisłą dietę, a drugim razem przekarmi...

Patrzył, jak olbrzym faluje, charcząc przy tym i mamrocząc słowa w koptyjskim czy innym języku, jakby słownik polski wyczerpał się po jednym słowie. No cóż, to akurat Daniłowicza nie dziwiło, wielu ludzi również miało ograniczony słownik...

– No i trzeba będzie przegłodzić delikwenta – powiedział do siebie. – Bądź cierpliwy. Przejdzie.

Podszedł do Al-Ghazaniego. Widząc skrzywioną minę dzinna, wycofał się jednak i wrócił na korytarz.

Tu czekało go zaskoczenie: strażnicy wyglądali, jakby na jego widok chcieli zacząć wiwatować, ale z trudem się powstrzymali. Gabor skubnął wargę, żeby ukryć rodzący się uśmiech, i wrócił na górę.

Na zebraniu w sali konferencyjnej Radecki był do bólu konkretny i raczej słuchał, niż rozkazywał czy pouczał. Chociaż słuchając komentarzy ministrów i szefostwa kampanii wyborczej, miał wrażenie, że zaraz trafi go szlag.

Sondaże nie pozostawiały złudzeń. Obie nieludzkie partie szły łeb w łeb albo nawet pazur w pazur. Pachniało krwią, bólem i rozczarowaniami, jakie przyniesie ostatnia faza kampanii wyborczej. Jeśli nie zaczną działać, być może to Nasza Ziemia przejmie władzę! A tymczasem ci durnie szeptali między sobą lekceważąco:

– Eeee, zawsze ktoś na nas zagłosuje, najwyżej wejdziemy z listy krajowej...

„Nie ma już listy krajowej!”, chciał krzyknąć. Sporo z tych durnych wampirów wciąż żyło przeszłością, mentalnie albo jak ten cholerny Ponimirski, bawiąc się arystokratyczną symboliką. A tymczasem bardzo nowocześnie dostaną w dupę, jak się zaraz nie wezmą do roboty.

Celował w obstrukcji zwłaszcza minister edukacji Karkoszka.

Radecki nie chciał robić afery w tak dużym gronie. Trochę zmotywował wszystkich, ale starał się trzymać nerwy na wodzy,

wiedząc, że sytuacja wciąż jest niepewna, pościg za Ponimirskim trwa, dzień wyborów się zbliża, łatwo o jakiś błąd.

Wziął za to ministra na rozmowę do swojego gabinetu. I tu dopiero wybuchnął:

– Co ty sobie wyobrażasz, Karkoszka? Że jak pół kadencji przebimbałeś, to nadal tak możesz? Że nie ma innych wampirów na twoje miejsce?!

Karkoszka był mężczyzną wysokim, nieco zbyt otyłym, ale ta masa (i zapewne ministrowanie) dawała mu poczucie pewności siebie. Dlatego Radecki zajął miejsce za biurkiem, każąc mu stać.

– Teraz przecież i tak możemy tylko administrować. A w wyborach niewiele się już zmieni, wystarczy pilnować tego, co mamy...

– A co mamy?! – wrzasnął rozdrażniony Radecki, powstając gwałtownie. Oparł ręce o blat, szeroko rozstawione palce wyglądały jak zagarniające drewno szpony, chociaż tych ostatnich nie wysunął. – Spadające sondaże mamy!

– I tak musimy poczekać na werdykt tych wszystkich januszy, wampirów i gulaszy, całej tej masy wyborczej, która jednych obdarzy pocałunkiem pokoju, a drugich pocałunkiem śmierci – mruknął Karkoszka, poważniejąc nagle.

Nie dopowiedział końca tej kretyńskiej anegdoty, ale Radecki i tak ją znał. „A potem jeszcze trzeba poczekać na pocałunek w drugi policzek: posadę w rządzie lub okolicach, przynajmniej sekretarza stanu. Inaczej nie warto się szarpać, bo tylko żyłka pęknie”.

– Do roboty – wygonił ministra, przysięgając sobie, że po wyborach się z nim rozliczy.

Tak, po wyborach nastąpi małe wietrzenie dywanów i pracowników, był już tego pewien.

Driller z niedowierzaniem patrzył na dwie kartki.

Pierwsza była najnowszym sondażem OBOP-u. Co prawda Partia Demokratyczna zrównywała się w nim z Naszą Ziemią, ale Unii poparcie też mocno wzrosło! Tylko trzy partie w sejmie! Sondaż co

prawda telefoniczny, ale za to nie na zamówienie partii, więc o wiele bardziej wiarygodny. „Co ja takiego właściwie zrobiłem, że tak skoczyło?”, pomyślał zaskoczony. Uśmiechnął się wreszcie – czyżby pomogła groźba wypowiedziana w czasie wiecu w Płocku? Zaprzyjaźnieni albo zateczkowani dziennikarze postarali się, aby dotarło to do wyborców... Cóż, ich łaska na pstrym koniu jeździ, a wyroki są niezbadane, póki nie policzy się głosów w urnach...

Druga kartka była oficjalnym protestem wobec niewywiązywania się Unii Społecznej z umowy o wspieraniu przyszłego ewentualnego koalicjanta. I zapowiedzią, że Polska Razem podejmie kroki, aby właściwie odnieść się do sytuacji.

Driller dla przypomnienia zerknął jeszcze raz na kartkę z sondażem. Tak, wciąż PR balansowała na krawędzi progu wyborczego, i to po niewłaściwej stronie. Jeden ruch palcem wyborcy mógł ją z tego progu strącić w przepaść, czyli poniżej trzech procent, w której kryła się czarna dziura braku dotacji państwowych dla takich ciamajdów jak oni.

– Ja ci dam groźby, ty cholero – mruknął. Wszedł do sekretariatu. – Asia, daj mi Leśniewskiego. – Nie przejmował się tym, że w sekretariacie jest sporo ludzi, niewykluczone, że także szpiegów pozostałych partii. – Leśniewski! – mówił tak głośno, żeby słyszał go nie tylko rozmówca, ale także reszta zgromadzonych w swoich sprawach, kandydatów na posłów, interesantów, ludzi chcących poprzez partię dochrapać się jakiejś sprawiedliwości w swoich sprawach. – Co ty sobie wyobrażasz? Będiesz mnie straszyć? To i ja dziękuję za takie chodzenie ramię w ramię. Proponujesz randkę pod przymusem, pod groźbą lufy pistoletu?

Z kamienną twarzą i nieuważnie słuchał nerwowych wyjaśnień tamtego, ciesząc się, że nie słyszy ich nikt poza nim. Obmyślał puentę.

– Jaka Polska Razem? – syknął wreszcie, przerywając Leśniewskiemu słowotok. – Jaka? Razem to chyba w piekle. Widziałeś najnowszy sondaż OBOP-u? Teraz to na nas ludzie głosują, nie na ciebie.

Przerwał połączenie i odwróciwszy się plecami do tłumku i sekretarek, uśmiechając się pod nosem, powędrował do swojego

gabinetu.

Już niedługo nastąpi spektakularny powrót do wielkiej polityki. Gdybyż jeszcze udało się upolować księcia pana, czyli hrabiego Ponimirskiego...

Po rozmowie z Karkoszką marszałek miał dosyć wszystkich ministrów razem i każdego z osobna. Najchętniej by zasnął i obudził się po wyborach, po złapaniu Ponimirskiego, nie wcześniej...

Jednak sekretarz po godzinie zaanonsował mu ministra spraw wewnętrznych Dulębickiego, dodając, że przyszedł ze sprawą niecierpiącą zwłoki.

– Będzie problem – zaczął niepewnie zakłopotany minister, ledwie znalazł się w gabinecie.

Radecki podniósł na niego zmęczony wzrok. Nawet i wampir musi kiedyś spać, a on dotarł do punktu, w którym biała kartka zamiast z czymś do napisania kojarzyła mu się z pościelą i opadał na nią twarzą.

– Nasi zgarnęli rosyjskiego szpiega, człowieka – ciągnął Dulębicki.
– A właściwie nie tyle zgarnęli, ile...

Tu zawahał się, bo nie wiedział, jak to zgrabnie ująć w słowa.

– Obserwowaliśmy go, to znaczy nasi chłopcy, zamierzaliśmy przewerbować, ale nie zdążyliśmy...

– Bo...? – Radecki z trudem powstrzymywał narastającą irytację.

– Bo tamten zaplątał się w okolicach mostu Siekierkowskiego, a jeden z wampirów patrolujących obiekty strategiczne i ważnego przeznaczenia wszedł nam w paradę...

Minister nadal nie wyglądał na takiego, który umie się streszczać i przedstawić dowolną sprawę w krótkich żołnierskich słowach.

– I...?

Radecki pomyślał, że jak będzie musiał tak wyciągać relację słowo po słowie z ministra, to skończy się wyciągnięciem nie tylko relacji, lecz także całej szczęki Dulębickiego.

– I przewerbował go do wieczności. – Minister spuścił głowę. – Znaczący, zabił tego szpiega, nawet nie zadbał, żeby uczynić go wampirem.

Radecki pobladł. Afera międzynarodowa to naprawdę było coś, czego nie oczekiwał ani teraz, ani nigdy. Coś, co mogło mieć reperkusje równie wielkie jak szajba Ponimirskiego!

– A co on tam robił, pod tym mostem, ten szpieg? Kwiatki podlewał?

Minister wzruszył ramionami. Na razie nie udało się tego ustalić.

– A zaginięcie tamci zgłosili? Ktoś od nich wie? – ciągnął Radecki.

– My wiemy – stwierdził ponuro minister. – My wiemy i zapewne oni też wiedzą, choć świadków nie było. Zresztą ten wampir czeka w pokoju obok, byłem pewien, że zechce go pan od razu przesłuchać, bo decyzję trzeba podjąć szybko.

– Dawaj go – zgodził się niechętnie Radecki. – Miejmy to za sobą.

Kiedy wprowadzili Jankisa do gabinetu Radeckiego, marszałek przeżył szok. Nie dalej jak kilka dni temu (nie pamiętał zbyt dokładnie) nagradzał tego strażnika za odważną akcję, w wyniku której most Siekierkowski został uratowany przed podpaleniem. A dziś ten sam wampir staje przed nim oskarżony o morderstwo, i to szpiega? Cóż mu przyszło do tego zakutego łba? A może to pomyłka?

Z trudem wychwytywał sens z chaotycznych wyjaśnień strażnika, że znów mu się śniło podpalenie mostu, twarze, a on wierzy w znaki, bo gdyby nie wierzył, nie uchroniłby mostu przed podpaleniem, prawda? I że jak w czasie patrolu spotkał niedaleko mostu tego szpiega (a wtedy nie wiedział, że to szpieg, ale gdyby wiedział, tym bardziej miałby prawo go podejrzewać, prawda?), i kiedy tamten zaczął przed nim uciekać, to stało się oczywiste, że ma nieczyste sumienie. I... Jankis zaczął go gonić.

– I... – tu głos mu się załamał – dogoniłem go. A potem zneutralizowałem.

– Taaa, zneutralizował. Teraz do kupy nie poskłada go nawet najlepszy wizażysta pogrzebowy – mruknął minister. – Widziałem zdjęcia, wiem, co mówię...

Radecki patrzył na Jankisa i zastanawiał się, co zrobić. Strażnik stał ze spuszczoną głową. Nie czuł się winny, ale wiedział, że zrobił źle – ot, paradoks.

Wreszcie marszałek przygryzł wagę. Czuł powagę sytuacji, ale ta pełna paradoksów historia miała swój humorystyczny aspekt.

– Most cię wydzwignął do sławy i pod mostem skończysz, tyle że innym – mruknął, powstrzymując nerwowy chichot. – Odprawił go gestem, wymierzenie kary zostawiając na później.

– Aaaaaa, czekaj! – powstrzymał go nagle, gdy Jankis był już właściwie na korytarzu.

Radecki poczekał, aż niepokorny strażnik wróci do pokoju. Marszałek popatrzył na niego i westchnął.

– Jak jesteś taki... czujny, to szkoda marnować twoje umiejętności. Znasz sekretarza Bergamutka? Chyba będziesz pasować do jego ekipy.

Wiedział, że nie powinien tego robić, jednak żal mu się zrobiło wampira z Pragi. Był szczery, czujny, ideowy. Będzie musiał mu wymierzyć jakąś karę, ale w sumie Radecki chciałby mieć więcej takich wampirów wokół siebie zamiast klakierów i nieudaczników.

– No idź, zamelduj mu się, zanim zmienię zdanie.

Odprawił Jankisa niedbałym ruchem ręki. Potem z namysłem popatrzył na ministra.

– No cóż, może się nie upomną – stwierdził sceptycznie, gdy zostali sami z ministrem. – Tacy to już ludzie. Niby ich, niby swój, ale jak przydarzy się wpadka, to zawsze obcy, sierota, nikomu nieznan. A ten w dodatku zaginął, może nie znajdą śladu...

– Tropu nie znajdą. – Minister z namysłem splótł palce i uśmiechnął się lekko. – Wylizaliśmy tam ziemię do ostatniej kropli śladu...

Hrabia pociągnął nosem. Wilgoć... Miał już dosyć lasu, serdecznie miał go dosyć! Dlaczego nie zdecydował się na trasę prosto do twierdzy? Jak zwykle wszystko musiał przekombinować, przechytryć nie tylko innych, ale też siebie. Było jechać bez zwlekania, zanim Radecki i reszta by się połapali, już byłby na miejscu. A tak zwodził Wargasa, zwodził tropicieli, ciągnąc ich pod Wałbrzych, a czas leciał... Ochota na robienie afery też umykała.

W lesie było zimno, wilgotno, noce jednak stanowczo zbyt chłodne i w dodatku nie miał kto dźwigać bagaży, więc został z dwiema parami spodni i koszul, bo resztę musiał porzucić, żeby wziąć jak najwięcej jedzenia!

Z namysłem popatrzył na pustą butelkę po witaminach. Ileż by dał, żeby było w niej trochę madery albo portwajnu...

Znalazł kamień i zakopał ją w wydrążonej dziurze, ziemię rozsypując dokoła szerokim ruchem ręki. Kamień położył ostrożnie jak poprzednio. Może tropiciele niczego nie zauważą. Ruszył dalej.

Wkrótce trafił na spory strumień. No, może nie taki spory, ale nie był to też strumyk gruby na dłoń, tylko całkiem duży ciek, szerokości ze dwóch metrów, głębokości – co stwierdził po wsadzeniu ręki – przynajmniej pół. Przynajmniej w tym miejscu. Biegł względnie prosto, udając nieco anorektyczną rzekę.

I wtedy Ponimirskiemu przyszedł do głowy szalony pomysł, a może wspomnienie jakiegoś obejrzanego filmu? Pospieszenie wyciągnął z plecaka brezentową płachtę. Pospinał ją na brzegach, tworząc coś na kształt łódki...

Tak, pomysł był szalony – tropiciele, o ile idą jego śladem (a w to nie wątpił podobnie jak w to, że prędzej czy później jego sekretarz trafi w ich łapy), będą szukać miejsca, gdzie przekroczył strumień i ruszył dalej na północ. A on...

Łódka. Kiedy ostrożnie położył okręcik z brezentu na wodzie, ten zaczął podrygiwać lekko, niecierpliwie, jakby spieszo było mu wyruszyć w drogę. Hrabia przez chwilę obserwował, czy nie przecieka, ale nie, brzegi były spięte wysoko, a w środku tego niezwykłego pojazdu sucho. Pytanie raczej, czy nie zatonie pod jego ciężarem... Na wszelki wypadek hrabia najpierw wyciągnął go na brzeg, włożył plecak i ponownie zwodował.

Hm, łódka nadal wydawała się gotowa do rejsu, zanurzyła się niewiele.

Nagle hrabia się zamyślił. Będzie widać, że tu skończył swój marsz, a ziemia trochę wytarta, ślady pozostaną. Ale można zmylić tropicieli...

Trochę wcześniej, z pięćdziesiąt metrów w stronę, skąd przyszedł, minął sporą kupę piór pozostałych po jakimś ptaku, który zdechł ze

starości albo skonał w wyniku nagłego ataku zębów i pazurów.

Rozrzucił trochę piórek, resztę wrzucił na dno łódki. Niech tropiciele myślą, że odfrunął, choć nie pojmą, jakim sposobem. Uśmiechnął się, wsiadł do swojej łódki i... za pierwszym razem omal nie wywrócił swego pojazdu!

Po chwili zdołał się jakoś ukokosić w środku i ruszył w drogę.

Biela wydawał się bardzo dumny z siebie. Jak przystało na spin doktora, tryskał pomysłami. Niemal dosłownie: kartka, którą przed chwilą położył na biurku szefa, pełna była czerwonych podkreśleń, niemal tak grubych jak odsłonięte żyły w udzie rosnącego człowieka. Widać wziął sobie ostatnie krytyczne uwagi szefa do serca.

Istotne było hasło, obwiedzione właśnie kilkoma takimi krwistymi żyłami: „*Nie będzie wampir głosował na ghula ani na człowieka*”.

– A co to ma być, obwieszczenie z ambony? – spytał sucho Radecki.

Biela wydawał się zaskoczony tonem szefa.

– No, dostarczymy to każdemu wyborcy z naszego klanu...

Marszałek spojrzał na niego, z trudem hamując narastającą wściekłość.

– A myślisz, że oni nie wiedzą, że *powinni* głosować na nas? Jeśli potraktujemy ich jak idiotów, to na złość mogą zagłosować na gulaszy albo nawet na ludzi.

– Wiedzą – przyznał spin doktor – ale chcemy im przypomnieć.

Zawahał się, ale wreszcie dodał to, co od dobrej chwili miał na języku:

– Gdyby naprawdę wiedzieli, jak głosować, to żadna kampania nie byłaby potrzebna...

Radecki z powagą kiwnął głową. Cóż, może i spin doktor miał rację, a on, stary idealista, patrzył na to w zbyt konserwatywny sposób. Ale nadal to źle brzmiało.

– Popraw hasło, zostaw sens i jedziemy. Tylko najlepiej zrób je tak, żeby nie trafiło w niepowołane ręce, bo gdyby je jakiś człowiek przeczytał, mogłyby być problemy.

– Nie ma takiej opcji – zapewnił go szybko Biela. – Papier będzie czuły na ludzki pot i oddech, więc żaden człowiek nie zobaczy tekstu, ten zniknie, gdy stanie metr od kartki. Nasza komórka zdobyła patent od zachodniaków już rok temu...

– Dobra, znikaj – westchnął przekonany Radecki.

Ludwik spływał potem. Dawno nie zrobił tylu kilometrów w tak szalonym tempie – miał wrażenie, że ta pogoń za Ponimirskim bardzo przypomina wielkowiejski wyścig szczurów, który przecież odrzucił, czując, że go zabija. Dwaj ghule, którzy dołączyli do niego wkrótce po ruszeniu w pogoń za hrabią, ledwie dotrzymywali mu kroku. Cóż, warszawska kondycja, wytrenowana na metrze, autobusach i samochodach – uśmiechnął się samymi kącikami ust. Modne ostatnio było używanie roweru, ale czy wdychanie spalin naprawdę poprawiało sprawność?

No tak, ale nie mógł zawieść Daniłowicza!

Nagle zatrzymał się, w prześwicie między drzewami dostrzegając powierzchnię wody? Jezioro?

Na szczęście był to tylko brzeg stosunkowo dużego strumienia. Kiedy jednak Ludwik doszedł do miejsca, gdzie trochę wygniecionej trawy wskazywało na czyjś biwak, zobaczył pióra. A kiedy przeszedł na drugą stronę, nie wyczuł śladu hrabiego! Przeszedł z dziesięć metrów, wrócił na brzeg i poszedł wzdłuż, w obie strony, przedzierając się przez krzewy i gałęzie drzew opadające nad wodę – ani śladu!

– Jasny szlag! – powiedział do siebie ze zgrozą.

Hrabia nie rozpułynał się przecież w powietrzu... Te pióra...

Nie, pokręcił głową. Pióra były zbyt ostentacyjne, o ile to Ponimirski je rzucił. Wziął jedno do ręki. Pachniały arystokratą. Jednak ghul prędzej uwierzyłby w teleportację hrabiego niż lot na ptasich skrzydłach. Ikar stał się *passé* już jakiś czas temu...

Co więc stało się z uciekinierem? Ghul uważnie przyjrzał się strumieniowi, starając się przeniknąć lustro wody i sięgnąć wzrokiem dna. Nie dostrzegł śladów butów czy stóp. Zniechęcony uniósł wzrok wyżej...

Wtem zauważył nieco dalej małe urwane gałązki, jakby ktoś się odpychał, odgarniał też przeszkadzające nad poziomem wody grubsze gałęzie...

– Spryciarz! – mruknął.

Wędrując korytem, cała trójka ghuli sprawdzała co chwila brzegi, szczególnie północny. Gdzieś bokiem przemknęła Ludwikowi myśl, że idzie mu tak dobrze, jakby właśnie odkrył swoje prawdziwe powołanie. Na razie ją odsunął. Na zastanawianie się przyjdzie czas później.

Machnął ręką na pozostałych tropicieli, którzy poddali mu się bez szemrania.

– Skupiamy się na północnym brzegu, gdzieś tu wyszedł – nakazał.

Zajęcia były nudne, ale Ziemek postanowił nie narażać się ojcu, wręcz przeciwnie: zachowywać się tak wzorowo, aby zasłużyć na uwagę ojca.

Opętała go myśl, którą wywołały zdjęcia w gabinecie. Aparatura. Nie magia, tylko sprzęt.

Ojciec zawsze wychowywał go w przekonaniu, że magia nie istnieje, nawet jeśli ktoś tak twierdzi i nawet jeśli wokół nieludzi została stworzona taka legenda.

– To tylko bajki – mówił. – To wiedza pozwala coś zrobić, niewiedza skazuje na poddanie się temu.

Ziemek nie miał odwagi pytać ojca, co sądzi o przemianie Joanny, jednak był pewien, że stary dopatruje się w tym właśnie takiego działania, a trudność stanowiło znalezienie antidotum. I o tym właśnie rozmyślał Ziemek podczas wykładów. Miał świetną pamięć, niemalże fotograficzną, i postanowił to wykorzystać. Hrabia mógł korzystać ze sprzętu jakiegoś samouka, na pewno nie była to produkcja masowa, ale równie dobrze przynajmniej pewne elementy mogły być znane.

Niecierpliwie przeglądał internet w czasie zajęć, starając się nie dać przyłapać wykładowcom, kupił parę książek o alchemii – jednak nigdzie nie trafił na ślad czegoś, co widział w gabinecie ojca.

W końcu wieczorem przy kolacji zagadnął go:

– Tato, to z pewnością można odwrócić.

Włodzimierz zawiesił na nim ciężkie spojrzenie.

– A myślisz, że o tym nie rozmyślałam?

– Gdybym miał dostęp... – zaczął z entuzjazmem Ziemek. –
Gdyby...

Stary Hedo plasnął dłonią o blat stołu, aż talerze podskoczyły.

– Ani mi się waż! Straciłem córkę, chcesz mnie pozbawić syna? Ty masz się uczyć!

Nie powiedział ani słowa więcej, jednak przy stole zaległa martwa cisza, mimo że w posiłku uczestniczyło kilkoro domowników.

Ziemek zrozumiał, że musi skorzystać ze swojej świetnej pamięci i odtworzyć fotografie, sprzęt ze zdjęć, bo nawet dostępu do gabinetu ojca w tej sprawie nie dostanie.

Jednak nie zamierzał rezygnować, o nie! Skonstruuje sprzęt, udowodni ojcu, że jego teoria jest poprawna i co się zamieniło z wampira w człowieka, można będzie zamienić z powrotem!

Póki nie opadł z sił, robił szkice z pamięci.

Zbuduje taką aparaturę. A jeśli trzeba będzie przetestować jej działanie, zrobi to najpierw na sobie, żeby nikogo nie narażać!

Jeszcze trochę. Hrabia był bardzo zadowolony z siebie – sztuczka z łódką z pewnością kupiła mu trochę czasu. Akurat dosyć, aby dotarł do fortecy.

A na koniec podróży strumieniem jeszcze wywinął im psikusa. Miał trzecią parę ochraniaczy na spodnie i trochę sprayu z ludzkim zapachem, wyjął to i założył, stojąc w wodzie, a łódkę puścił dalej. Wyszedł na brzeg w miejscu, gdzie co chwila ktoś wychodził, biegła wtedy ścieżka i bród. Może tropiciele pójną dalej śladem łódki, puszczonej z prądem, z kilkoma rzeczami nasiąkniętymi zapachem hrabiego.

Poprawił paski plecaka i ruszył w stronę Czerwonej Fortecy.

Ludwik z podziwem kręcił głową. Hrabia miał fantazję, okazał się godnym przeciwnikiem... a chwilami nawet zabawnym. Jednak gbul

dzięki latom spędzonym w lesie miał nad nim przewagę, którą teraz bezwzględnie wykorzystywał.

Nakazał ciszę wędrującym za nim ludziom Daniłowicza, a potem wskazał im horyzont. Tam widać było w prześwicie sylwetkę hrabiego. Kilka kilometrów... niedługo go dogonią, najpóźniej gdy hrabia zdecyduje się na nocleg.

Kiwnęli głowami, uśmiechnęli się mrocznie. Tak, to będą dobre łowy.

Ludwik czuł, jak krąży w nim adrenalina. Stwierdził, że to lubi. Znów to lubi... to, czyli rywalizację.

Czas eremity mijał.

Marach ostrożnie wyglądął z krzaków. Ten przeklęty ghul i jego obstawa wciąż byli przed nimi, ale sądząc po nagłym zatrzymaniu się, trafili na coś ważnego.

Myśleli, że są sprytni, lecz nie docenili wampirów. Ten eremita włókł za sobą ogon. Tylko raz, przy strumieniu, wampiry dały się zaskoczyć i wyprowadzić w pole, ale szybko zawróciły i złapały ghula na wędkę. Teraz prowadził je lepiej, niż umiały one same.

– Daj znać staremu, że to chyba koniec, zbliżamy się do hrabiego – szepnął do Danaja. – Jakby co, nawet damy im złapać Ponimirskiego, dopiero potem wkroczymy.

Jego towarzysz uśmiechnął się okrutnie, po czym poklepał kieszeń, żeby namacać telefon, i odsunął się do tyłu.

Miejsce to nie bez powodu nosiło nazwę Czerwonej Fortecy. I nie chodziło bynajmniej o mury budowli wzniesione z czerwonej cegły na wyspie pośrodku rzeki, która w tym miejscu rozszerzała się w grubą soczewkę, niemal potrajając swą szerokość.

Nawet tu lekka bryza znad wody niosła zapach róż, które porastały właściwie każdy wolny skrawek przestrzeni na wyspie, wspinając się na ściany budynku. Również brzeg, na którym stał Ponimirski, podbiły różane zarośla z wplecionymi weń krzakami tarniny i głogu. Mimo późnej pory będą kwitnąć aż do śniegów, właściciel sprowadził najbardziej odporne na temperaturę

i najpóźniejsze gatunki, wymieszane z tymi wczesnymi. W lecie wyspa musiała przypominać czerwony płomień na wodzie.

Nozdrza hrabiego drżały. Ludzie tego nie wiedzieli, a Hollywood rękoma i głowami wszystkich przedstawicieli świata nieładzi pracowało, aby sekret nigdy nie wyszedł na jaw, podsuwając fałszywe tropy, ale największym zagrożeniem dla wampirów, ghuli i zombi były róże, głóg i tarnina, a właściwie zawarte w nich związki. Dlatego hrabia stał na niewielkim pomoście, starając się nawet nie patrzeć za siebie. Pomost wcinał się w rzekę na kilka metrów, ale brzeg był cały porośnięty.

Wyciągnął telefon z kieszeni i wybrał numer.

– Jestem. Odbierzcie mnie jak najszybciej.

Czekał, z niepokojem oglądając się za siebie, z rzadka tylko przenosząc wzrok na wyspę. Miała może ze dwa–trzy akry, budowla zajmowała większość tej przestrzeni. Było to dziwne miejsce, prędzej można by się tu spodziewać ławicy piasku, może przeplecionego sitowiem, ot, rzecznej wysepki, miękkiej, czasowo nawet zmniejszanej przez wezbrany nurt. Tymczasem pośrodku rzeki tkwiła lita skała, jakby przed wiekami czy tysiącletkami ktoś ją tu wrzucił albo jakby rzeka wyłobiła sobie koryto w skale, pozostawiając tylko tę wyspę. Solidny fundament Czerwonej Fortecy.

Wreszcie rozległ się dźwięk silnika i na rzece poniżej wyspy pojawiła się mała motorówka z barczystym sternikiem. Kilkadziesiąt metrów płynęła z nurtem, by następnie ostro zawrócić w górę i po krótkiej a wygranej walce z prądem stuknąć o pomost.

– Hrabia Ponimirski, jak sądzę?

Arystokrata nie miał ochoty na stylizowanie się na Livingstone’a, zwłaszcza że ryk potężnego silnika skutecznie zagłuszał słowa, więc tylko wrzucił plecak do środka, sam też zajął miejsce i odkrzyknął:

– Płynmy. Ścigają mnie.

Dali się ponieść nurtowi, w kilka minut docierając do miejsca na środku rzeki poniżej wyspy. Tam sternik wykonał ostry, ryzykowny zwrot przez prawą burzę i pokonując niezwykle silny w tym miejscu prąd, zawrócił do wyspy. Na jej krańcu znajdowało się wejście wyglądające jak wygryziona dziurka w serze. Minęli je, przewoźnik

nacisnął pilot, który trzymał w ręku. Za ich plecami opadł brakujący fragment muru, zapewne także porośnięty dziką różą.

– Witaj w fortecy, hrabio – powitał Ponimirskiego młody głos.

Głos Arkadiusza, który żył z jego woli, a wbrew woli nocnego klanu.

Ludwik patrzył na fortecę, stojąc niemal ledwie krok czy dwa od brzegu pomostu. Nie odważył się wejść dalej, deski wydały mu się przegniłe, zbyt wątle, a bariera śmiertelnie groźnych krzewów zbyt gęsta.

Nie widział hrabiego, ale przecież miał pewność, że jest na wyspie. Kiedy porzuciwszy maszerujących wolniej towarzyszy, pogonił ku pomostowi, usłyszał dźwięk silnika.

Nagle na ścieżce u podstawy pomostu zabębniły kroki i Ludwika wyminęła trójka wampirów, nie starając się nawet o zachowanie czegokolwiek na kształt dobrych obyczajów. Pijawki dotarły na skraj pomostu i sycząc z wściekłości, wpatrywały się w sylwetę fortecy.

Nie wiedziały zapewne, że Ludwik jest ghulem eremity obecnie na zwolnieniu z pustelniczego etatu. Za to on pojął, że był ciężkim frajerem, bo doprowadził je tutaj. Cały czas ciągnął za sobą ogon. Byli sprytniejsi od niego.

– Dzwon, na co czekasz! – syknął jeden z nich, patrząc zimno na swego towarzysza. – Trzeba ściągnąć posiłki, zanim zrobią to gulasze!

Nie mogli widzieć miny Ludwika, ale jego zgrzytnięcie zębami z pewnością usłyszeli.

Od razu ruszyli w drogę. Tym bardziej że obecność ghuli znacznie komplikowała sytuację, pewno oni także pospiesznie przygotowywali się do wyjazdu ze stolicy. Jakim cudem Daniłowicz wygrzebał tych swoich tropicieli? W tej chwili Radecki zwątpił w zdradę. Po prostu nie docenił rywali, musiał to przed sobą przyznać.

Rozterki duszy nie przeszkodziły mu w sprawnym ściągnięciu Szumilasa. Biela musi pozostać, będzie koordynować kampanię po zniknięciu szefa, ratować sytuację w razie potrzeby. Od bieżących spraw zostaje Bergamutek, da sobie radę.

Musiał jeszcze tylko ugłaskać Mariannę.

– Aby do wyborów, potem zajmiemy się wampirzatkami, przysięgam – obiecał, unikając jej powątpiewającego spojrzenia. – Zostawię im wyczyszczonej sytuację i jestem wylogowany, cały twój...

Hedowie nie opóźniali, więc wkrótce byli już w drodze, dwoma autami mknąc tak szybko, jak pozwalała sytuacja. Radecki rozmyślał nad raportem złożonym mu przez tropicieli. Budynek na wyspie porośnięty krzewem różanym (zdjęcie było marnej jakości, ale sylweta wystająca ponad wodę robiła wrażenie). Co on tam robi, kto jest jego właścicielem? I dlaczego hrabia uciekł do środka? Nic z tego nie rozumiał. Zajął się za to poszukiwaniami właściciela, chcąc dowiedzieć się o nim czegokolwiek, chociaż zapewne spece z rodziny Hedów też już nad tym pracowali.

Nagle jego telefon zabrzączał. Spojrzał na numer i... zdębiał.

Pozwolił, aby rozległo się jeszcze kilka sygnałów. Telefon wciąż dzwonił. Wyświetlał się numer, który znało może ze dwadzieścia osób w Polsce. Numer w przynajmniej kilku krajach Europy Środkowej znany jako alarmowy. Bardzo ściśle powiązany ze strukturami Federacji Nieludzi!

W takim momencie? Nie, nie, nie – Radecki zupełnie nie wierzył w takie przypadki! Przez pół minuty wahał się, ignorując nerwowe spojrzenia współpasażerów, nim wreszcie odebrał.

Właściwie nawet nie rozmawiał. Słuchał i raz czy dwa potwierdził słabym głosem, że rozumie.

Kiedy odłożył słuchawkę, Szumilas minę miał mocno przerażoną. Domyślił się, z kim miał nieprzyjemność rozmawiać jego szef.

– Już są na lotnisku, ktoś musi ich odebrać za kwadrans – oznajmił marszałek, oddychając głęboko. Na czole miał duże krople potu. – Dzwonię do Bieli i do premiera.

Jednak rozmowa z Bielą nie poszła tak, jak się spodziewał.

– Dziesięć. – Radecki nawet nie podniósł głosu, wystarczył ton przypominający metodyczne przerabianie pieńka na szczapki. – Dziesięć minut, choćby przyszło potem płacić mandaty albo tłumaczyć się przed policją. Zaraz – warknął niespodziewanie, wprowadzając zgrzyt do partytury tej rozmowy. – To co ty robiłeś na tym stypendium Fulbrighta, jak się dogadywałeś, na migi? Jezu, co za pacan niemyty, to kto z nimi będzie rozmawiać? Długoszewski? Przecież on też nie zna żadnego języka... Tak, dobrze słyszysz, żadnego, z polskim też radzi sobie słabo!

Przerwał połączenie, przewrócił oczyma. Szumilas był blady, ale jego oblicze z wolna odzyskiwało zdrowy wygląd. Też miał kłopoty z komunikacją międzynarodową i ręce zwykle go bolały, ale na szczęście oddalali się od Okęcia z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Radecki westchnął... i nagle przypomniał sobie o prośbie Hedy. Połączył się z nim natychmiast.

– Daj mi numer Ziemka. Nie, potem wyjaśnię, po prostu daj. Zakładam, że zna angielski? Tak myślałem. Przesyłaj.

– Ziemek? Tu Radecki, no wiesz, prezes. Tak, trzeba pojechać na Okęcie, ale na cito, łam przepisy, na miejscu będą pan Biela i premier Długoszewski, poradzą sobie z policją. Słuchaj, chłopcze, mam taką sprawę. Znasz angielski, będziesz tłumaczem. Oczywiście, obowiązuje ścisła tajemnica, cokolwiek zobaczysz i usłyszysz, ale tata pewno już cię uświadomił... albo wkrótce to zrobi. – Nabrał tchu. Powietrze w aucie śmierdziało strachem. – Graj na zwłokę, rozumiesz?

Nachylił się do kierowcy. Droga przed nimi wyglądała jak wiodąca do piekła kończącego się gdzieś tam, daleko, gdzie brakowało lamp.

– Do dechy. Musimy szybko załatwić sprawę z Ponimirskim i wracać, zanim te ciamajdy wpakują nas w nowe kłopoty.

Rozdział 11

Było ich trzech: wampir, ghul i zombi. Trzech Królów z prezentami. Zapewne były to różgi, bo przecież przylecieli do Polski na kontrolę, interwencję czy jak to tam zwał. Mieli zadbać, żeby w tym dzikim kraju nie wydarzyło się nic, co mogłoby naruszyć interesy Światowej Federacji Nieludzi.

Widok czekającej na nich delegacji polskich wampirów z nerwowo splatającym i rozplatającym dłonie premierem Długoszewskim powinien dać im do myślenia. Jeśli nie dał, cóż, życie jest przekorne i niemal natychmiast ponowiło szansę: okazało się bowiem, że z komunikacją będzie kłopot. Premier Długoszewski wybełkotał coś, co równie dobrze mogło być kordialnym powitaniem szanownych gości, jak i odesłaniem ich do diabła, w zależności od interpretacji tego, co miało być angielskim, a przypominało raczej malajski wzbogacony kilkoma zaledwie brzmiącymi z angielska słówkami, których Chińczyk uczył się od Filipińczyka.

Ziemek słuchał tego zawstydzony, ale skoro premier wyrwał się do przodu, musiał to znieść. Dopiero gdy Długoszewski, widząc, że nikt go nie rozumie, umilkł skonsternowany, Ziemek przywitał gości i przeprosił za nieobecność prezesa Radeckiego, który jest „w obowiązkach”, ale jutro powinien wrócić do stolicy. A na razie zaprasza gości do hotelu. Dodał, że będzie służył delegacji jako tłumacz, premier bowiem ma kłopoty z językiem, podobnie jak sekretarz Biela.

– Elias Zigger. Znam polski – oznajmił jeden z gości, drobny brunet o twarzy tak delikatnej, że mógłby uchodzić za kobietę.

Musiał być jednak twardym zawodnikiem, skoro to on przewodził całej trójce, która ustawiła się trochę za nim. „Wiadomo, wampir”, pomyślał Ziemek.

Zigger po sekundzie zdziwił go jeszcze bardziej, dodając:

– Kiedyś stąd wyemigrowałem...

Ziemek był zbyt młody, aby go pamiętać, premier Długoszewski, choć sędziwy, niczego sobie nie przypominał (było widać po jego minie, że stara się odpędzić swojego Niemca, a ten ściągnął na pomoc jeszcze kilku kolegów), Biela zaś tak bardzo skupiony był na niezrobieniu wpadki, że w ogóle chyba nie słyszał tego zaskakującego wyznania.

W głębi ducha Ziemek chciał parsknąć śmiechem. Sytuacja była dosyć niezręczna, zapowiadała się kompromitacja i utrwalenie stereotypu, że polski polityk ani języka w gębie nie ma, ani porządnego garnituru na grzbiecie, a interesują go tylko kilometrówki, małe biznesiki. Intelktualna nędza i gust dosyć cepeliowski. Jednak to nie młody Hedo odpowiadał za taki wizerunek, a popracować nad nim należało w lepszych okolicznościach. Pociągnął więc delikatnie Eliasa za rękaw, wskazując wyjście.

– Nie przylecieliśmy tu odpoczywać. – Poirytowany wampir wyrwał rękę z dłoni chłopaka. – Przecież pan wie, co jest celem naszej wizyty...? – Zawiesił głos, badawczo wpatrując się w Ziemka.

Chłopak gorączkowo zastanawiał się, co odpowiedzieć. Nie wszystko wiedział, ani tata, ani tym bardziej prezes Radecki nie dopuszczali go do głosu. Miał grać na zwłokę, a pewność, iż sprawa obraca się wokół zaginięcia Ponimirskiego, to było o wiele za mało, aby się tym chwalić. Nieznacznie skinął więc głową, powstrzymując się od wplątania w wyjaśnienia, które mogły tylko zdradzić głębie jego niewiedzy.

Na szczęście Biela wybawił go z kłopotu.

– Rzecz jasna, że wiemy. Jednak nikt się panów nie spodziewał, szczególnie o tej porze, więc prezes Radecki wyjechał w teren. Wróci o świcie, może rankiem, wtedy będzie czas na rozmowy. Nalegam na hotel.

I ruszył pierwszy. Ziemek szybko przetłumaczył przemowę spin doktora i chcąc nie chcąc, goście podążyli za nim.

Rezerwację Biela załatwił w czasie jazdy na lotnisko, więc ten kłopot im odpadł. Ziemek miał tylko nadzieję, że przynajmniej do jutra uda się odwlec podejmowanie decyzji. Pospiesznie układał

w głowie plan. Rankiem śniadanie, nie za wcześnie, kilka krokodylich łez, że prezes miał być, jednak może korki na drogach... Może jakieś zwiedzanie? Wierzył, że jeśli goście zadzwonią do Radeckiego, ten albo będzie niedostępny, albo nie wsypie chłopaka.

Zajechali pod Bristol z fasonem, który przestał Ziemka bawić w chwili, gdy uświadomił sobie, że Biela głupio wybrał hotel tak blisko Pałacu Prezydenckiego. Któryś z Trzech Królów może chceć odwiedzić polityka. Na szczęście wydawali się zmęczeni, humory zwarzyła im też nieobecność Radeckiego. Chłopak odprowadził ich do windy, gdzie przekazał boyowi już opiekującemu się bagażami gości.

W aucie Ziemek wybrał numer Radeckiego i zdał mu relację.

– Wracajcie jak najszybciej – poprosił. – Będą z nimi kłopoty, nie wydają się grzeczni i oczekujący zabawy. Szczególnie ten Elias, który im przewodzi, to jakiś emigrant...

– Najpierw musimy dojechać, żebyśmy mieli skąd wracać – cierpko zauważył Radecki. – Wampir czy ghul?

– Wampir – przyznał z niechęcią chłopak. – Tym gorzej dla nas, patrzył na mnie, jakby wszystkie moje kanty i nędzne sztuczki prześwietlił na wylot. Brakowało jedynie, żeby zaproponował wyskoczenie na lornetę i galaretę...

– Graj na czas, postaramy się zabawić tu jak najkrócej.

Klik i połączenie zostało przerwane.

Ugotowany!

Stojący za jego plecami Arkadiusz wydawał się nie tyle szczęśliwy z powodu towarzystwa, co zdezorientowany reakcją hrabiego. Nie rozumiał, dlaczego temu tak pilno było dostać się do pokoju audiowizualnego. Nie rozumiał jego przekleństw. I skulił się jak zbity pies, gdy hrabia odwrócił się z płonąącym wzrokiem i wycedził, wymierzając w niego palec wskazujący:

– Mam nadzieję, że chociaż ty umiesz obsługiwać to cholerstwo?

– Nie – zaprzeczył cicho chłopak. – Tylko tata czasem się bawił... Ale dawno, teraz nie ma czasu, wciąż siedzi w Stanach albo w Rosji, pilnuje biznesu...

No jasne, że Florycki się bawił, skoro przynajmniej kilka jego przedsięwzięć w tym korporacyjnym konglomeracie powiązanych firm miało związek z mediami! Pewno czasem zasiadał tu, by wymyślić filmik promocyjny albo zrelaksować się jatką z twarzy konkurentów. Albo wysłaniem w Polskę filmu z orędziem *dottore* Marka Floryckiego...

Co nie zmieniało faktu, że Floryckiego tu nie było, więc nie miał kto obsłużyć tego pieprzonego sprzętu! A jeśli hrabia nie zrobi tego za chwilę, wkrótce dopadną go te stwory, które widział na brzegu! Tropiciele na razie odpuścili, w końcu byli raczej poszukiwaczami niż komandosami, a silny prąd rzeki powstrzymywał ich przed pochopnym rzucaniem się w wodę, podobnie jak zasieki ze śmiertelnie trujących dla ludzi roślin gęstą zasłoną okrywającą mury budynku. Jednak prędzej czy później coś wymyślą.

Nagle wstał. Coś było nie tak. Włoski na przedramieniu nagle uniosły się na baczność jak żołnierze prezentujący broń albo... jak pluton egzekucyjny szykujący tę broń do oddania strzału.

Wybiegł z pokoju i podszedł do okna wychodzącego na tę część rzeki, gdzie stał pomost. A tam...

Na pomoście ujrzał wampiry. I ghule. Koalicja tropicieli, zupełnie jak koalicja rządowa. A zatem sprawa wyszła poza wampiry. Brakowało tylko zombi. Arystokrata wiedział, że są ostatnimi, którym Radecki – ostentacyjnie gardzący ich szefem – cokolwiek powie, jednak i one dotrą na miejsce. Zapowiadał się interesujący *meeting*.

– Szlag! – zaklął Ponimirski. W ferworze szukania stacji nadawczej zbagatelizował zagrożenie. Działając w grupie, mają większe szanse dostać się tu szybciej, nie wątpił w to. Spojrzał na chłopaka. – Mamy tu jakąś broń czy tylko kamery?

Arkadiusz w milczeniu ruszył przodem, prowadząc go pustymi korytarzami obitymi pluszem. Lekko przy tym szurał nogami, jakby zrezygnowany nie miał siły ani ochoty unosić stóp do góry.

Szumilas wisiał na telefonie, dając wskazówki kierowcy. Poruszali się teraz w ciemnościach wąską leśną drogą, ryzykując urwanie

koła, wbicie się w jakiś pień albo ześlizgnięcie w rów przeciwpożarowy. Wcześniejsze odcinki nieomal przefrunęli, jednak odkąd zjechali z drogi szybkiego ruchu w jakieś coraz cieńsze nitki asfaltu, a teraz już w gruntówki, zrobiło się naprawdę nieprzyjemnie. A wampir może się zabić jak każdy człowiek... To tylko w książkach nieładzie żyją wiecznie albo przynajmniej tysiącletkami.

Wreszcie przed nimi w świetle reflektorów zamajaczyła jakaś postać, gorączkowo machająca rękoma.

– No, dotarliście! – Marach, przewodzący poszukiwaczom, podbiegł do auta. – On tam jest! I to nie sam!

Radecki zwrócił uwagę, że tropiciel jest mokry, ale nic nie powiedział. Wskoczył z wozu, podobnie jak reszta i w asyście pozostałych wampirów podążyli za Marachem. Sycząc z dezaprobatą, dotarli do różanych zarośli. Przed nimi w luce między dwoma gęstymi pasami trującego żywopłotu tkwił drewniany, niewzbudzający zaufania pomost. Radecki kroczył po nim, nie przejmując się ghulami, zaledwie rejestrując ich obecność. Mieli mało czasu – skoro tropiciele ghuli też tu dotarli, wkrótce pojawi się Daniłowicz ze swoją świtą.

– O kurrr... – rzucił marszałek, gdy dotarł na sam kraniec uginającego się trochę pomostu.

Wyspa przed nim rysowała się jak góra wyrastająca z rzeki. Trzykondygnacyjny budynek okolony był gęstą siecią zarośli z głogu i tarniny, jakby ktoś zadał sobie dużo trudu, aby odstraszyć nieładzi. Ledwie widać było elewację, ginęła w płataninie łodyg i liści. Stary wampir zaciskał nerwowo usta, z ulgą konstatując, że w porze kwitnienia to miejsce pewno nie nadaje się nawet do podejścia na pomost, a cóż dopiero próby zdobycia.

Zdobycie było wątpliwe i teraz. Wartki nurt rozdzielał się przed wyspą na dwoje, z szumem budzącym niepokój opływał wyspę, łącząc się znów za nią. Radeckiego uderzyło nagłe skojarzenie – brakowało tylko dzikich strzelających do fortecy z brzegu albo miotających oszczepami. Na razie tylko dwie włócznie ręcznych reflektorów omiatały rzekę i wyrastającą z dna fortecę o czerwonej barwie.

– No też nie miał gdzie się ukryć – warknął z irytacją marszałek, odpędzając od siebie wizję natrętnych lektur.

Zdjęcie z telefonu nie oddawało powagi sytuacji. Ktoś, kto w tym miejscu rzeki wznosił tę budowlę, doskonale wiedział, czego chce. To nie miał być baśniowo piękny hotel dla bogatych, zblazowanych turystów. To była twierdza osadzona na skale i wyrastająca ponad wodę. Mówiła przybyszowi, żeby porzucił wszelką nadzieję. A biorąc pod uwagę porastające okolice krzewy róży, głogu i tarniny oplatające aż po widoczny szczyt samą fortecę i na jej wierzchu panoszące się niby gęsta korona cierniowa, budowniczy szczególnie wyraźnie ostrzeżenie zdawał się adresować do nie ludzi. Nie, nie – to nie był przypadek. I to jeszcze bardziej zdenerwowało Radeckiego, bo mógł nie wiedzieć wszystkiego o sprawach ludzi, ale o istotnych kwestiach dotyczących wampirów i reszty nie ludzkiego plemienia powinien mieć pojęcie. Ten budynek na skale dowodził, że owszem, ma – tyle że za małe.

– Ktoś próbował dostać się do środka?

Marach wzruszył ramionami.

– Bez łodzi ciężko. Nurt porwie, roztrzaska o skały. A jak nie porwie, wyrzuci na tę kolczugę z krzewów róży i tarniny. Nie da się nawet wejść do wody bez ubezpieczenia, bez liny nurt zabierze i utopi.

– Dobrze pomyślane – wycedził z namysłem Radecki. – Róże, tarnina i głóg na całym odcinku rzeki, z tego, co słyszałem, po obu stronach, i tylko tam, gdzie ziemia się obsunęła, są jakieś luki, w innych trzeba by rąbać, żeby dostać się do wody. Wyspa zabezpieczona wodą, ale też roślinnością, zupełnie jakby ktoś bardzo, ale to bardzo obawiał się nie ludzi...

Rozległy się kroki i do marszałka dołączył Włodzimierz. Hedo przez chwilę w milczeniu kontemplował widok.

– Trafny wniosek, panie Radecki, nie sądzę, żeby był to przypadek.

– Tym gorzej dla nas. – Radecki odwrócił głowę i spojrzał Włodzimierzowi w oczy. – Dasz sobie z tym radę?

Stary Hedo w milczeniu oceniał trudność przedarcia się na wyspę i do środka Czerwonej Fortecy.

– Moi na razie próbują zabezpieczyć teren, żeby hrabia nie uciekł dalej. Skoro pojawiliśmy się na randce, niech się nie wymknie. Po łodzie dzwoniłem do Poznania, ładują je i ruszają. Co do reszty – chrząknął – muszę się zastanowić, jak się dostać do wnętrza tego jajka. Może kryć sporo nieprzyjemnych niespodzianek, panie Radecki, tak mi się wydaje...

Marszałek pomedytował chwilę. Wyciągnął telefon i po raz setny wybrał numer Ponimirskiego. Jak zwykle nikt nie odebrał.

Jakimś cudem hrabia nie dawał się namierzyć, nawet ludzie Włodzimierza nie potrafili sobie z tym poradzić. Telefon może mieć przy sobie, chociaż uparcie nie odbierał. Radecki puścił mu SMS-a. Bez sensu, ale co miał zrobić?

– Ponimirski, chcę porozmawiać! – wrzasnął, tracąc cierpliwość.

Był dziwnie przekonany, że hrabia ma tam sprzęt, za pomocą którego obserwuje ich działania.

Cisza... tylko echo niosło słowa i roztrzaskiwało o skalną ścianę. Wreszcie Radecki zaklął pod nosem i z trudem powstrzymując chęć wrzucenia telefonu do rzeki, mruknął do Włodzimierza:

– Wyłowimy go stąd. Nie wiem jak, ale wyłowimy. I to szybko, zanim ściągną tu nasi mili kontrolerzy.

Hedo pokiwał głową. Nic nie powiedział, przykucnięty sprawdzał ręką temperaturę wody.

Ponimirski na monitorach obserwował Radeckiego. Zza pleców hrabiego dobiegał nerwowy oddech Arkadiusza, co wprawiało arystokratę w silną irytację. A kiedy jeden z ludzi Radeckiego, w którym rozpoznał tego lizusa Szumilasa, przyłożył do oczu lornetkę, chłopak aż sapnął ze zdenerwowania, zupełnie jakby ktoś mierzył do nich z panzerfausta czy stingera.

– Przestań! – skarcił go zde gustowany hrabia. – To tylko lornetka. Próbuje wykombinować, jak się tu dostać.

– Tu się nie można dostać. Rozenek pilnuje.

Prawda! Teraz dopiero hrabia Ponimirski zdał sobie sprawę, że ów sternik z pewnością na wyspie nie jest tylko przewoźnikiem, pełni także funkcję ochroniarza, może nawet kucharza? Lekarza?

Powietrze pachniało Ponimirskiemu przecież tylko dwiema osobami: nim i Arkadiuszem. Człowiekiem i wampirem. A więc ten człowiek, Rozenek – jak go nazwał Arkadiusz – musiał wiedzieć o wyspie i o jej okolicy wszystko. Trzeba z nim porozmawiać!

– Gdzie go znajde?

– Jak zawsze czuwa na parterze, w pokoju strażniczym, choć to raczej odrębne małe mieszkanie. Pilnuje, żeby nikt się nie dostał na wyspę i żeby nic nie wylazło ze środka. – W słowach Arkadiusza zabrzmiała niespodziewana gorycz. – Tak jakbym się gdzieś wybierał...

Jego słowa zaskoczyły hrabiego Ponimirskiego. Kiedy biznesmen poprosił go o tę szaloną rzecz, najpierw odmówił, zaprzeczając, że jest wampirem. Wyśmiał pomysł. Kiedy Florycki nalegał i stało się jasne, że skądś wie *na pewno*, a nie tylko podejrzewa, kim jest jego rozmówca, hrabia się zawahał. Uległ, tyle ze strachu, ile z chłodnej kalkulacji – kiedyś taki sojusznik i zarazem człowiek zależny od niego mógł mu się przydać. Bo co prawda Florycki mógł zdradzić Ponimirskiego i wampiry, ale wtedy narażał swego syna; natomiast hrabia, zdradzając Floryckiego, w każdej chwili mógł uderzyć w jego pierworodnego, jedyne, którego miał, więc biznesmen był w znacznie gorszej pozycji negocjacyjnej. Krótko mówiąc, nic nie wskazywało, aby miał zdradzić wampiry. A dziś dzięki tej przysłudze Ponimirski miał ochronę.

Jednak nigdy wampir nie pomyślał, że pomagając doktorowi Floryckiemu, buduje więzienie jego dziecku.

– Prowadź, synku – mruknął. – Szkoda czasu, nie znasz ich, w końcu dobiorą się nam do skóry...

W środku dominowały kąty proste. Budynek był bardzo funkcjonalny, w innych okolicznościach mógłby spokojnie pełnić funkcję luksusowego hotelu; to skojarzenie silnie wspierały pluszowe obicia, charakterystyczne czerwone dywany i ogólny wystrój wnętrza.

Ponimirski uważnie przyglądał się ścianom, wypatrując poukrywanych atrakcji. Florycki wzniósł tu fortecę przeciwko

wampirom. Hrabia mógł się założyć o każde pieniądze, a nawet o swoje kły, że biznesmen przeprowadził wcześniej stosowne badania i zamontował wiele pułapek. Podejrzewał, że dałoby się bronić poszczególnych części budynku, odcinając inne, na przykład zalewając je wodą z rzeki z dodatkiem olejku różanego.

Wreszcie dotarli do pomieszczenia na pierwszej kondygnacji, bardzo podobnego do tego, które opuścili. Nim Ponimirski zdążył otworzyć drzwi, te ustąpiły nieoczekiwanie i w progu stanął Rozenek, blokując drogę do środka. Ponad jego barkami hrabia, będąc wyższy, dostrzegł konsolę i szereg monitorów zgrupowanych w dwa półkolisty rzędy. Każdy z monitorów był podzielony na cztery ćwiartki, zatem wewnątrz budynku i okolicę musiało kontrolować ze sto kamer albo i więcej.

– Arkadiusz mówił, że można stąd nadać wiadomość – wyjaśnił hrabia powód najścia, odsuwając się trochę, bo bardzo nie lubił, jak ktoś na niego napiera, szczególnie człowiek. Natychmiast uruchamiał się w nim instynkt łowcy, nad którym z trudem panował. – Zrobię to i nie będę ci więcej zawracać głowy. A właściwie cichcem zniknę, tak będzie lepiej dla wszystkich... Może masz tu jakiś podziemny tunel, którym można się wymknąć? Bo, obawiam się, rzeką to już raczej się nie uda...

Rozenek spojrzał na niego chłodno, potem przeniósł wzrok na chłopaka.

– Nawet gdybym wiedział, jak coś wysłać, i tak bym tego nie zrobił. Doktor Florycki dał mi jasne instrukcje. Czytaj z moich ust – uśmiechnął się ironicznie – dostałem wyraźny zakaz nieobejmujący listy wyjątków w załączniku.

Hrabia Ponimirski pomyślał o wampirach na brzegu rzeki. Ile czasu minie, zanim dotrą tutaj i dobiorą się im do skóry? Sam już nie wiedział, czy dobrze robi, czy powinien wszystko ujawniać światu... ale jeśli tego nie zrobi, to Radecki ze swoimi siepaczami dorwie go w końcu i wyśle na emeryturę do piekła albo jeszcze głębiej!

Ta myśl sprawiła, że mimo woli odsłonił kły.

– O, pan hrabia będzie kąsać? – wycedził wcale nie przestraszony Rozenek. – Mój szef to przewidział. Jeśli ukryte urządzenia

przesaną „słyszeć” oznaki życiowe moje lub Arkadiusza, wyspa, cóż... – Hardym wzrokiem zmierzył wampira. – Razem z mieszkańcami. Arkadiusz wie, a pan się właśnie dowiedział. I co, dalej pan głodny? – Ironia w jego głosie cięła nie gorzej niż kły hrabiego.

Ponimirski nie potrafił ukryć wściekłości, choć wypadałoby docenić przebiegłość *dottore* Floryckiego.

– Człowieku, ja chcę tylko dostępu do anteny, do świata! Chcę nadać coś i wrzucić do sieci parę informacji! Potem spróbuję stąd zniknąć, a ty tu sobie siedź, choćby do usr... do śmierci!!!

– Doktor Florycki nie po to budował to schronienie jako odcięte od świata, żeby teraz stało się centrum jakiejś afery – wycedził Rozenek. Kontrolował emocje, ale było widać, że między nim a Ponimirskim coś nie zagrało i strażnik również powstrzymuje wściekłość. – Co prawda i tak ściągnął nam pan na kark jakichś ludzi. – Wskazał grupę postaci na pomoście.

Jak zauważył ze zdumieniem hrabia, było ich teraz znacznie więcej. I, czego nie domyślał się strażnik, nie ludzi. Obok wampirów arystokrata rozpoznał przynajmniej kilku ghuli...

Plan efektownego *coming outu*, a potem ucieczki w zawierusze i kształtowania Nowych Wampirów legł w gruzach. Było ich już zbyt wielu, a musiał się liczyć z tym, że zarzucona sieć rozciąga się wokół wyspy, zapewne obejmując oba brzegi rzeki.

– To co robimy? – mruknął bezsilnie.

Strażnik spojrzał na niego wzrokiem pozbawionym emocji. To nie był zwykły stróż, to był człowiek służb. Do Ponimirskiego dotarło wreszcie, że to świetnie przeszkolony komandos albo ktoś w podobnym typie, który nie traci opanowania w chwili zagrożenia. Floryckiego stać było na najlepszych – i właśnie kogoś takiego miał przed sobą.

– Czekamy, a w razie potrzeby się bronimy. Łatwo nikt tu się nie dostanie, w system odstraszenia poszły całkiem spore pieniądze. – Jego głos był pozbawiony emocji tak jak spojrzenie, ale napięte mięśnie twarzy wskazywały, że uruchomił się w nim tryb profesjonalisty.

Ponimirski pokiwał głową. Czuł się jak mucha w dzbanku rosiczki pełnym słodkiego lepu. Ależ się urządził...

Driller zaklął, popatrzył na SMS-a, wreszcie zaczął się zastanawiać, od kogo ma największe szanse wydębic helikopter, żeby zdążyć załapać się na kawałek ciasta. Pospiesznie wybrał numer z książki.

– Marek? Tak, to ja. Potrzebuję twojego skrzydła. – Zawahał się, czy ujawniać plany, ale nie miał wyjścia. – Trzeba mnie razem z kilkoma zaufanymi ludźmi przerzucić pod Poznań, albo jak najbliżej, dojedziemy sami na miejsce. Kiedy? Start za pół godziny?

Przez chwilę słuchał wynurzeń biznesmena, który wkurzał się, że akurat teraz musi spłacać długi. I bredził, że sprzęt niepewny, wkrótce straci homologację, lepiej jechać autem...

– Marek – wycedził wreszcie zniecierpliwiony Driller, przerywając tyradę Markowi, przypadkiem pozycji numer trzy na liście polskich miliarderów – czas leci, kochanka mnie zaraz zabije, nie dałem jej dokończyć ochrzaniania mnie... Kiedy miałem do ciebie zadzwonić, trzy dni po fakcie? Nie prosiłbym, gdyby to nie było coś poważnego. Dajesz to skrzydło czy nie?

Do Radeckiego podszedł Hedo. Wyglądał na trochę zmartwionego. Postarzał się też, kroczył ciężko, nie tłumila tego trawa porastająca wąski pas między pomostem a różanymi zasiekami, gdzie trochę na uboczu stanął marszałek.

– Złe nowiny, panie Radecki – mruknął półgłosem. – Wszystkich tu chyba przywiało, może poza tym durniem Leśniewskim, chociaż i jego obecnością bym się nie zdziwił.

– To znaczy? – szepnął marszałek.

– Daniłowicz dołączył do ghuli, zaraz go zobaczysz. Driller ze swoimi leci helikopterem. Idę o zakład, że tego lalusia Machacza też zaraz zobaczymy... – dodał Włodzimierz ze wzgardą. – On jest jak przeżuta guma, zawsze się do kogoś przyklei...

– Brakuje tylko Trzech Królów do kompletu... – westchnął ciężko marszałek. Nerwowo oblizał wargi. Nie potrafił się pozbyć tego tik,

zawsze tak reagował na nadmierny stres. – Mam nadzieję, że Ziemek zatrzyma ich jak najdłużej...

Stary Włodzimierz pokręcił głową.

– Obym się mylił, ale nie liczyłbym na to. Musimy się uwinąć, zanim przybędą z darami. – Skrzywił się ironicznie i dodał: – I bez nich jest kiepsko, z ich pomocą to się może zamienić w katastrofę.

– Ale co ta cholera, Driller, chce ugrać? – spytał bezradnie Radecki. – I skąd wie?

– Każdy szpieguje każdego, panie Radecki – stwierdził beznamiętnie Hedo. – Lepiej spróbujemy sforsować mury twierdzy, zamiast opowiadać oczywiste oczywistości.

Ruszył w stronę pomostu.

Ziemek zdążył dotrzeć do domu i coś zjeść, ale kiedy powoli zastanawiał się nad krótkim snem, nagle zabrzączał telefon.

– Dzwonił do mnie Elias! – W słuchawce rozległ się płaczliwy głos premiera Długoszewskiego. – Chce się natychmiast spotkać. Osobiście! I nie wiem, co robić! Chyba że go źle zrozumiałem...

Ziemek zaklął. Trzej Królowie, psia ich mać! Dlaczego nie mogą spokojnie zażyć odpoczynku, dając też innym szansę na złapanie paru godzin snu? Przecież jest głęboka noc!

Odpowiedź była oczywista: oni nie przyjechali tu spać. Dotarło do niego, że zapewne tylko się odświeżyli i – jak widać – chcą natychmiast zacząć przesłuchania, śledztwo czy jak to w papierach określa.

– Wyjścia nie ma – westchnął w słuchawkę. – Dobrze przynajmniej, że siedzą na tyłku i Radecki ma spokój. Niech pan oddzwoni, premierze, że zaraz będziemy. Ja tymczasem zawiadomię Biele.

Jak bardzo się mylił w swoich rachubach, przekonał się po kwadransie, gdy dotarli z premierem do Bristolu. Trzej Królowie już na nich czekali w holu, w miejscu, które bardzo wiele o nich mówiło, być może więcej, niżby chcieli zdradzić: pod ścianą

z tabliczkami najslawniejszych gości. Jakby chociaż przez chwilę chcieli się poczuć kimś ważniejszym.

Ledwie podeszli, Elias natychmiast przeszedł do rzeczy:

– Porozmawiamy po drodze. Jedziemy do Czerwonej Fortecy.

– Czerwonej co? – spytał zdumiony premier, uprzedzając Ziemka.

Jak zwykle o niczym nie miał pojęcia – podobnie jak prezydent pełnił tylko funkcję reprezentacyjną, i to, jak się okazało w zderzeniu z Trzema Królami, raczej słabo. Co wystarczało na Polskę, kompromitowało w Europie i świecie.

– Nie wiecie, gdzie pojechał wasz szef? – prychnął zdziwiony wampir, wymieniając krótkie spojrzenia z milczącymi wciąż ghulem i zombi. – Nie wiecie – powtórzył już w trybie oznajmującym, trafnie odczytując ich reakcję.

– Wiemy! – wypalił Ziemek. – Tylko znamy to miejsce pod inną nazwą...

Elias uśmiechnął się, jakby wybuch młodego wampira wcale nie naruszał dobrych manier.

– W każdym razie nie ma co zwlekać, ruszamy w drogę.

– To ja jeszcze tylko skoczę do toalety, a panowie razem z premierem pójdą do samochodu. Sekretarz Biela chyba zostanie na miejscu? – spytał Ziemek, bo Biela już ruszał, by towarzyszyć Trzem Królom.

Wydawał się zahipnotyzowany. A przecież ktoś musi zostać na miejscu! Gratulując sobie chwili rozwagi (poza wyrwaniem się z tekstem), Ziemek popędził do toalety. Tam zadzwonił do Radeckiego.

– Trudno. – W głosie Radeckiego słychać było rezygnację. – Skoro wiedzą o tej twierdzy, to nie ma co kłamać, oficjalnie nie możemy sabotować ich śledztwa. Wiesz, gdzie to jest? Z Warszawy jedziesz na Poznań, kieruj się na Śrem. To jest niedaleko takiej miejsciny, Grodzewa, ale jak już będziesz w okolicy, to albo nawigacja, albo cię pokierujemy przez telefon, bo trudno trafić, myśmy prawie zabłądzili. Opóźniaj, może w trakcie przydarzy się jakaś awaria? Aha, i nie ciągnij ze sobą Bieli ani Długoszewskiego, to tylko kule u nogi w tej sytuacji. Dasz radę prowadzić? Dobra, to liczę na ciebie, tata pewno też.

Radecki przerwał połączenie.

Po powrocie do auta Ziemek przeżył szok. Pożegnał Biele i premiera uszczęśliwionych takim obrotem sprawy, zasiadł za kierownicą i zaczął się zastanawiać, jak najłatwiej wyjechać za miasto z właściwej strony. I wtedy Elias stwierdził lekkim tonem:

– No to ruszajmy. Tylko lepiej, żeby nie przytrafiła się nam po drodze żadna awaria, my tu jesteśmy incognito... – Zaśmiał się.

Kręcąc kółkiem, Ziemek zaczął się zastanawiać, czy to przypadek, czy raczej przewodniczący tej zagadkowej delegacji chciał mu dać do zrozumienia, że słyszał rozmowę z Radeckim?

I co właściwie oznacza to incognito? Że nie prowadzą oficjalnego śledztwa z ramienia Federacji? Zatem kto stoi za ich wizytą?

Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa! – wrzeszczeli wszyscy w kabinie.

Wszyscy poza pilotem. Ten nie miał czasu na żadne „aaaaa”, rozpaczliwie starał się wprowadzić helikopter w autorotację, manewr, który raz się udaje, a raz nie. I pilot starał się bardzo, żeby ten raz, kiedy się udaje wylądować, a nie roztrzaskać, wypadł właśnie dziś. Najlepiej nie w drugim końcu Polski, przy innej maszynie, tylko tu, nad tym szczerym polem wciśniętym w skraj lasu.

– Strzelają do nas! – jęknął któryś z pasażerów.

– Gdzie? – spytał Driller, bladozielony, ale starając się nawet w tej ostatecznej chwili trzymać nerwy na wodzy.

Nie strzelali. Helikopter po prostu się popsuł. Z szumem łopat wirnika, kołysząc się jak torba pełna zakupów, zmierzali ku ziemi w tempie nadchodzącej katastrofy.

I wtedy pilot wykazał się wielkim kunsztem. Posadził helikopter na polanie, właściwie tam, gdzie mieli wylądować, tylko trochę bliżej krzaków. No dobrze, całkiem blisko.

Nie, bądźmy szczerzy: nie trafił w pole, posadził go w krzakach. Miękkie zarośla uległy brutalnej sile i połamały się, amortyzując uderzenie. Miał szczęście: to był ten raz, gdy ląduje się autorotacyjnie i żyje, by opowiedzieć o wrażeniach.

– Kurwa! – wrzasnął pierwszy z wychodzących, gdy wylądował w ostrych zaroślach, które zostawiły szramy na nogach.

– Ciesz się, że żyjesz, durniu – warknął Driller, pchając się za nim do wyjścia, bo tyle się naoglądał katastrof lotniczych w telewizji, że wybuch paliwa lotniczego wydawał mu się oczywisty. – Już nic gorszego nas nie spotka.

Miał ochotę pocałować ziemię, ale jeszcze ktoś mógłby znów to opacznie zrozumieć, więc powstrzymał się z trudem. Nabrał tchu – nocne powietrze smakowało jak nigdy dotąd, no, może z wyjątkiem obozu dla młodzieży socjalistycznej, na którym przeżył swoje pierwsze miłosne uniesienie, odrzucenie i zemstę w jednym.

Czekający na nich ludzie, którzy uciekli pod drzewa i w zarośla, słysząc szum spadającej bomby helikopterowej, teraz biegli w ich stronę. Katastrofa solidnie nimi wstrząsnęła, jednak perspektywa, że szef przybył, aby złapać Ponimirskiego, jeszcze bardziej. Nie wiedzieli, po co im hrabia z innej partii, ale skoro szef spadł z nieba, żeby wziąć w tym udział – byli gotowi mu pomagać.

Wściekły hrabia wrócił do pomieszczeń na górze fortecy. Rozenek łaskawie odblokował mu podgląd na całość twierdzy i jej okolicy. Okazało się, że Arkadiusz już wcześniej zaprowadził go do zapasowego pomieszczenia z podglądem kamer, tyle że trzeba było umieć uzyskać dostęp do całości, a widać Rozenek wolał nie dawać tego chłopcu. Dziwne, że dał wampirowi, cóż, to akurat dyspozycje doktora Floryckiego uwzględniały...

Wybrał na jednym z monitorów podgląd na pomost i jego poblize. Usiadł w fotelu i przyglądał się małym sylwetkom, zastanawiając się nad swoimi dalszymi krokami. Za plecami słyszał pojękującego Arkadiusza.

Kiedy na pomoście pojawiło się kilka ghuli, prowadząc jeszcze jednego, opasanego wyraźnie widoczną grubą liną, chłopak nie wytrzymał, szepnął hrabiemu w kark:

– Idą po nas!

– Przestań! – syknął hrabia Ponimirski, odwracając się gwałtownie, aż fotel zatrzeszczał mocno.

Z niesmakiem objął Arkadiusza spojrzeniem. Był strasznie depresyjny. Zapewne hrabia popełnił błąd, z taką naturą chłopak w ogóle nie nadaje się na wampira!

Radecki dziwił się swojemu spokojowi. Kiedy prowadzony przez ghule Daniłowicza desperat obwiązany linką stanął na krawędzi pomostu, marszałek chciał zrugać Hedę, że pozwala ghulom przejąć inicjatywę, ten jednak tylko uśmiechnął się niezbyt sympatycznie i szepnął niemal bezgłośnie:

– Patrz!

Do tej pory łodzie żadnej z ekip tropicieli nie dotarły na miejsce, choć wcześniej Włodzimierz zapewniał, że już wyjechały z Poznania. Ale wciąż ich nie było i nie wiedzieli, jak przerzucić desant na wyspę. Najwyraźniej ghule postanowiły wypuścić szpicę na lince. Jeśli uda mu się pokonać nurt i przytwierdzić linę na brzegu wyspy, reszta prześlizgnie się po niej. Sprytne, choć patrząc na wezbrany nurt, który co prawda rozdzielał się wokół wyspy na dwie strugi, ale też w ścieśnionych korytach mknął znacznie szybciej, Radecki nie był pewien, czy to dobry pomysł. Włodzimierz zapewne to właśnie miał na myśli.

Celebrity splash! Ghul desperat po pięknym skoku na obie nogi wylądował w wodzie, a komisja oceniająca ghuli zaczęła klaskać i wystawiać noty; tymczasowo – za odwagę.

Pierwszych dwadzieścia metrów, niemal połowę drogi, ghul pokonał bez kłopotów. Nagle jednak wierzgnął gwałtownie, targnął głową jak karp unikający uderzenia młotkiem, a potem sflaczał i spłynął kilka metrów bezwładnie z nurtem.

– Tego się spodziewałem – mruknął Włodzimierz Radeckiemu do ucha. – Nie warto było słać naszych na nierozpoznane pułapki... Zapytasz, skąd wiedziałem? Prąd niesie martwe ryby, marszałku. Niewiele, ale bystre oko je zauważy. Dopiero przy wyspie wypływają do góry brzuchami, w górze rzeki nie widać ani jednej śniętej. To nie wampiry, więc od brzegów wyspy odstrasza coś bardziej uniwersalnego, na przykład wylądowanie elektryczne...

Radecki popatrzył w zadumie. Cóż, poznasz zawodowca po takich drobiazgach.

Tymczasem ghule wyciągnęły ryzykanta z wody. Żył, a po szybkim usta-usta zaczął się krztusić i odpychać co bardziej namolnych całusników.

Daniłowicz zrobił kilka kroków w ich stronę.

– Prąd, trafił na siatkę albo elektrody – oznajmił bez uśmiechu. – Chyba przyjdzie nam go zbombardować, panie Radecki. Poderwiesz eskadrę z Ławicy?

Tymczasem i Driller dotarł nad rzekę. Przedarł się przez różne krzewy w samą porę, by dostrzec wyciąganie ghula i reanimację.

Kiedy po chwili wkroczył na pomost, wampiry i ghule odruchowo zwarły szeregi. Driller jednak nie zamierzał dyskutować.

Któryś z popchniętych ludzi nie wytrzymał, oddał cios. Ghul wylądował z kwikiem przerażenia w wodzie – wszyscy pamiętali, że jego poprzednika poraził prąd – reszta natychmiast rzuciła się do bitki. Za uciekającymi, którzy słusznie ocenili, że przegrają, któryś z najbardziej krewkich ghuli wrzasnął:

– Wybory też wygramy, a potem was legalnie zdelegalizujemy!

Na pomoście został tylko nieporuszony Driller, którego wszyscy bali się tknąć. Nie dość, że szef partii, to w dodatku uniknął jednego zamachu. Drugi... drugiego być nie mogło. Ghule stały z zaciśniętymi rękoma.

– Co ty sobie wyobrażasz, Driller? – warknął Radecki. – To sprawa koalicjantów!

– A czy to wiadomo, kto będzie koalicjantem po wyborach? – Na usta Drillera wypłynął cyniczny uśmieszek. – Zakazu oglądania nie ma, biletów też nie sprzedajecie, więc postoję, poprzyglądam się...

Radecki bezceremonialnie pociągnął go za łokieć, wyprowadził z pomostu na podjazd. Było tu ciemniej, ale ciszej.

– Dosyć tej komedii, Driller. – Marszałek panował nad sobą, chociaż miał ochotę strzelić tego durnia w pysk, a potem jeszcze kopnąć. I ukąsić. Powstrzymywała go myśl, że Driller jako wampir

to dopiero byłby horror! – Wracaj do Warszawy, pókim dobry... to nie twoja sprawa.

Szef Unii Społecznej patrzył na niego bez uśmiechu. Coś ważył w duchu. Wreszcie popatrzył hardo na Radeckiego.

– Wiem, kim jesteś. I ta reszta.

– Kim? – spytał bez uśmiechu Radecki.

Domyślał się, co zaraz zostanie wypowiedziane.

– Nieludźmi – ciągnął Driller. – Wampiry, ghule, zombi... stwory nocy.

– Żartujesz sobie. Naćpałeś się...

Driller tylko cynicznie wykrzywił usta w uśmieszku. Był starym sprytnym politykiem, który teraz grał jedną z najważniejszych partii życia. Już jakiś czas temu postanowił zagrać w otwarte karty z Radeckim, gdy tylko nadarzy się sposobność. W archiwum pod altanką miał parę naprawdę ciekawych relacji. I zdjęć osób, które już dawno nie powinny żyć, a jednak...

– Umiem dodać dwa do dwóch, marszałku.

– Gdyby tak było, to dlaczego nie ujawnisz prawdy? – spytał po namyśle Radecki. – Miałbyś wygraną w kieszeni, jak sądzę... i nie tylko. Prawdziwy bohater narodowy, prawdziwy kosynier...

Driller zaśmiał się nerwowo.

– Mogłoby się okazać, że ludzie, zwykli wyborcy, stracą zaufanie do wszystkich polityków, a nawet do samych siebie, bo nigdy nie wiadomo, kto człowiek, kto wampir czy ghul, więc prewencyjnie nie zagłosują na nikogo – wyjaśnił. – Może zaryzykowałbym, gdybym miał pewność – dodał z krzywym uśmiechem. – A może i wtedy próbowałbym się po cichu dogadać.

– Na razie mamy kłopot z Ponimirskim. Chce zdradzić właściwie całą klasę polityczną. A do tego tematu wrócimy albo i nie.

Marszałek też się skrzywił... i na sekundę odsłonił kły.

Driller zbladł. Wiedzieć a zobaczyć to jednak dwie różne sprawy. A przecież miał kilka zdjęć osób publicznie znanych zajmujących wysokie stanowiska, uchwyconych w prywatnych sytuacjach. Nie takie kły widywał... choć nie mógł tego powiedzieć marszałkowi.

– Nie, nie zrobię ci krzywdy – kontynuował Radecki, nie zastanawiając się, co wywołało taką reakcję prezesa Unii. Czyżby

jednak blefował i nie był pewien tej strasznej prawdy? – Jednak czasem lepiej zapomnieć to, co się wiedziało i pamiętało... Jeśli kiedyś padnie taki... taki argument publicznie, ta ziemia spłynie krwią nie tylko nie ludzi, pamiętaj...

– Chcę tylko wiedzieć, kto mnie próbował zabić. – Driller głośno oddychał.

– Postraszyć – poprawił go z naciskiem marszałek. – Gdyby chciał cię naprawdę zabić, już byśmy nie rozmawiali... Tę sprawę rozliczymy sami, ale surowo.

Oczy Radeckiego były ciemne jak stojąca woda w martwym jeziorze.

Wracając na pomost, odwrócił głowę i rzucił przez ramię:

– A lojalność nagrodzę. Prędzej czy później.

Musiał odetchnąć, opanować nagły skurcz brzucha. Nadkwasota. Już nie znosił stresów jak kiedyś. Niszczyły nie tylko jego ciało, ale także umysł. Chociaż mogły to być tylko trujące opary z tych kolczastych zasieków.

I trafił na nadchodzącego Machacza z dwoma przybocznymi.

– A ty co tu robisz?! – wyładował na nim swój gniew. – Mówiłem: idź precz, czy nie mówiłem?

Machacz był bezradny. Jak to, co robił? Próbował znaleźć się w centrum wydarzeń. Może wyglądał na idiotę, ale to tylko wizerunek, jego ludzie chcieli, żeby tak się nosił, a on spełniał te zachcianki w imię zyskiwania poklasku i głosów. To jego wina, że biznes z komiksami dobrze szedł?

– Będę obserwować... może się przydam...

Musiał czuwać. Kiedy zombi zdejmowały rękę z pulsu wydarzeń, natychmiast okazywało się, że wampiry i ghule są porządnymi istotami, zombi zaś to brudne, oślizgłe bestie. Zupełnie jakby ktoś chciał ludzi Machacza uczynić winnymi całego zła, chociaż w rzeczywistości o wykreowanym wizerunku decydowała tylko mniejsza siła przebicia w mediach. I banalny fakt, że to polskich wampirów, naturalnych wyborców, było więcej, a zombi najmniej.

Radecki gotował się z wściekłości, jednak nie miał teraz głowy do karczemnych awantur.

– Pogadamy w Warszawie, kwiatuszku. Teraz lepiej nie wchodzić mi pod nogi, dobrze radzę...

Odwrócił się i ruszył z powrotem na pomost.

Tu Szumilas złapał go z informacją od Ziemka, że Trzej Królowie dotarli na miejsce.

– Szlag! – warknął Radecki. – Szlag, szlag, szlag! No to jesteście ugotowani!

Przewodzący delegacji wampir, który przedstawił się jako Elias, próbował zachowywać się kompromisowo. Było jasne, że przylecieli tu z powodu afery z Ponimirskim (ciekawe, skąd się dowiedzieli, zastanawiał się marszałek), bez trudu wymusili na Ziemku przywiezienie tu, gdzie ukrywał się sprawca całego zamieszania... I cokolwiek chcieli zrobić, występowali z pozycji siły, choć przesłonięte dobrymi manierami mogło to wyglądać na próbę bratniej pomocy.

Elias zresztą w takim tonie próbował rozmawiać z Radeckim, Daniłowiczem i Machaczem, odciągawszy ich na bok. Marszałek bronił się przed wciąganiem tego kretyna zombi w sprawę, ale Elias pozostał nieugięty: sprawa dotyczy wszystkich nie ludzi, chce rozmawiać z szefami wszystkich trzech partii.

– Nie możemy eskalować tej historii – zaczął swoją przemowę, gdy stanęli w ciasnym kręgu. Tania sztuczka, tak jakby patrzenie sobie w oczy uniemożliwiało knucie za plecami. – Wszystko przecież idzie w dobrą stronę, ludzie są zajęci swoimi sprawami, a nam to pozwala zejść z oczu, pozostać produktem kulturowym, póki nie obejmiemy całej władzy. Przecież całe Hollywood i szereg innych naszych agend pracuje nad przesunięciem nie ludzi ze „straszego” w „inne”, a wkrótce w „równie dobre”. I to się dzieje! – mówił z emfazą.

– Ale przecież to hrabia chce cofnąć ten proces, nie my! – wycedził Radecki, tracąc opanowanie, bo Elias z jakiegoś powodu działał mu na nerwy.

– Dlatego się tu pojawiliśmy – odparł z niezmaconym spokojem delegat. – Żeby was pogodzić, wylać trochę oliwy na fale. Psujecie nam robotę, bracia nieludzie...

Radecki i Daniłowicz wymienili spojrzenia. Marszałek w gruncie rzeczy, widząc, że sam nie ma jak się dostać na wyspę (przynajmniej póki nie dowiozą na miejsce łodzi), gotów był oddać inicjatywę przybyszom. A proszę bardzo, niech się użerają z tym starym durniem...

– Jak go zdołacie stamtąd wyciągnąć – wskazał brodą majaczącą przed nimi wyspę – to proszę bardzo, nie będziemy przeszkadzać.

I ruszył porozmawiać z Hedą. Daniłowicz też odszedł do swoich, zapewne w tym samym celu: uprzedzić, aby nie wchodzili w kontry z Trzema Królami.

Tylko Machacz przestępował z nogi na nogę, a kiedy Elias podążył w stronę dwóch pozostałych delegatów, pociągnął za nim.

Wampir odwrócił się nagle, a uprzejmość znikła z jego twarzy. Chłodnym spojrzeniem taksował zombi.

– O co chodzi?

– O nic – zapewnił go zombi.

Tak dotarli do pozostałych delegatów. Tu Machacz wypatrzył swego brata w nocy, który wcześniej przedstawił się jako de Vries. Ściągnął na siebie jego spojrzenie i szepnął:

– Możemy porozmawiać?

Tamten popatrzył z ukosa na Machacza, po czym zrobił trzy kroki w bok. Niewiele, ale gdyby bardzo zniżyć głos...

– Może w imię solidarności... – zaczął półgębkiem Machacz.

– Nie – stwierdził sucho (i głośno, zbyt głośno!) zombi, wypowiadając polskie słowo z dziwnym akcentem.

Z wyższością popatrzył na milczącego Machacza, po czym wrócił do swoich.

„Przeklęty waśniak!”, zaklął w duchu Machacz.

Tymczasem Elias po naradzie z pozostałymi delegatami odszukał Radeckiego.

– Nie chcę tego mówić głośno, ale znam dokonania hrabiego Ponimirskiego, cenię go i wolałbym, żeby nic mu się nie stało. Europa mogłaby się bardzo zirytować, rozumie pan...

Radecki sztywno skinął głową. Już wiedział, dlaczego intuicyjnie od pierwszej chwili nie polubił tego wysłannika.

– Na Europie nam zależy, na spokoju także, jednak to hrabia próbuje go zburzyć. Chyba że pan wie więcej ode mnie... – Spojrzał na Eliasa i patrząc mu prosto w twarz, dokończył:

– Bo przecież my nie wzywaliśmy pomocy z Europy... Czyż nie?

Oni myślą, że załatwią sobie wybory bez niego? „Patryczku, to sprawa dorosłych, idź do swojego pokoju”, tak? Znow tak to chcą załatwić? Niedoczekanie!

Leśniewski gotował się w środku, ale czuł, że jest to też okazja. Jego szpiedzy donieśli mu, że z Warszawy zniknęli zarówno Radecki ze swoimi ludźmi, jak i jego koalicjant Daniłowicz, a jakby tego było mało, ten skończony oszust Driller także. Bezczelnie odleciał helikopterem, jakby się bardzo spieszył!

Ale skoro tak, skoro to on, prezes Polski Razem, pozostał jako jedyny na miejscu, to on im tu teraz zgotuje medialne piekło! Nie ma znajomości? No to zobaczymy!

Leśniewski w nocy organizował dziennikarzy, nakłaniał redakcje, aby wysłały chociaż stażystów pod siedzibę Polski Razem. Było to trudne, bo kto by się liczył z partią oscylującą na granicy wyborczej katastrofy, ale że to był finisz kampanii, a Leśniewski osobiście zarzekał się, że materiał wart będzie zachodu, znalazło się paru ryzykantów, szczególnie wśród szefów, którzy nie musieli sami wieść tyłka, mogli wysłać stażystów.

Teraz stał drżący na chłodzie i czekał, aż kamerzyści ustawią sprzęt, a dziennikarze wycelują mikrofony i smartfony. Wreszcie nabrał tchu i ochryplym głosem zaczął:

– Szanowni państwo! Obywatele! – Wczuł się w sytuację i nie widział już paru zziębniętych, nieszczęśliwych dziennikarzy, lecz Polskę całą, wszystkich razem i każdego z osobna. Niemal czuł zainteresowanie tych wszystkich prostych i bezradnych ludzi. – Mamy kryzys, kampanię, czas trudnych decyzji, a tymczasem przedstawiciele najważniejszych partii wybyli na wakacje! Premier nieobecny, ministrów trudno spotkać, a gdzie są panowie Radecki,

Driller, Gabor? Czy aby nie wyjechali na Kanary, Malediwy na krótki wypoczynek? Albo do USA, może po instrukcje?

Dziennikarze wydawali się skonsternowani, któryś nawet chyba wyłączył kamerę. Polityk nie mógł wiedzieć, że przynajmniej kilku z nich uznało jego wystąpienie za żalną kopię wcześniejszej konferencji Drillera. Politycy kopiują się wzajemnie, to jasne, jednak to, co było dosyć autentyczną sceną roztrzęsionego człowieka, który prawie zginął w zamachu, stało się zaledwie parodią w wykonaniu innego, szukającego tylko chwili zainteresowania.

– Oni was zdradzili – wypalił Leśniewski. – Zamiast was słuchać, zajmują się własnymi sprawami, własnymi biznesami. Tak, oni nie działają w waszym interesie jak moja partia, Polska Razem. Jutro wszyscy nasi członkowie wyjdą na ulice i będą was słuchać uważnie. Powiedzcie, co mamy zmienić, a potem zagłosujcie na nas!

To ostatnie przyszło mu do głowy w ostatniej chwili, ale uznał, że to dobra myśl, choć wyrwani z łóżek członkowie partii mogą być niezadowoleni. Trudno, trochę się poświęć.

– I tyle? – zdziwił się jeden z dziennikarzy.

– A to mało? – odparł Leśniewski. Popatrzył na dziennikarza i dodał: – Więcej niż pozostałe partie. One nawet was nie słuchają, przecież dobrze pan wie.

Trzej Królowie skończyli naradę. Obserwujący ich z pewnego oddalenia Radecki i Hedo niecierpliwili się brakiem łodzi. Miały już przyjechać na przyczepach, a teraz co? Przyjdzie im zbijać je z gałęzi? „Psiakrew, pojawienie się tych europejskich truflí tylko skomplikowało sytuację”, myślał ze złością marszałek. Posępna mina Włodzimierza wskazywała na podobnie niewesołe spostrzeżenia.

Wreszcie Elias wyciągnął telefon i zaczął dzwonić...

Ponimirski patrzył na numer. Wreszcie zszedł do pokoju Rozenka.

– Rozumiem, że możemy się tu bronić długo.

Nie opowiedział mu, co wcześniej odkrył. Był jednak zaskoczony pojawieniem się nowych tropicieli. Nie wyglądali na takich, których znał, w dodatku tworzyli dziwną trójkę: wampir, ghul, zombi.

Bardzo przypominali zestaw interwencyjny wysyłany przez światową lub europejską federację w miejsca zapalne.

Ta myśl, że doczekał się interwencji z Zachodu, bardzo go przestraszyła. Mógł się mierzyć z polskimi niełudźmi, ale z zachodniakami nie miał szans.

Telefon znów zabrzączał.

– Nie chce pan odebrać? – spytał Rozenek. – Rozumiem, że to oni?

Wskazał spojrzeniem tych na brzegu. Jedna z postaci, powiększona w monitorze, trzymała coś przy uchu.

Ponimirski skinął głową, potwierdzając trafność domysłu strażnika.

– *Nas nie dogoniat* – mruknął lekceważąco Rozenek. – Nawet gdyby jakimś cudem wdarli się na szczyt, możemy go odrzucić, wystarczy sekunda. Podobnie z fundamentem. Budynek, panie hrabio, w rzeczywistości składa się z trzech części, a środkowa kryje łoż. Tu dookoła – zrobił ruch ręką, obejmując część pokoju – są kajuty tego statku. Doktor Florycki przewidział dzień, w którym trzeba będzie opuścić Czerwoną Fortecę i mieć trochę czasu na działania ratunkowe.

No to teraz stało się jasne, dlaczego swoje stanowisko miał w dolnej części budynku. Ależ ten Florycki był ostrożny. Wręcz paranoidalnie! Tylko jak zdołał to wszystko ukryć, że żaden dziennikarz się nie zainteresował?

– Szkoda, że nie możemy odlecieć... – mruknął.

– No nie, to jednak tylko w filmach – potwierdził z dającym się wyczuć rozbawieniem Rozenek.

Telefon znów zawibrował.

– Oni wiedzą, że pan tu jest. Ja bym jednak przynajmniej porozmawiał, dowiedział się, czego żądają...

– Też tak myślę, ale chciałem najpierw wy badać, na czym stoję – wyjaśnił hrabia.

– Pan? – zdziwił się nieprzyjemnie Rozenek. – Ustalmy fakty, nim podejmie pan z nimi negocjacje. Ja chronię Arkadiusza. Pana także, o ile nie koliduje to z punktem pierwszym. W razie konfliktu nie będę się ani sekundy zastanawiał. Chociaż... – Rozenek uśmiechnął

się szeroko – z pana to jednak mocny zawodnik, skoro ściągnęli tylu łowców, gratuluję...

Telefon znów się odezwał.

Wszyscy na pomoście obserwowali, jak wypływa motorówka i pokonując ostry prąd (sądząc po podskokach, znacznie silniejszy, niż myśleli, na pewno żaden z ryzykantów by go nie pokonał), dobija do pomostu. W środku siedział jednak nie hrabia, lecz jakiś człowiek.

– Hrabia zgodnie z umową został na wyspie. Zabiore delegację.

Popatrzył na nich czujnym wzrokiem.

Trzej Królowie już właściwie pchali się do środka, kiedy reszta też się obudziła z letargu.

– Zaraz, ale to mój wampir! – zareagował ostro Radecki, robiąc krok w stronę motorówki. – Chcę być przy tej rozmowie!

Daniłowicz ruszył za nim. I Hedo. Nim Trzej Królowie zdążyli zaprotestować, wszyscy już wepchnęli się na pokład.

Kiedy odbili od pomostu, Radecki szepnął do ucha Hedy:

– Cokolwiek się będzie działo, zachowuj się i nie zabij Ponimirskiego!

– Zabić nie – obiecał Włodzimierz w równie zakamuflowany sposób. – Tylko trochę krwi wypuścić...

Motorówka gwałtownie zakręciła, rozdzielając ich, ale dzięki temu Radecki mógł zobaczyć minę swego tropiciela: okrutną, choć na poblady obliczu nie wydawała się tak groźna. Liczył jednak, że stary Hedo nie zrobi czegoś strasznego na wyspie. Przynajmniej nie w obecności Trzech Królów...

Machacz, który ze swoimi zombi obserwował tę samą motorówkę i buzowały w nim odczucia porzucenia i przegranej, do tej licytacji dorzucił jeszcze jedno: chęć zemsty. Nie takiej, jakiej próbował wcześniej... Nie, patrząc na pozornie obojętnego Drillera, zombi zastanawiał się, czy nie poszukać w nim sojusznika. Kopnąć w stolik, rozwalić układ, w którym zawsze będzie słabszy.

To nic, że Driller o mało nie zginął z ręki wynajętego skrytobójcy. Po pierwsze, Machacz wcale nie tak to planował, miał go przecież tylko postraszyć i wykorzystać to w rozmowie z Radeckim. Nie jego wina, że sprawy posunęły się za daleko... A po drugie, polityk Unii przecież nie wiedział, że stoi za tym Machacz.

Już właściwie zrobił pierwszy krok, wymijając wyciągnięte ramię wyjątkowo jadowitej tarniny, gdy przypomniał sobie ostrzeżenie Radeckiego. I to, że w części jego słowa już się sprawdziły: Trzej Królowie przybyli.

Po wyborach, postanowił. Jeśli wynik będzie kiepski, to po wyborach przyjdzie czas, by zombi sprzymierzył się z człowiekiem przeciw ghulowi i wampirowi.

I ta dawka patosu zadziałała jak najlepszy uspokajacz...

Rozdział 12

Hrabia zastanawiał się, jak to rozegrać. Przyszło mu nawet na myśl, że gdy wszyscy są przekonani, iż zgodził się na rozmowy, a cała wierchuszka grzecznie wsiadła do motorówki Rozenka, mógłby spróbować wymknąć się niepostrzeżenie. Może gdyby umiał odpalić łódź wbudowaną w fortecę, tak by nawet zrobił. Przeważył jednak rozsądek – czekał na gości na brzegu portowego basenu. Z pozorowaną chłodną wyższością patrzył, jak się wyładowują, gdy strażnik wiąże linę do pachołka i gdzieś znika.

– Zgodziłem się porozmawiać – zaczął hrabia, nim którykolwiek z gości zdążył się odezwać – ale na moich warunkach. Pamiętajcie, że jeden fałszywy ruch i...

Celowo nie dokończył, dając popracować ich wyobraźni. Sam nie wiedział, co się kryje za tym „i”, bo jeśli ktokolwiek panował nad sytuacją, to Rozenek, który zdążył zniknąć w korytarzu i, bez dwóch zdań, pędził do swojej sali obserwacyjnej. Czekał tam już Arkadiusz. Będą obserwować przebieg negocjacji – hrabia Ponimirski zakładał, że kamery i mikrofony są wszędzie, gdyby pojawiło się jakieś zagrożenie, strażnik w porę zostanie ostrzeżony. I gdyby coś miało zagrażać życiu Arkadiusza, to po prostu powie wszystkim: „do widzenia”. Hrabia miał jasność, że jego Rozenek nie będzie chronić, instrukcje doktora Floryckiego były jasne w tym zakresie, zresztą strażnik wprost mu to powiedział. A zatem musiał sobie radzić sam. Florycki i tak zrobił dla niego dużo, kto wie, czy nie zbyt wiele – rozum podpowiadał hrabiemu, aby w trakcie negocjacji nie zapomnieć o swoim dobroczyńcy.

Kiedy wędrowali na górę, Ponimirski słyszał za sobą nie tylko odgłosy kroków, lecz także pociąganie nosem Hedy. Domyślał się, co to oznacza, jednak nie mógł niczemu zapobiec.

Zaprowadził ich do dużej sali obok pokoju obserwacyjnego. Mogłaby być salą konferencyjną, gdyby ktokolwiek urządzał tam

sympozja, wykłady albo coś podobnego... chyba że w tajemnicy Florycki coś takiego właśnie robił? Sekretne spotkania biznesmenów, jakaś grupa Bilderberg albo coś podobnego? Wokół las, rzeka, a oni omawiają fundamenty światowego porządku?

Wskazał im wygodne fotele, sam postanowił stanąć obok długiego stołu.

– A zatem, hrabio, o co chodzi? – zwrócił się do arystokraty Elias przewodzący Trzem Królom. Przyglądał mu się z uwagą, studiując jak psycholog albo... kobieta oceniająca, czy warto się angażować w związek. – Dlaczego uciekasz, dlaczego zagroziłeś ujawnieniem naszego istnienia ludziom? Po co ten szantaż?

Hrabia Ponimirski tylko wzruszył ramionami. Z pogardą popatrzył na zebranych, którzy otaczali go półkrygiem. Każdy tu piekł własną pieczeń.

– Bo szermujecie hasłami i nazwiskami, jakiś Marks, Engels, Keynes, Balcerowicz, „gospodarka, durniu”. Reformy. Podatki. Dobrobyt – zaczął. Uśmiechnął się w duchu. Pomysł z Bilderbergiem był głupi, po co ta ostentacja? Przecież to wampiry rządziły światem, choć jeszcze nie robiły tego jawnie. – Ale w ostateczności i tak chodzi o krew. Naszą i cudzą.

– Chyba twoją – syknął ze swego fotela Hedo, zaciskając dłonie na oparciach.

– Chodzi o to, że przestaliśmy być wampirami, a zaczynamy być ludźmi – powiedział hardo hrabia, patrząc na Trzech Królów. – Wasza Fabryka Snów wspiera ten proces, ale... czym się to skończy?

I wtedy Radecki nie wytrzymał. Do tej pory milczał, chcąc, aby to Trzej Królowie wzięli na siebie negocjacje. Najlepiej niech sobie zabiorą hrabiulka i będzie spokój. Teraz jednak trafił go szlag.

– Jak to, czemu ma służyć ten cały cyrk? – warknął podniesionym tonem. On również stał, teraz zrobił krok w stronę hrabiego. – Wartości? On? Ten największy kolekcjoner stanowisk w wolnej Polsce? Szantażuje nas wszystkich, bo go odsunęliśmy od wyborów, tłumacząc jak komuś mądrymu, że trzeba wprowadzać świeżą krew, a on może dostanie stanowisko po wyborach. Ale nie, zamarzyło mu się stanowisko marszałka sejmu albo szefa ważnej komisji, albo posła, który z sejmu, a nie z ulicy wędruje do ministerialnych ław...

Wiecie, jakie miał hasło w ostatniej kampanii? – Spojrzał na milczących i raczej mocno zaskoczonych Trzech Królów. – „Starość to mądrość”, kurwa! Już widzę, jak młodzi na niego głosują... Tylko by nam obniżył statystykę... – Radecki zamilkł, wściekły wzrok wbijając w hrabiego. Dostrzegł rozbawiony wzrok Gabora i wyrzucił z siebie na koniec: – Uch!

– A co ty chcesz od tego hasła? – odciął się hrabia. – Lepiej się przyznaj, jak wycinasz nas z listy, psiachulcu jeden!

– Ty mi nie pyskuj, bo naprawdę obudzę w sobie bestię, jak mi radziłeś! – nasrożył się Radecki, znów czując uderzenie krwi do głowy.

Odstonił kły...

Elias uniósł rękę, przywołując ich do porządku. Patrzyli na niego, wciąż wściekli, wrogowie jak nigdy wcześniej.

– Nie rozumiem, czyli chodzi tylko o wybory? – upewnił się.

Stojący na brzegu Driller pomimo ciepłej kurtki odczuwał dziwny chłód. Dziwny – płynący nie tylko z temperatury nocnego powietrza czy znad wody, po której snuły się kłęбки mgły. Nie, nie, nie – cała okolica emanowała jakimś dziwnym chłodem, czymś, co trudno zdefiniować inaczej niż „chłód w sercu”. Był to jakiś rodzaj strachu czy lęku. Jego natury stary, wytrawny polityk, który miał za sobą niejednego trupa rywala (rzecz jasna, w sensie politycznym), nie rozumiał, ale dałby się posiekać za to, że jego intuicja nie zwodzi go, przeciwnie, ostrzega jak odległe ognisko na brzegu marynarzy przed podwodnymi skałami.

Twierdza tchnęła takim właśnie strasznym chłodem. Była to zagadka, której nie potrafił zrozumieć. Dlaczego motorówka przypląnęła po niektórych? Czyżby odbywał się tu jakiś zjazd światowych polityków, co by tłumaczyło obecność tych obcych, którzy między sobą, jak doniósł Drillerowi jeden z jego ludzi, rozmawiali po angielsku?

Nieważne. Kopnął czubkiem buta odłamaną gałązkę, wciąż zdumiony, że tak gęste zarośla porastają tu brzegi.

„Nieważne”, powtórzył w myślach. Ta sprawa jest już przegrana, trzeba się skupić na przyszłości. A ta nie rysowała się różowo. Trzeba zadbać o kampanię. Trzeba się przekopać przez teczki i zadbać o następne wybory...

To mu uświadomiło, że skoro przegrywa partię o udział we władzy, to powinien się wziąć do opozycji wewnętrznej, bo Janicki, Marciniak i Plusz z pewnością wezmą go za gardło, pytają, jak się ma rzucone w Płocku oświadczenie o ustąpieniu miejsca młodszemu przy kiepskim wyniku wyborczym? Cóż, młode wilki mają prawo rzucać się do gardła, sęk w tym, aby je powstrzymać...

Cóż, jako „prawie zabity” może zyskać parę punktów, ale nigdy nie wiadomo, jak się to przełoży na sondaże. Lepiej nie czekać. Jasne, że musi przeorientować kampanię na „prawdziwe poświęcenie dla obywateli”, uczynić z tego lajtmotyw kampanii, ale i tak lepiej zawczasu zacząć wycinać te młode wilki. Jeśli znikną ze sceny politycznej, nie będzie miał z kim przegrać...

Ta ostatnia myśl trochę go pocieszyła. Kiedy nie będzie miał z kim przegrać, to przecież wygra, prawda? Może nie królewski tron, może raczej dostawkę, ale zawsze to jednak fotel prezesa, przywileje i... szansa na odegranie się w kolejnej kampanii.

No i *last, but not least*, Radecki. Nie mylił się w tej sprawie. Nie wiedział, czy tam, na wyspie, nie odbywa się przypadkiem zlot wampirów, ale wolał o tym nie rozmyślać, nie tu, nie teraz. Może one umieją czytać w jego myślach? To też jest karta, którą może zagrać, chociaż tak bardzo ostrożnie, że nie wiadomo, czy w ogóle warto brać ją do ręki. To wymagało namysłu, może ponownego przeszukania teczek i wciąż żywych źródeł? Istniało prawdopodobieństwo, że Radecki założył plastikowe kły, że ktoś z rozmysłem wpuścił Drillera na minę, ale ten dlatego był starym politycznym wygą, że umiał rozpoznać, kiedy ma do czynienia z oszustwem, a kiedy rzecz ma pozory realności. Materiały zakopane w najtajniejszej części archiwum, w skrytkach udających fundament pod pozornie właściwym zbiorem dokumentów, nie kłamały.

– Jacek, wracamy – mruknął, podchodząc do kierowcy, który za krzakami ćmił papierosa.

Czyli chodzi o wybory – powtórzył Elias. – W tej sprawie chyba jesteśmy w stanie pomóc. W końcu Federacja została założona nie tylko do ochrony nas przed ludźmi, ale też rozwiązywania sporów wewnątrz środowisk nieludzi...

– Nie o wybory – przerwał mu hrabia. – Chyba że życiowe. Zmierzamy w złym kierunku, za chwilę wampir będzie się bać krwi i mdleć na jej widok, a zombi czy ghul szerokim łukiem zaczną omijać cmentarze...

Jeden z Trzech Królów, ghul, zaszemrał coś do ucha Eliasowi. Ten skinął głową i przetłumaczył:

– Źle pojmujesz tradycję, hrabio. Można jak Cathal uczyć tradycji, nie niszcząc tego, co nowe. On należy do Rady Europy, a zarazem uczy gaelickiego, bo pamięta go z czasów, gdy jeszcze był używany. Przywraca tradycję, nie niszcząc naszego życia, rozumiesz?

Hrabia prychnął, nie kryjąc pogardy.

– To tylko język. Ja mówię o krwi, o potrzebie, która nie mija... i żadne pigułki tego nie zmienią!

Radecki miał nadzieję, że uderzając w Federację i powtarzając swoje bzdury, Ponimirski doczeka się stanowczej reakcji, delegaci sprowadzą go na ziemię. Wydawało się jednak, że Elias i dwaj pozostali nie słyszą, jak deprecjonuje ich stanowiska i stojącą za nimi organizację. Ściślej, ghul i zombi mogli słyszeć, ale nie rozumieć. Co innego Zigger. Choć może kluczem było wyjaśnienie tego osobistymi relacjami, o czym wspomniał wcześniej Radeckiemu.

Nagle Hedo znów pociągnął nosem i szorstko stwierdził:

– Czuję tu inne wampiry! I to takie, których nie znam! Dziwny zapach!

Atmosfera w sali konferencyjnej nagle ochłodziła, zupełnie jakby kelnerzy w wózkach z szampanem wwieźli kilka ton lodu.

– Może on wcale nie planuje żadnego *coming outu*, a cały ten cyrk ma przykryć fakt budowania prywatnej armii? – syknął Włodzimierz, z nienawiścią patrząc na Ponimirskiego. – To by wyjaśniało te jego laboratoria i stosy naukowych książek...

– To niemożliwe! – prychnął Elias z niedowierzaniem. – Przecież obowiązuje moratorium...

Stary Włodzimierz Hedo spojrzał na niego tak, jakby chciał mu wprost powiedzieć, że chociaż Europejczyk, to jednak idiota.

– Przecież wiem! I właśnie o to chodzi! Trzeba przeszukać twierdzą!

Hrabia robił się coraz bardziej blady.

Elias kręcił z niedowierzaniem głową. Pociągnął nosem... Cóż, czuł wampiry, i to nie tylko te, które spotkał na brzegu. Widząc, że Hedo bezceremonialnie przygotowuje się do wyjścia i rozpoczęcia rewizji, powstrzymał go słowami:

– Zaczekaj. Hrabio! Czy trzeba przeszukać budynek, czy wyjaśnisz nam to podejrzenie?

Ponimirski był już tak blady, jak dobrze zrobiona gładź gipsowa. Zastanawiał się, co nastąpi wcześniej: urwą mu głowę ci tu na górze czy Rozenek spuści ich do piekła, uciekając statkiem z dolnej części?

– Jest tylko jeden wampir. Na zamku oprócz nas są jeden wampir i jeden człowiek, który was tu przywiózł motorówką. Jest... – Hrabia się zawahał. – Jest człowiekiem, który... Który został wampirem. Ja go nim zrobiłem.

– Jakim prawem!?

W głosie Radeckiego dominowało nie tyle zaskoczenie, ile gniew szefa polskich wampirów, który dowiaduje się o machlojkach za swoimi plecami i prawdę tę poznaje w obecności osób, które na pewno nie powinny być świadkami takiego zdarzenia!

Hrabia nagle stracił hart ducha. Czuł, że sytuacja wymyka mu się z ręki.

– Arkadiusz nikomu nie zagraża – ciągnął, patrząc na zdumionych, milczących przybyszy.

Tylko na twarzy Hedy błąkał się wyraz złości, jakby restaurator należał do innego zestawu gości. No i należał, to on wyczuł Arkadiusza.

– Mogę to udowodnić – zakończył błagalnym tonem. – Jeśli pozwolicie mi go przyprowadzić.

– Pójdę z tobą – zaproponował Elias, widząc minę Radeckiego, który ledwie powstrzymywał się przed wybuchem.

Tymczasem w Warszawie...

Biela przebudził się z płytkiej drzemki i starając się uspokoić oddech, doszedł do wniosku, że życie jest piękne.

Naprawdę! W koszmarze Radecki oznajmiał mu, że jest tak fatalnym spin doktorem, iż wysyła go na Zachód na praktyki. A przecież Biela nie znał języka, jak się miał tam porozumiewać, po polsku? Na migi?

Na wszelki wypadek sprawdził jednak, czy słowniki polsko-angielski i angielsko-polski leżą na swoim miejscu...

– Skoro już się przebudziłeś, kotku, wykorzystajmy to – usłyszał i czyjaś ręka wślizgnęła się w zakamarki jego piżamy.

Życie zrobiło się nagle jeszcze piękniejsze, choć pobudka będzie wymagać podwójnej porcji kofeiny.

Ponimirski kroczył nerwowo po schodach, zmierzając w dół, a Elias – z nieodgadnioną miną – podążał jego śladem. Reszta usiadła na fotelach, czekając na rozwój wydarzeń. Dwaj pozostali Królowie wymieniali jakieś uwagi między sobą. W głowie Radeckiego kotłowało się wiele myśli, a dominowała: „Co ja tu właściwie robię?!”.

Elias odezwał się do arystokraty tylko raz:

– Nie powinieneś nikogo szantażować. Ale nawet gdybyś coś chlapnął, to by niewiele dało, hrabio. Odpowiednie scenariusze leżą w szafie, a ludzie czekają. Myślisz, że tylko ty miewasz takie wątpliwości? Wielu przed tobą też je miało... i zgasiliśmy je po cichu, co najwyżej ludzie się trochę pośmiali albo patrzyli zdezorientowani. Nikt nie uwierzył. Na tę niewiarę ciężko pracowaliśmy przez siedem czy osiem ostatnich dekad.

Hrabia nie odpowiedział. Wreszcie dotarli do najniższej kondygnacji.

– Wejść sam – oznajmił, zatrzymując się kilka metrów od pokoju Rozenka. – Na wszelki wypadek...

Nie wyjaśnił, że tym wypadkiem mogłaby być na przykład nagła ucieczka Rozenka z Arkadiuszem. Chociaż jeśli słyszał rozmowy i nie zdecydował się do tej pory odpalić silników łodzi oraz

ładunków wybuchowych odrzucających ściany, to czekał na rozwój wydarzeń. Może skontaktował się z Floryckim? A może miał gotowe instrukcje, co robić, gdy ktoś odkryje, że syn doktora jest wampirem?

Zastukał w drzwi.

– Wpuść mnie – szepnął.

Rozmowa była żywiołowa i w pierwszych minutach poza krótszymi czy dłuższymi inwektywami niewiele wносиła do puli rozwiązań.

Wreszcie hrabia rozdarty między strachem a gniewem machnął ręką.

– Daj spokój, przed nimi nie da się ukryć – stwierdził stanowczo.

– Podejrzewam, że to rozumiesz, chociaż robisz głupią minę i uważasz, że jak klniesz głośniej, to masz rację. To federacja światowa, nie ludzie są wszędzie. Dorwaliby ciebie, Arkadiusza i mnie w każdej dziurze, prędzej czy później. To nie polski burdel. A skoro Arkadiusz jest wampirem, nikt go nie dotknie, nie zrobi mu krzywdy – zapewnił.

Rozenek nie wydawał się przekonany. Patrzył na chłopaka, który w przerażeniu przysłuchiwał się ich rozmowie, kryjąc twarz w dłoniach.

– A mnie? – spytał wreszcie strażnik z powątpiewaniem.

Mógł być komandosem, mieć za sobą przeszkolenie w Grom-ie czy Formozie, ale zapewne wiedział, że tylko martwy świadek nic nie zezna. A taki, którego ciała nie odnaleziono, nawet pośrednio nikogo nie obciążą.

– Myślę, że gdyby ciebie chcieli unieszkodliwić, byłbyś już martwy – chłodno odparł hrabia Ponimirski. – I żadna łódź by ci nie pomogła. Nie, nie, trzeba to rozegrać mądrze, ostrożnie i tak, żeby nas obu doktor Florycki raczej nagroził, niż miał powody karać.

Rozenek przez chwilę spoglądał z namysłem na swego podopiecznego.

– Idźcie. Ja zostanę przy monitorach albo... – przeniósł spojrzenie na hrabiego – gdzieś w pobliżu sali konferencyjnej. Z bronią.

Elias z zainteresowaniem obserwował chłopca. Ten wydawał się przestraszony, jednak z ukosa przyglądał się drugiemu wampirowi w swoim życiu. Dotąd bowiem znał tylko hrabiego, którego widział raptem parę razy – póki ten nie pojawił się na wyspie. Arkadiusz nie rozumiał, co się dzieje, strzępy rozmów podsłuchane w obecności Rozenka nie dawały mu pełni obrazu poza poczuciem, że hrabia Ponimirski wywołał jakąś poważną aferę. Chłopak czuł jednak, że ta lawina pociągnie także i jego, zmieni życie. Miał dosyć wyspy, chociaż rozumiał powody, dla których tata go odizolował. Bał się, ale w jego myślach pojawiła się wątła nadzieja na odmianę podłego losu.

Kiedy weszli do pomieszczenia, gdzie czekała reszta, powitały ich ciekawskie spojrzenia. Chyba mało kto spodziewał się tak młodego wampira, niemal niedorostka. Tylko Hedo niespodziewanie pomyślał, że ten młody przypomina trochę Ziemka: wąły, ale o inteligentnej twarzy, tylko trochę zagubiony.

– Nazywa się Arkadiusz. Arkadiusz Florycki, syn tego Floryckiego – przedstawił go hrabia. – Miał pięć lat, gdy zachorował. Nowotwór wydawał się śmiertelny. Doktor Florycki odszukał mnie, w zasadzie zmusił do ratowania go za cenę przeistoczenia w wampira... Odtąd Arkadiusz przebywa tu, nikt o nim nie wiedział do dziś...

– A ty wiesz o nas cokolwiek? – spytał Radecki, podchodząc do chłopca. – Jak żyjemy, co robimy?

Ten zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie żyję światem zewnętrznym. To znaczy dotąd nie żyłem...

– ...aż ten świat przyszedł do ciebie – podsumował marszałek, z gniewem patrząc na Ponimirskiego, który zajął miejsce obok Arkadiusza, jakby chroniąc go własną obecnością. – Wiesz, że on nie miał prawa?

– Uratował mi życie. – Chłopak nagle się wyprostował. – Co w tym złego?

Zaskoczył Radeckiego. Prawa były jasne, ale właściwie... Narzuciła je Światowa Federacja, wydawały się logiczne, jednak pytanie Arkadiusza miało sens: czy zawsze?

Trzej Królowie szemrali między sobą. Chłopak próbował śledzić ich rozmowę, teraz rzucił Radeckiemu przepraszające spojrzenie i zwrócił się do delegatów:

– *He does not have anything to do with it, my dad has led to this situation*¹.

– *Vampire?* – spytał zombi, patrząc ze zdumieniem na chłopaka. – *Why didn't he do it himself?*²

– *Human. Very loving father*³ – wyjaśnił Arkadiusz. Spojrzał na Ponimirskiego. – *His only blame is compassion*⁴.

Goście wydawali się zaskoczeni angielszczyzną chłopaka, szczególnie po doświadczeniach na lotnisku z Bielą i premierem Długoszewskim. No i musiała się im spodobać postawa chłopca, bo zaczęli z nim rozmawiać, zupełnie ignorując pozostałych.

Hedo, który do tej pory siedział cicho, wcielając się w rolę bardziej ochroniarza niż negocjatora, postanowił to wykorzystać. Arkadiusz to nie była jego sprawa, przynajmniej na razie.

– Mam z tobą do pomówienia, panie hrabio. – Wbił twardy wzrok w Ponimirskiego. – Zostawmy naszych Trzech Królów – wskazał ruchem głowy europejskich negocjatorów – i chodźmy gdzieś na bok.

Hrabia Ponimirski zbladł. Hedo był siepaczem, jego ludzie ścigali arystokratę w wędrownce tutaj, kto wie, co by zrobili, gdyby nie zdążył się schronić? Może teraz sam chce zakończyć sprawę? Potem się powie, że to jakiś wypadek, hrabia zasłabł i nie zdołano go odratować?

Zdawał sobie sprawę, że wpada w paranoję, ale życie, wbrew kulturowym kliszom powielanym przez filmowców i pisarzy, miał tylko jedno.

– Nie bój się – prychnął z pogardą Radecki. – Tu ci nie spadnie włos z głowy, chyba że oni... – Popatrzył na Trzech Królów. – Chodźmy tam. – Wskazał kolejne otwarte pomieszczenie.

Hrabia niechętnie ruszył we wskazanym kierunku.

To była pierwsza okazja do rozmowy bez świadków.

– Powinienem cię rozszarpać na strzępy – zaczął bezceremonialnie restaurator, patrząc na Ponimirskiego. Ten zbladł.
– Powinienem ci wydrzeć flaki i rozwłóczyć po całym Krakowskim Przedmieściu. Zabiłeś mi córkę...

Ponimirski patrzył na niego bez zrozumienia. O co chodziło temu Hedzie, jaka córka?

Dopiero Radecki w trzech słowach wyjaśnił mu marny los Joanny.

– Ale ja nie chciałem! – zaczął się rozpaczliwie bronić Ponimirski.
– To urządzenie nie miało jej wcale zamienić w człowieka, ani mi to nie przyszło do głowy! – mówił pospiesznie, połykając końcówki słów. – Dziadek pisał, że to aparat, który wprowadzi w szale, „zamrozi” kogoś, kto tam wpadnie, na tydzień czy dwa, a potem sytuacja wróci do normy.

Hedo zaciskał palce. Dłonie. Starał się panować nad sobą, chociaż widać było, że garnitur na nim marszczy się, jakby prężące mięśnie chciały go rozerwać.

– Na razie Joanna nie wróciła do właściwej postaci, sam wiesz! – niemal krzyknął. – Nie wróciła... – W jego głosie słychać było cierpienie, chociaż słowa hrabiego dały mu cień nadziei, że istnieje ścieżka powrotu.

Radecki słuchał ich obu, czuwając, aby w jego obecności Włodzimierz nie przekroczył granicy. Cóż, trzeba to jakoś uregulować, przecież prędzej czy później i tak musieli się spotkać.

Stary Hedo marszczył brwi, podczas gdy hrabia stał z opuszczonymi rękoma, nie wiedząc, co zrobić. Dla niego wieść, że Joanna nie wpadła w szale, tylko przestała być wampirem, także była szokiem. Ech, ci naukowcy...

– Musisz mi oddać wszystkie maszyny, wszystkie notatki dziadka i pomagać – oznajmił nagle Włodzimierz tonem nieznoszącym sprzeciwu. Być może dotarło do niego, że jest jakiś cień nadziei na uratowanie córki. – I módl się, żeby udało się ten proces odwrócić. Bo inaczej marny twój los, nie pomoże ci nawet nasz szef. – Spojrzał z ukosa na Radeckiego.

Ten niemal niedostrzegalnie potwierdził ruchem ręki.

– Zadbam o to, Włodzimierzu, żeby hrabia współpracował – wycedził, patrząc na Ponimirskiego tak, że temu mimo woli ciarki

przebiegły wzdłuż kręgosłupa. – Mniej więcej tak gorliwie, jak przed nami uciekał. A teraz wracajmy do naszych gości i tego... Arkadiusza. O tym też porozmawiamy, hrabio, ale nie w obecności europejskich gości – dodał z gniewem.

Na brzegu wciąż czuwali ghule, zombi i wampiry. Większość była już mocno znudzona, odeszła do samochodów albo zrobiła sobie prowizoryczne siedziska. Forteca trwała niewzruszenie, w jej sercu odbywały się rozmowy. Szumilas przysypiał. Tylko Ziemek, zamiast odpoczywać, krążył po brzegu i przyglądał się wyspie. Starał się zrozumieć mechanizm, przy którego wykorzystaniu została wzniesiona. Nie miał pojęcia, co kryje się w środku, jednak jego bystre oko wykryło dziwną warstwową konstrukcję budowli, jakby ktoś kładł kanapkę na kanapce – i teraz zastanawiał się, czemu to może służyć.

– Wykapany ojciec – rozległ się nagle głos Szumilasa za jego plecami. Sam sekretarz z ziewnięciem wyłonił się z ciemności. – Mam nadzieję, że doszli do jakichś porozumień z hrabią, bo najwyższa pora wracać do Warszawy.

– Ojciec nie ma pojęcia o architekturze, chyba że obronnej – mruknął Ziemek. Popatrzył na Szumilasa i dodał: – Ale za to w negocjacjach jest skuteczny. Śmiertelnie skuteczny...

Wreszcie goście skończyli rozmowę z młodym wampirem, który usiadł na uboczu, nie kryjąc zadowolenia. Zamienili jeszcze kilka słów ze sobą. Elias poprawił garnitur nieco wymięty przez mało wytworny sposób spędzenia ostatnich godzin. Mimo to wydawał się ożywiony. Odciągnął Radeckiego i Gabora na bok.

– Panie Radecki, rozumiem gniew, a nawet furję. Hrabia Ponimirski zachował się poniżej standardów obowiązujących przyzwoitego wampira. Jednak... należy go zrozumieć. Nikt nie powinien być odsuwany w taki sposób.

– Nie wziąłbym go na listy wyborcze, nawet gdyby było to możliwe – burknął marszałek. – A po tym wszystkim...

Elias ze zrozumieniem skinął głową.

– I dlatego właśnie rozmawiamy we trójkę. Bo na listy nie, przecież jest już za późno, ale powinien mu pan zaproponować stanowisko w nowym rządzie albo gdzieś w jego okolicach, aby zaspokoić jego ambicje...

Radecki przewrócił oczyma, słysząc taką propozycję rozwiązania problemu. Gabor prychnął pod nosem.

– Może mam go jeszcze zrobić ministrem?

Doradca europejski milczał, jednak jego mina wyraźnie mówiła, że to wcale nie taki zły pomysł. I wtedy Radecki znów przypomniał sobie, że przecież Elias od początku zaznaczał, że jest przyjacielem hrabiego. Nagle wampirowi zrobiło się słabo. A jeśli to wszystko od początku było ukartowane?

Nie, dosyć wpadania w paranoję! Dosyć!

W każdym razie nie miał wyjścia. Spojrzał na Daniłowicza. Ten wzruszył ramionami.

– To z twojej puli stanowisk pójdzie, Radecki. – Zmełł w ustach jakieś przekleństwo. Widać i jemu bardzo nie spodobał się sposób załatwienia sprawy przez delegatów z Europy. – Chyba że przez tego durnia przewalimy wybory, wtedy problem ze stanowiskami sam się rozwiąże.

– Przecież to oznacza, że on wygrał – powiedział bezradnie Radecki. – Wygrał...

Elias już ruszał w stronę głównej sali.

Gdy stary Włodzimierz przyglądał się rozmawiającym Trzem Królom i Radeckiemu z Daniłowiczem, nagle dotarła do niego zaskakująca myśl: „Joanna z wampira stała się człowiekiem, a Arkadiusz z człowieka wampirem. Może uda się to odwrócić?”. I wtedy przyszedł mu na myśl Ziemek, który twierdził to samo: że jest to proces odwracalny! Miał mądrego syna, którego dotąd nie słuchał. Trzeba mu to powiedzieć, gdy tylko wrócą na brzeg.

Hrabia Ponimirski zdecydowanym gestem potarł brodę, na której szczecina zamieniła się w krótkie, acz zdecydowanie przypominające brodę włosy. Postanowił jednak nic z tym nie robić

– po dekadach golenia na gładko doszedł do wniosku, że z lekkim zarostem wygląda korzystniej. Naszła go jednak myśl, że ktoś może opacznie zrozumieć jego gest.

– No dobrze, załóżmy, że my się dogadamy. Ale jak mówiliście, na brzegu czeka banda z Unii Społecznej, dziennikarzy poruszył ten dureń Leśniewski, więc co? Tak sobie normalnie po cichu wrócimy do życia? Trzeba by się zastanowić, jak to odkręcić...

– Ty powinieneś się zastanawiać! – warknął Gabor.

Elias uniósł dłoń. Nie był to żaden stanowczy gest, wystarczył jednak, by uciszyć ghula i zamknąć usta pozostałym już zbierającym się do słownej szermierki.

– Nie rozumiecie sytuacji – skarcił Gabora i pozostałych, obejmując ich chłodnym spojrzeniem, w którym dało się dostrzec lekceważenie. – Federacja przewidziała ten problem. Ja jestem specjalistą od takich właśnie spraw. – Na usta wampira wypłynął zaskakujący uśmiech. – Wynajęty przez nas wóz transmisyjny właśnie tu zmierza, podejrzewam, że za pół godziny powinien dotrzeć. Zafundujemy waszym wyborcom niespodziankę.

Na razie zafundował niespodziankę im wszystkim, z hrabią włącznie.

Różnica polegała jedynie na tym, że kiedy Daniłowicz i Radecki zastanawiali się, cóż Trzej Królowie zamierzają transmitować, a Hedo nad tym, czy ta krowa na stu kołach dojedzie w pobliże Czerwonej Fortecy, sam hrabia nagle się przeląkł, że wywleką go stąd sposobem, a na brzegu doprowadzą do publicznej egzekucji i nagranie będzie krążyć po sieci w formie ostrzeżenia dla wszystkich następnych nieludzi, którym przyjdzie do głowy pomysł wyskakiwania z jakimś *coming outem*. Że całe te negocjacje to pic na wodę, spektakl, jakich świadkiem był wiele razy w czasie swojej politycznej kariery.

Bał się, że wpada w paranoję, ale strach był silniejszy od niego. Nie wiedział, że w pobliżu twierdzy i w jej środku zjawisko paranoi generującej różne nieprawdziwe podejrzania mocno się nasiliło.

Patrząc na Trzech Królów, miał nadzieję, że przybyli jednak z prezentami, a nie jako obserwatorzy egzekucji...

Na dworze świt spowił ziemię, objął wyspę w posiadanie...

Tego poranka poszło w świat polskiej polityki kolejne niezwykle nagranie: oto dwie partie koalicyjne, na zaproszenie i w siedzibie hrabiego Ponimirskiego, w obecności wspierających Polskę zachodnich polityków, zamiast różnić się i wojować ze sobą w ramach kampanii, uznały, że czas zakończyć wojnę, uszanować głosy wyborców, a potem zająć się rządzeniem, wprowadzaniem jeszcze większego dobrobytu, porządku i sprawiedliwości.

– Wojnę zostawiamy naszym oponentom – mówił Radecki, kadrowany tak, jakby przemawiał jako przyszły premier. – Wojna niszczy, zgoda buduje...

Demonstracyjnie podał rękę Daniłowiczowi i razem splecione dłonie unieśli ku górze.

Rozdział 13

Igor po krótkiej walce wyplątał się wreszcie z podziemnych tuneli Dworca Centralnego, znalazł wyjście na powierzchnię i po kilku nerwowych susach mógł odetchnąć powietrzem pełnym świeżych spalin.

Tego właśnie potrzebował! Był sobotni poranek. Po nocnej jeździe pociągiem z kilkoma przesiadkami czuł się jak szmata wykręcona zbyt wiele razy i podarta w kilku miejscach; było to jednak tylko zmęczenie ciała. Umysł triumfował. Z zachwytem przyglądał się dworcowej hali po drugiej stronie ulicy, gęstym strumieniom samochodów. Zadarł głowę, spoglądał na wieżowce oraz Pałac Kultury i Nauki, podziwiał plakaty wyborcze wielkie jak całe domy na wsi. Twarze kandydatów wyglądały na nich jak zdjęte z Godzilli czy innych potworów.

Dostał swoją szansę od losu, na którą zapracował tam, w porzuconych magazynach. Kaśka będzie płakać, nie doczeka się kolejnej randki, jednak chłopak był już umówiony z inną: warszawską Syrenką.

A później musi odnaleźć siedzibę Hedów i zgłosić się na szkolenie.

Dla Igora zaczynało się nowe życie niezwiązane z wyborami, choć gdyby nie one, wciąż grzązłby w mazurskich błotach.

Nie dla wszystkich ten sobotni przedwyborczy poranek był tak radosny jak dla Igora.

Gabor Daniłowicz od świtu był na nogach, licząc się z tym, że ten dzień przyniesie mu wiele kłopotów. Trwała cisza wyborcza, ale trzeba było sprawdzić, czy sztab wyborczy przygotowany, dziennikarze odpowiednio ustawieni... czy ktoś nie łamie ciszy wyborczej...

Zapowiadał się ciężki dzień, a po nim kolejny, jeszcze gorszy. Dopiero w poniedziałek może odetchnie.

Upił pierwszy łyk kawy, czekając na Thuna. Z pewnością nie spodziewał się, że zanim zdąży opróżnić filiżankę, pod jego dom podjedzie czarna nieoznakowana furgonetka, a ze środka wysiądzie jeden z Trzech Królów, ghul Fargot.

Kiedy stanął przed trącym z zaspania powieki Daniłowiczem na parkingu, stwierdził krótko:

– Przyjechałem po dzinna.

Daniłowicz poczuł wtedy, że nie doczeka chwili wyborów, że zaraz na miejscu trafi go nagły piorun z bezchmurnego nieba. Fargot nie próbował niczego dociekać, prowadzić śledztwa czy negocjacji jak w sprawie Ponimirskiego, nie – on przyjechał po swoje razem z dwoma pomocnikami, których Daniłowicz w ogóle nie rozpoznawał (zupełnie jakby właśnie przejechali granicę, co było trudne do sprawdzenia, bo nie odezwali się ani słowem, natomiast nie wyglądali na polskich ghuli). Ci wyjęli z furgonetki ciężką podłużną skrzynię z uchwytyami i dali Fargotowi znać, że są gotowi.

„Ciekawe, która sobaka zdradziła?”, pomyślał zniechęcony Gabor. Przez ułamek sekundy zastanawiał się nad skarmieniem Al-Ghazaniego szczątkami przybyszy. To jednak nie byłby dobry sposób. Łapówka? Wątpliwe, by wchodziła w grę.

– Szybciej. Federacja nie będzie czekać! – warknął Fargot.

I pozamiatane.

Wkroczył do domu i skierował się od razu do tajnej windy, zupełnie jakby doskonale znał drogę. Zjechali na dół, bezradny Daniłowicz poprowadził ich do sekretnej komory.

Al-Ghazani, Piaskowy, dzinn, który prawie zginął zapędzony przez ludzi w pułapkę, odratowany przez archeologów Daniłowicza, teraz miał wpaść w ręce Europejczyków, psiakość! Daniłowiczowi chciało się na przemian płakać i śmiać, gdy widział, jak pomocnicy Fargota montują nad pojemnikiem Piaskowego jakąś konstrukcję z elementów wyjętych ze swojej skrzyni.

Nagle powietrze w komorze zrobiło się bardziej gorące, a pręty niedokończonej klatki zaczęły świecić się na czerwono. Rozległ się trzask, a potem wybuch. Daniłowicz pomyślał, że sufit zaraz runie

mu na głowę i wszystkie jego problemy znikną. Nie mógł wiedzieć, że jego śląscy górnicy wykonali swoją robotę lepiej niż budowniczowie metra i komory pod domem nie ucierpią wcale, ale na dwóch bielańskich stacjach najbliższych domu Gabora pojawią się zagadkowe pęknięcia.

Fargota zachowanie Al-Ghazaniego raczej nie zaskoczyło, jego ludzi także. Zmontowali swoją klatkę do końca i piaskowy dzinn rozsypał się w miliard ziarenek kwarcu.

– Jedźcie już! Wypad stąd! – wysyczał Gabor, tracąc panowanie nad sobą. – Precz!

Tylko jedno pocieszało Gabora: zdołał już wpleść w Piaskowego polską nutę na dobre i na złe, podłość i wielkość w jednym pakiecie. Rozum i szaleństwo. Tamci tak łatwo sobie nie poradzą z egipsko-polskim dzinnem, może im stanąć w gardle kawałkiem piaskowca.

Fabisiak długo zastanawiał się nad głosowaniem. W końcu to odpowiedzialność, wrzucić kartkę we właściwą dziurkę, a wcześniej dobrze wybrać. Rękę miał pewną, ale w tym drugim dostrzegął problem: nikt nie był dobry, do wyboru byli sami źli, bardzo źli albo wręcz katastrofalni. Już z większą ochotą zagłosowałby na Smoka Wawelskiego albo lokalnego Skarbka.

W końcu postanowił losować. Skrupulatnie policzył wszystkie słowa na kartach wyborczych, wynik podzielił przez cztery, bo tyle było głównych partii. Reszta pasowała do numerka jednej z partii. Z westchnieniem wybrał pierwszego z brzegu – czyli od góry – kandydata tej partii.

– Co tak długo? – ofuknęła go starsza babina czekająca w kolejce przed kabiną, bo akurat zrobiła się kolejka, zupełnie jakby desperacja Fabisiaka ich tu przyciągnęła.

– Spełniałem obywatelski obowiązek, głosując dla Polski – odparł chłodno i przepchnął się przez tłum.

Tak jest. Oddał głos na Partię Demokratyczną. Tę samą, która – chociaż o tym nie wiedział – nasłała na niego nocnych wywiadowców. Ale ostatecznie co to za różnica, skoro wszyscy byli tacy sami?

Nie tylko Warszawa wpadła w emocjonalny i fizyczny dygot. W Czerwonej Fortecy na wyspie siedział samotnie jej strażnik, Rozenek, i gryzł pazury z wściekłości, wstrząśnięty wczorajszą telefoniczną rozmową z szefem. Ściszej rzecz biorąc, gryzł tylko paznokcie, jednak jego wściekłość była szczerą i intensywną, jakby był drapieżnikiem zagnanym w matnię.

Został sam, Królowie zabrali ze sobą Arkadiusza, który wkrótce wyląduje gdzieś w Europie na stażu. Florycki był tak szczęśliwy, że nie tylko nie zwolnił Rozenka, wręcz go awansował – na dyrektora centrum konferencyjnego nie-ludzi. *Dottore* miał plan i postanowił go realizować rękoma sprawdzonych osób.

Rozenek problem wyborów rozwiązał w najprostszy sposób: nie głosował, bo nie miał jak, chociaż gdyby mógł, zagłosowałby za widłami przeciw wampirom. Na szczęście Florycki o tym nie wiedział, tę głęboką odrazę udawało się strażnikowi ukrywać przez lata.

Kiedy biznesmen wreszcie pojawi się na wyspie, Rozenek pogada z nim od serca i rzuci papierami, z satysfakcją wycedzi „Zwalniam się!”. Na razie jednak musiał tu tkwić i tworzyć plany zamieniania twierdzy przeciw wampirom w przyjazne dla nich otoczenie, pozbawione róż, usiane za to pułapkami na ludzi w rodzaju ukrytych bagien czy dołów z ruchomymi piaskami.

Od jutra musi zacząć karczować te zasieki. Od tego zacznie.

– A żebyście wpierdol dostali! – syknął i poszedł szukać odpowiednio ostrego sekatora.

Niektórzy z wyborami kłopot mieli nie taki, że nie wiedzieli na kogo głosować, tylko jaką suknię włożyć. Czy lepiej będzie wyglądać w śliwkowym trenczu, czy jednak klasycznej czarnej podkreślonej dystygowanym naszyjnikiem z drobnych pereł. Radecki patrzył na takie dylematy z uśmiechem, bo kochał Mariannę w każdym z tych strojów, a najchętniej bez.

Wreszcie Marianna zdecydowała się na klasykę, pojechali do lokalu i na oczach całej zgrai dziennikarzy oboje dokonali jedynie słusznego wyboru, czyli uznali za najważniejszą siłę w kraju Partię

Demokratyczną. Marianna zagłosowała na swego męża, on chętnie by oddał głos na żonę, że jednak nie mógł, a głosu było mu żal, postanowił skorzystać z tajemnicy wyborczej, czyli tego, że nikt nie dowie się, na kogo głosował, i nieco zwiększyć swoje szanse. Bo w końcu tego kandydata znał najlepiej i wiedział, co myśli naprawdę, a które kłamstwa wypowiada wyłącznie w celu zjednania wyborców.

Pozwolili się pstryknąć dziennikarzom i paparazzim. Marianna wtuliła się w męża i szepnęła mu do ucha:

– To co, teraz kolej na małe wampirzątka? Mam w domu coś, co cię zachęci...

Radecki wciąż się uśmiechał i dopiero po chwili, gdy złodzieje ich dusz, jak kiedyś wierzono, zrobili fotografie i porwali je na żer dla Plotków, Pudelków i Instagramów, odszepnął:

– Muszę iść do siedziby partii, więc może nie teraz, ale wieczorem albo rano.

Marianna odsunęła się od niego i ze smutkiem dała mu zielone światło.

– Idź, misiu, idź, bez ciebie wszystko się zawali...

Wampirzątka musiały poczekać. Jak zwykle.

W sztabie panowała nerwowa atmosfera wyczekiwania. Wszyscy ważniejsi politycy zjawili się tu, by świętować sukces. Ku zaskoczeniu Radeckiego pojawił się także kilka minut po przybyciu marszałka stary Hedo. Chociaż po chwili prezes zrozumiał stojący za tym zamysł: nikt nie powie, że restaurator stchórzył albo jest niemile widziany w partii.

Radecki nie miał ochoty na rozmowę w trójkącie on–Hedo–Ponimirski; prawdę mówiąc, była to ostatnia rzecz, której pragnął. Przez ostatnie dni trzymał ich od siebie z daleka, bo wciąż pachniało rozlewem krwi, i to wcale nie ludzkiej. Teraz jednak, w obliczu decyzji wyborców i kamer chyba wszystkich telewizji krajowych oraz kilku europejskich, a także dziennikarzy, którzy pracowali nie na polskie, lecz zachodnie zlecenie, nie miał wyboru. Pal sześć ludzi, oni i tak nie wychwycą podtekstu. Jednak nieludzie powinni

zobaczyć Hedę, najlepiej w serdecznym uścisku z Ponimirskim. Nie było innego sposobu na przecięcie plotek o nielojalności Włodzimierza i jego statusie wśród wampirów. Życie kreśli swoje scenariusze i właśnie zapowiedziało dogrywkę do spotkania rozpoczętego w Czerwonej Fortecy.

Pouśmiejali się niczym przyjaciele, dali pochwycić na kilku zdjęciach, wreszcie Radecki odciągnął ich na bok.

– Zejdźmy im z muszek, panowie – zaproponował. – I bez scysji, błagam.

Dopiero w niedostępnej dla mediów strefie Włodzimierz wreszcie mógł popatrzeć Ponimirskiemu w oczy.

– O nie! – szepnął Radecki, domyślając się, co jest prawdziwym powodem wizyty Włodzimierza.

Stan Joanny się nie zmienił. Stary wciąż to przeżywał. I postanowił wykorzystać sytuację tu, gdzie trudno mu będzie to uniemożliwić...

Restaurator ścisnął ramię Ponimirskiego i wycedził:

– Staza nie zniknęła, jak twierdziłeś na wyspie. Jak ją zniwelować?

Ponimirski próbował się wykręcić z uchwytu.

– Nic więcej nie wiem! – jęknął.

– To się dowiesz, już ja o to zadbam. A jak nie, to ukręcę ci łeb – wycedził Włodzimierz. – Mnie nie obchodzą wygrane czy przegrane wybory, rozumiesz? Ciepła posadka też cię nie uchroni, niech sobie Zigger nie myśli! Ministrowie już ginęli w Polsce. Premiera też ktoś zastrzelił. Chcę, żebyś odkręcił, co namieszales!

– Hola! – syknął Radecki, starając się opanować gniew. – Na zbyt wiele sobie pozwalasz, Włodzimierzu.

Ten lekko pokręcił głową.

– To moja córka, panie Radecki. Miałbyś, wiedziałbyś, o czym mówię.

Radecki pomyślał o Mariannie. I piszczących maluchach. I jej minie pod lokalem wyborczym, gdy jej oznajmił, że jedzie na Wiejską...

– Po wyborach oddam ci go na tydzień. Ale ma wrócić żywy i nieuszkodzony, czy to jasne?

– Na razie daj mi z nim porozmawiać – mruknął Włodzimierz. – Może być tu, w sztabie, żeby ci się wydawało, że masz kontrolę nad nami...

I przy milczącej postawie Radeckiego pociągnął przerażonego hrabiego w jakiś ciemniejszy kąt...

I nagle, jakby ktoś przewrócił kartę, wszystko się zmieniło. Jeszcze przed chwilą uśmiechy, kamery, niemal europejski sznyt... i nagle jakby dostali w zęby.

Szumilas wręczył Radeckiemu kartkę z napisem „Exit polls”. Ten popatrzył i zbladł. Wyniki mówiły same za siebie: pierwsza Nasza Ziemia, druga – niespodziewanie! – Unia Społeczna, a pół procent za nią, trzecia, dopiero trzecia, Partia Demokratyczna! To już nawet nie porażka, to nokaut!

Radecki szybko zwołał w swoim gabinecie naradę najważniejszych osób. Biela, Szumilas, premier Długoszewski.

– To jest klęska, panowie! – Trzęsącą się ręką rzucił na stół kartkę, niepotrzebnie, bo wieść już obiegła całą siedzibę. – Biorę wszystko na klatę, jutro zrezygnuję z przewodniczenia.

– Ależ, panie Radecki... – zaczął premier.

– Nie tym razem – uciszył go marszałek. – Mamy jeszcze coś do ugrania. Kiedy stąd wyjedziemy, w ogniu kamer macie się uśmiechać i zachowywać tak, aby nadal przekonywać ewentualnych wyborców. Będzie się liczyć każdy głos, nawet najgłupszego kamerzysty, więc z tego was rozliczę. Czekamy, ale... w ostatnich latach sondaże wyborcze nie rozjeżdżały się za bardzo, więc cudu nie będzie. Zapłacimy cenę za szaleństwo hrabiego i wymuszoną okolicznościami słabą kampanię.

Pierwszy wyszedł z gabinetu, starając się trzymać fason, choć czuł, że jeśli zostanie w gabinecie choć pięć minut dłużej, zacznie wyć z rozpacz. Kilka lat ciężkiej pracy, stabilna sytuacja, spokój – przez jednego szaleńca zostały przekreślone. Nieludzie nie zagłosowali na wampiry, co gorsza, wielu z nich, dając Partii Demokratycznej czerwoną kartkę, wybrało formację ludzi! Biela

miał rację, chyba trzeba było wołami napisać, że nieludzie mają głosować na swoich...

– Gdzie jest Ponimirski? – syknął czerwony z wściekłości Radecki, widząc posłów pod ścianą. W ożywieniu omawiali pierwszy katastrofalny sondaż. – Ktoś widział tego sukinkota?

I wtedy przypomniał sobie wszystko. Wysunął pazury i ruszył w stronę pokoju, gdzie ostatnio widział rozmawiających Włodzimierza i Ponimirskiego. Czas było odreagować nadchodzącą klęskę...

Elias, którego spotkał po drodze i ledwie zauważył przez czerwoną mgłę w oczach, próbował go powstrzymać, krzycząc do ucha, że przecież nie po to pomagał w ostatnim tygodniu kampanii, żeby teraz przegrali, że to tylko sondaż, że będzie dobrze, musi być! – jednak Radecki stanowczym ruchem odsunął go i ruszył na poszukiwanie arystokraty, który sprowadził na nich klęskę. To się nie odbędzie na oczach widzów, będzie mógł być sobą. I będzie. W trybie pilnym rozliczy tego, który zawałił im tę kampanię. Nie dał zrobić tego Włodzimierzowi, teraz też nie pozwoli, weźmie na siebie mord wyborczy...

Szedł po krew.

Rozdział 14

Hedo i Ponimirski siedzieli w jednym z pokoi, pogrążeni w zaskakująco spokojnej rozmowie. Nie dotarły do nich hiobowe wieści, chociaż należało pamiętać, że raczej wyłącznie hrabia by się nimi przejął, Włodzimierza interesowało to mało, o wiele mniej niż sposób na odzyskanie córki.

Kiedy Radecki z łomotem otworzył drzwi, nabuzowany wściekłością, parujący zewem krwi, z kłami odsłoniętymi po dziąsła, pazurami wysuniętymi do akcji – podnieśli na niego zaskoczone spojrzenia, a na twarzy Ponimirskiego odmalowało się nieme: „Ale przecież...”.

Marszałek, wciąż czując tętnienie krwi w skroniach, szykował się właśnie do skoku, kiedy za jego plecami do korytarza wbiegł Biela. Na widok Radeckiego krzyknął z radości – to jego szukał!

– Szefie – wrzasnął – szefie, to tylko chamska fałszywka! Jesteśmy górą!

W ręku trzymał dwie białe kartki łopoczące jak gołąbki pokoju. Radecki poczuł, jak uginają się pod nim nogi, a pięści samoistnie otwierają, palce próbują złapać jakieś oparcie...

– No chyba mi szef teraz nie umrze! – Biela już chwycił go pod pachy, sadzał na krześle pod skonsternowanym spojrzeniem restauratora i Ponimirskiego. – Wygrywamy, i to na całego!

Ale kto to mógł puścić, żeby nas wrobić? I po co? – stęknął kilka minut później Radecki, odejmując woreczek z lodem od czoła.

Wybitni politycy spoglądali na niego ze ścian gabinetu z dezaprobatą. Tak się zapomnieć! O mały włos zabiłby innego wampira, dopuścił się mordu w siedzibie partii. Tabloidy, gdyby rzecz wyciekła, wiele lat żyłyby tą aferą, a Partia Demokratyczna spokojnie mogłaby wyprowadzić sztandary...

Szumilas oderwał wzrok od kartek i z ponurą miną wycedził:

– Gulasze musieli kogoś przekupić. Zdążyłem sprawdzić, do innych nic nie dotarło, tylko my dostaliśmy tę fałszywkę. Reszta poznała dopiero te wyniki, które teraz Biela przyniósł.

Radecki zacisnął zęby. Trzeba się będzie policzyć z Gaborem i resztą. Ale najpierw musi zobaczyć, jakie są sondaże po zamknięciu lokali wyborczych.

– Do wieczora czekamy.

Więc... czekali.

A jednak prawda! Słupki stanęły po ich stronie.

Patrząc na wielki monitor z wynikami *exit polls*, według których Partia Demokratyczna jednak wygrała wybory, Radecki nie krył ulgi. Wielki kamienny ciężar lęku i wątpliwości zniknął. Cała ta historia z nieudanym *coming outem* hrabiego Ponimirskiego nie kosztowała partii wampirów ani jednego procentu, ba!, kampania dostała na końcu takiego kopa, że będą mieć razem z Naszą Ziemią więcej niż przedtem. Nie będzie katastrofy w postaci rządów ludzi. Elias miał rację: finał kampanii dźwignął ich znów w górę.

Popatrzył na pachnącego szampanem Biele z zamyśloną miną stojącego przed wielkim monitorem i udającego, jak przystało na spin doktora zwycięskiej partii, że analizuje dane, by wypluć mądrą prognozę. W rzeczywistości z trudem ukrywał smutek. Radecki znał go dobrze, nieomal na wylot, wiedział, co się kryje pod tą pozornie pełną opanowania postawą. Nikt nie lubi, jak mu w obejście wejdzie obcy i pokaże, jak coś zrobić lepiej. No bo przecież pomysły Eliasa okazały się skuteczne. Może i jeden z Trzech Królów bywał irytujący, jednak okazał się skuteczny. Zawodowiec. Mogli wcześniej sobie rozmawiać, że dadzą radę sami, ale on przyjechał i pozamiatał. A teraz Biela zastanawiał się, czy ktokolwiek będzie chciał jeszcze skorzystać z jego usług. Tym bardziej że tamci dwaj Królowie zabrali tego młodego wampira, Arkadiusza, na staż. Może zostanie europejskim politykiem z pominięciem polskiej ścieżki, wtedy to nie jego problem, ale jeśli wróci z wiedzą fachową, to wygryzie Biele jak nic...

– Jacek? – przywołał go półgłosem. Gdy Biela podszedł, dosyć nieufnie, być może szykując się na otrzymanie wymówienia, marszałek wskazał mu stojącego w kącie Eliasa i rzucił: – Dobrze się sprawiłeś, od niego też chyba podłapałeś parę sztuczek. Mamy czas się nauczyć więcej.

Twarz Bieli rozbłysła, jakby dostał upragniony prezent na Gwiazdkę.

Elias tymczasem udzielał wywiadu dziennikarce z jakiejś zachodniej gazety. Cóż, co prawda to wciąż *exit polls*, sondaże, ale przy takiej różnicy było jasne, że skorygowanie wyniku w dół po przeliczeniu głosów niewiele zmieni, więc dziennikarze robili tyle materiału, ile wlezie. Jak nie dziś, skorzystają później. Obecność angielskiego doradcy w zespole spin doktorów była nie lada atrakcją. A Elias lubił błyszczeć, oj, lubił...

Podszedł do Radeckiego Szumilas ze słodkim uśmiechem triumfu na twarzy i podając telefon, zapowiedział:

– Szefie? Machacz z gratulacjami.

Znudzony Radecki przyjął nieszczerze gratulacje od tego wazeliniarza, odwzajemnił się obietnicą dalszej współpracy. Nie wiedział, że Machacz jeszcze przed tą rozmową postanowił podjąć poważne zmiany w swoim życiu: sprzedać komiksowy biznes, zmienić wizerunek i zacząć uczyć się języków. Z całej historii z Ponimirskim bowiem zombi wyciągnął wniosek taki, że powinien spróbować swoich sił w Europie, skoro w Polsce mu się nie wiedzie.

Potem marszałek poszukał wzrokiem innego z bohaterów ostatnich tygodni. Hrabia Ponimirski sączył wino i uwodził młode wolontariuszki. Już się otrząsnął z przerażenia, że Radecki rozszarpie go na strzępy, już uwolnił się od myśli, że dokona tego Hedo, nie ciążyła już na nim wizja, że to przez niego przegrają wybory, zachowywał się więc w sposób, jaki przystoi arystokracie o reputacji dandysa: bez żenady bawił się z młodymi dziewczętami, próbując je nakłonić do flirtu.

– Mogę porwać? – zaczął dwornie Radecki, stając obok hrabiego. Odeszli na bok żegnani powłóczytymi spojrzzeniami dziewcząt.

– Zadowolony? – spytał Radecki.

Nie ufał Ponimirskiemu, już nie – zbyt wiele go to kosztowało. Ponimirski okazał się z jednej strony notorycznym kłamcą snującym przeróżne fantazje i gubiącym się w nich samemu, z drugiej – o czym Radecki wiedział i wcześniej – wampirem pozbawionym skrupułów. Bał się wpuścić go do sztabu, obawiał się arystokraty przed kamerami czy w zasięgu dziennikarskich notesów, co bowiem zrobi, jeśli właśnie wtedy strzeli mu do głowy zrobienie tego wampirzego *coming outu*, skoro nie udało się w inny sposób? Wciąż nie miał do niego zaufania, chociaż pierwszych kilka sprawdzianów hrabia przeszedł bez zarzutu. Radecki miał nadzieję, że wabik zadziała.

Hrabia bujał w chmurach. Obietnica, jaką złożył mu Radecki, sprawiła, że – dosłownie! – wlało się w niego nowe życie. Minister edukacji! Niemożliwe stawało się realne. Wreszcie zorganizuje te wszystkie obozy dla wampirów, ale także dla dzieci ludzkich, żeby je wychowywać, bo nikomu nie należy odmawiać. Wszystkie pomysły, które miał wynotowane w swoich papierach, a także częściowo omówione z Wargasem, prędzej czy później zostaną wcielone w życie. Trochę tylko zaboląta go odmowa byłego sekretarza, który stwierdził, że nie zamierza wracać do pracy u dawnego pryncypała, woli już pasać owce na hali niż być zmuszanym do znoszenia fochów i szaleństw Ponimirskiego.

Hrabia uśmiechnął się z zadowoleniem. Co prawda dotychczasowy minister edukacji może protestować, jednak Radecki dotrzymywał obietnic, hrabia znał go z tej strony.

– Skoro zadowolony, to musimy omówić jedną rzecz – mruknął Radecki. – Do tej pory wszystko nam sprzyjało. Ale ja cię, hrabio, muszę mieć bezwzględnie po swojej stronie, rozumiesz? Nie mogę się zastanawiać, czy mi zwiejesz albo kogoś zagryziesz...

Ponimirski przez chwilę milczał.

– Nigdy tak naprawdę nie miałem zamiaru robić afery – wyznał wreszcie. – Poniosły mnie emocje wyborcze, prezesie. To jasne, że ręka by mi drgnęła przed wpuszczeniem w sieć tak straszego wyznania.

– A gdyby nie?

– Nikt by nie uwierzył. – Hrabia machnął ręką.

– Nie ułatwiasz mi zadania... – Marszałek zacisnął zęby, aż nieprzyjemne chrupnęło. Sprawdził, czy ze zdenerwowania nie złamał sobie kła. – W porządku, wiadomo, że to my będziemy mieć inicjatywę w formowaniu gabinetu, czuj się już ministrem edukacji. Tylko żadnych szaleństw, Ponimirski, ostrzegam...

Patrząc na rozradowanego arystokratę, marszałek czuł, że hrabia powinien dostać, co mu się należy. Przypomniał sobie rozmowę z Jasińskim. Tak, tak właśnie się to robi... pół roku urzędowania, rekonstrukcja rządu pod pozorem skuteczniejszego działania – może w tym czasie uda się hrabiemu wepchnąć na jakąś minę? „Życzliwi” na pewno już ostrzą kły na niego.

A później odeśle go Eliasowi, niech tam mu znajdzie robotę. Niech w zepsutej Europie nawraca wampiry na tradycyjne wartości. Niech sobie z nim spróbują poradzić, cwaniaki.

Wielkiej euforii w siedzibie Naszej Ziemi nie było. Osiągnęli tyle, ile sobie założyli, no, z dwuprocentową górką. Znów będą solidnym koalicjantem, może po podliczeniu głosów wezmą parę mandatów więcej.

Gabor Daniłowicz, siedząc w oficjalnej siedzibie partii na Krakowskim Przedmieściu, obserwował monitory bez zbytniego zaangażowania. Odściskiwał, odgratulowywał, starał się nie zepsuć swoim ghulom święta. Większość nie miała pojęcia, że otarli się o katastrofę, i to więcej niż raz. Potencjalny *coming out* Ponimirskiego i potem nalot Trzech Królów mogących wywrócić wszystko tutaj do góry nogami szczególnie dotkliwie zwarzyły humor ghula – i to nie na tydzień czy dwa, raczej na lata.

W tej mrocznej chmurze zagrożeń rozbłysła jednak niespodziewana gwiazda. Spojrzał nieco w lewo, gdzie siedział jego nowy współpracownik, a w przyszłości, tak postanowił, może i zastępca?

Odziany w dobrej marki garnitur, wystrzyżony, dopasowany przez wizażystkę do reszty towarzystwa, Ludwik obserwował wybory i lekko kręcił głową z niedowierzaniem.

Trzeba było pójść do lasu, aby się przekonać, że jednak źle zrobił, odrzucając ten świat. Co prawda miał powody, skoro w pewnej chwili zaczął się wśród swoich czuć gorzej niż wśród zwierząt, taka zrodziła się między nieлюдźmi niezdrowa rywalizacja. Ale przecież wydarzenia ostatnich tygodni dowiodły, że trzeba walczyć o lepszą przyszłość, a uciekając, tylko oddaje się pole tym gorszym.

Najpierw zajmie się małym leśnym cmentarzem. Pora ujawnić jego istnienie, zadbać, aby rodziny dowiedziały się o losie bliskich, a kości poległych trafiły na właściwy cmentarz.

Potem... cóż potem? Potem Ludwik zostanie urzędnikiem w jednym z ministerstw. Uzgodnili z Gaborem, że będzie powoli zmierzał swoją ścieżką, nic na siłę, musi się znów odnaleźć.

Dla obu była to szansa, choć Ludwik nie znał wszystkich planów Daniłowicza. Al-Ghazani został stracony, za to ghul bohater, przynajmniej w kręgach niełudezi, to była zdecydowanie karta, którą można było i należało rozegrać. Ostrożnie, jednak skutecznie.

W siedzibie Unii Społecznej panowała cisza.

Driller nie brał udziału w dyskusjach przy wódce i kanapkach, które przypominały Ostatnią Wieczkę. Ukrył się w swoim gabinecie. Wyniki były takie, jakich się spodziewał – Unia będzie trzecią siłą, choć to raczej parlamentarna niemoc niż potęga.

Ale też zrobił wszystko, aby uruchomić procesy, które pozwolą mu zostać u władzy. Obaj zastępcy już wkrótce poczują pętle na swoich szyjach. I to zanim wystąpią z wnioskiem o zmianę przywództwa.

Nie, tak naprawdę Drillera wcale nie nurtowało to, że przegrał wybory czy raczej ich nie wygrał.

Znacznie większe zainteresowanie budziła wykopana teczka Pracusia, czyli obecnego właściciela Czerwonej Fortecy, doktora Marka Floryckiego. Dokumenty nie tłumaczyły powstania wielkiej fortuny, a tym bardziej kontaktów z Partią Demokratyczną, jednak prowadziły do ciekawych powiązań sięgających Zachodu.

Driller czekał na wyniki, do dziś zastanawiał się, czy w ogóle tknąć sprawę. Tu samo zapytanie mogło ściągnąć mu na głowę

lawinę.

Wreszcie popatrzył na zegar. Północ. Godzina duchów. Nie, nie będzie nikogo straszyć. Przynajmniej na razie, póki jest u władzy. Uśmiechnął się cynicznie. Może innymi sposobami uda się dowiedzieć, o co właściwie chodziło z tym pościgiem za Ponimirskim. W końcu są uprzejmi dziennikarze śledczy...

Elias wreszcie znalazł chwilę, by odetchnąć. Znalazł kieliszek z winem, umoczył usta, a potem ruszył w stronę kilku ważnych polityków dyskutujących o przyszłym gabinecie. Elias stanął z boku i czekał. Wreszcie się doczekał: hrabia spojrzał na niego i uśmiechnął się lekko. Zigger odwzajemnił uśmiech.

– Wkrótce znikam, nie jestem tu już potrzebny – zaczął. – Możemy zamienić słowo na osobności?

Hrabia niemal się skłonił, przyjaźnie ścisnął za ramię Szumilasa i odszedł z Eliaszem na bok.

– Dziękuję za interwencję. Bez was... kto wie, jak by się to skończyło.

– Taka nasza rola, hrabio. – Niedbale machnął ręką Zigger. – Ale... ja tak naprawdę nie przyjechałem tutaj jako delegat europejski.

Hrabia Ponimirski w zdziwieniu uniósł brew. Wydawało mu się, że wizyta Trzech Królów była tym właśnie: interwencją Światowej Federacji Nieludzi zapobiegającą grubszej aferze.

– Poszukajmy jakiegoś spokojnego miejsca do rozmowy – zaproponował Elias.

Wypatrzył pusty pokój, pociągnął tam hrabiego, starannie zamknął za nimi drzwi. Wtedy popatrzył z uśmiechem na Ponimirskiego i spytał:

– Nie poznajesz mnie, Jerzyku?

Można w różny sposób wyrażać zdumienie: zrobić karpia albo pokryć zaskoczenie głupawym uśmiechem. Hrabia jednak rozpaczliwie starał się zachować kamienną twarz, chociaż czuł, że zaraz zacznie krzyczeć z przerażenia.

– A powinienem? – wydusił.

Pamiętał swoje odczucie z Czerwonej Fortecy, że skądś zna tego Eliasa. Teraz ten bezpośrednio mu to oznajmił. Ale kim był? Na Boga, kim był ten europejski wampir???

– Powinieneś... Zanim zostałam Eliasem, byłam Elżunią... – Elias Zigger vel Elżunia Ponimirska znów się uśmiechnął.

– Ale ja cię szukałem... wtedy! Kiedy odeszłaś z tym Prusakiem! – stęknął hrabia.

Złapał się za pierś. Zawał. Niechybnie zawał, igły przeszywały go na wskroś jak serie z karabinu maszynowego.

– A ja cię odszukałam i uratowałam skórę – stwierdziła Elżunia, przysiadając na krześle. – Dowiedziałam się od przyjaciela, że masz kłopoty, i w godzinę doprowadziłam do wysłania delegacji...

– Ale po co?

Hrabia patrzył na nią przerażonym wzrokiem, nie rozumiejąc jej intencji. Minęło tyle lat...

– Różnie w życiu bywa, a ja o tobie nie zapomniałam, choć nie szukałam kontaktu.

Elżunia uśmiechnęła się lekko, raczej do swoich wspomnień niż do obecnego hrabiego Ponimirskiego herbu Nic Nie Rozumiem.

– Zatem nie staniesz mi na drodze do posady ministra? – upewnił się arystokrata, odzyskując powoli rezon.

– Czyli jednak chodziło tylko o stanowisko, Żorzyku – podsumowała go z dezaprobatą Elżunia. – Nie stanę, przeciwnie, będę wspierać.

Minę jednak miała mocno zawiedziona. Stało się jasne, że chociaż sentymentalnie chciała wrócić do pierwszej miłości. A tymczasem on był już daleko, za daleko, by się cofnąć...

– Stanowiska, tylko to mi pozostało – wyznał wreszcie szczerze. – Chodź, muszę się napić szampana.

Długi dzień dobiegał końca, a właściwie noc nabierała znaczeń i zapowiadała przyszłość. Sztab wyborczy powoli pustoszał, konfetti grubą warstwą pokrywało podłogę, większość kieliszków z szampanem stała pusta, choć kilka nieotwartych butelek wciąż można było znaleźć.

Radecki odprawił już wszystkich, sam zbierał się do wyjścia. Zmienił zdanie: nie weźmie premiera, pozostanie marszałkiem albo i to nie. Premiera niech sobie wylosują, a nad resztą się zastanowi. W domu czekała Marianna – a po tygodniach kampanii i emocjonalnej jazdy politycznym rollercoasterem Radecki czuł, że musi odpocząć. Nie parę godzin, nie dzień czy tydzień. Przynajmniej rok lub dwa... A stary Hedo ma rację: pora przywołać na świat jakiegoś małego wampira. Marianna na czas kampanii przestała o tym mówić, raz tylko wymknęło się jej słowo czy dwa, ale przecież wiedział, że zegar tyka. Powinni się tym zająć, zanim będzie za późno...

Uśmiechnął się. Może i to właściwy czas. Mają cztery lata spokoju...

Nagle pojawił się znów Hedo. Czuwał dyskretnie nad bezpieczeństwem sztabu. Radecki chyba go wywołał rozmyślaniami o nim.

– Muszę z tobą zamienić jeszcze dwa słowa – zaczął.

Radecki pytająco spojrzął na starego restauratora.

– Pierwsza sprawa, nie obawiaj się, ja to nie ten dureń. Nic mu się nie stanie. Ale musi współpracować – mruknął Włodzimierz. – Przejdę do istoty sprawy: po rozmowie z hrabią miałem czas na myślenie. I porozmawianie z Ziemkiem, który twierdzi, że w tym nie ma żadnej magii, trzeba tylko zrozumieć działanie tej aparatury – zaczął Hedo. – Cóż, politechniczne wykształcenie...

– A mówisz mi to, bo...? – ponaglił go Radecki.

Pora było kończyć ten przeciągający się wieczór wyborczy.

– A mówię – ciągnął niewzruszenie Hedo – bo chcę twojej zgody na dopuszczenie Ziemka do badań nad tą aparaturą. Oficjalnie, nie dlatego, że ojciec tego chce. I jeszcze jedno ci powiem, panie Radecki. – Hedo pochylił się ku marszałkowi, jakby nie ufał, że ściany nie mają uszu. Marszałek odruchowo także się pochylił. – Zawsze byłem lojalny, więc i tym razem będę. Pomyśl, jakie perspektywy daje taka aparatura.

Radecki chyba go nie zrozumiał, bo jego usta ułożyły się w nieme: „Jakie?”.

– To może być fantastyczna broń na wszystkich nie ludzi – stwierdził niemal szeptem Włodzimierz. – Na wszystkich, którzy są niepokorni. Nie w postaci wrzucania kogoś między te lustra i pryzmaty, ale gdyby to jakoś przekonstrować... Gdyby móc niepokornego wampira, ghula czy zombi jednym strzałem zamienić w człowieka bez naszych zdolności, to wiesz, żaden z nie ludzi nawet by nam nie podskoczył... A przecież to nie koniec, bo gdybyśmy mieli broń działającą w obie strony, pomyśl, jak można by wpłynąć na bieg spraw u ludzi, nie tylko w polityce i nie tylko w Polsce...

Radecki nagle się wyprostował. Wizja odrzucenia wszystkich stanowisk nadal wydawała mu się kusząca, jednak... taka broń mogła im bardzo ułatwić życie. Może jednak warto pokierować polskimi wampirami z tylnego siedzenia? A może nie tylko polskimi? Nagle pojął, że taki argument mógłby sprawić, że polscy nie ludzie zaczęliby się liczyć w Europie, a taki Elias nie patrzyłby na nich z wyniosłym lekceważeniem.

– Jesteś geniuszem – rzekł cicho. – Zajmiemy się tym, a zgodę masz na wszystko, co sobie tylko wymarzysz...

Warszawa odetchnęła z ulgą, kiedy skończyła się kampania.

Nie wiedziała jednak, że właściwie teraz powinna zacząć się bać, bo nowe rozdania bywają nie tylko inne – z reguły są po prostu gorsze.

-
- 1 On nie ma z tym nic wspólnego, to mój tata doprowadził do tej sytuacji.
 - 2 Wampir? [...] Dlaczego sam tego nie zrobił?
 - 3 Człowiek. Bardzo kochający ojciec.
 - 4 Jedyłą jego winą jest współczucie.

Wszystkie postaci i wydarzenia opisane w książce są fikcyjne, a jakiegokolwiek podobieństwo do rzeczywistych postaci, istniejących organizacji lub prawdziwych wydarzeń jest czysto przypadkowe.

Redakcja: Jerzy Wachowski
Korekta: Artur Kaniewski, Barbara Cywińska, Ida Jahnke
Projekt okładki: Tomasz Majewski
Skład i łamanie: www.pagegraph.pl

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-372 Warszawa, ul. Foksal 17
tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-2335-2

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://GrupaWydawniczaFoksalSp.zo.o)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://VirtualoSp.zo.o)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow